

Herta Müller

Huštawka oddechu

Przełożyła

Katarzyna Leszczyńska wydawnictwo^« zarne

Wołowiec 2010

O pakowaniu walizki

Wszystko, co mam, noszę przy sobie.

Albo: wszystko, co moje, noszę ze sobą.

Nosiłem wszystko, co miałem. Moje to nie było. Albo zmieniło przeznaczenie, albo należało do kogoś innego. Walizka ze świńskiej skóry była właściwie pudełkiem na gramofon. Prochowiec należał do ojca. Miejski płaszcz z aksamitnym ściągaczem przy szyi do dziadka. Pumpy do wujka Edwina. Skórzane owijacze do sąsiada, pana Carpa. Zielone wełniane rękawiczki do ciotki Fini. Tylko bordowy jedwabny szal i kosmetyczka były moje, ostatnie bożonarodzeniowe prezenty.

W styczniu 1945 trwała jeszcze wojna. Z tego przerażenia, że w środku zimy muszę jechać nie wiadomo dokąd, do Rosjan, każdy chciał dać mi coś, co mogłoby się przydać, jeśli już nie pomóc. Ponieważ nic na świecie nie mogło już pomóc. Ponieważ nieodwołalnie figurowałem na liście Rosjan. Każdy więc dał mi coś i pomyślał swoje. A ja wszystko przyjąłem i pomyślałem z lekkością moich siedemnastu lat, że odjeżdżam we właściwym czasie. Nie musiała to być wprawdzie od razu lista Rosjan, ale jeśli sprawy nie przybiorą nazbyt złego obrotu, wyjdzie mi to może na dobre. Chciałem uciec jak najdalej z naparstka małego miasteczka, gdzie wszystkie kamienie mają oczy. Zamiast strachu odczuwałem skrywaną niecierpliwość. I miałem nieczyste sumienie, ponieważ lista, która moich bliskich doprowadziła do rozpacz, dla mnie była do zaakceptowania. Oni bali się, że na obczyźnie spotka mnie coś złego. Ja chciałem uciec w miejsce, które mnie nie zna.

Mnie już bowiem coś spotkało. Coś zakazanego. Było osobliwe, brudne, bezwstydne i piękne. Wydarzyło się w parku olchowym, w najbardziej odległym zakątku, za krótko przycięzonymi trawiastymi pagórkami. W drodze do domu zaszedłem do okrągłego pawilonu w głębi parku, gdzie w świąteczne dni grywała orkiestra. Siedziałem tam chwilę. Światło kłuło przez ażurowe wzory w drewnie. Widziałem strach pustych kół, kwadratów i trapezów połączonych białymi pnączami, z których każde kończyło się pazurem. Był to wzór mojego zblądzenia i wzór przerażenia na twarzy mojej matki. W tym pawilonie przysięgłem sobie: nigdy więcej tu nie przyjdę.

Im bardziej się powstrzymywałem, tym szybciej znowu tam poszedłem - po dwóch dniach. Na rendezvous, tak mówiono w parku.

Na drugie rendezvous poszedłem z tym samym pierwszym mężczyzną. Nazywał się **JASKÓLKA**. Kolejny był nowy, nazywał się **CHOINKA**. Trzeci nazywał się **UCHO**. Potem przyszedł **NITKA**. Potem **WILGA** i **CZAPKA**. Potem **ZAJĄC**, **KOT**, **MEWA**. Potem **PERŁA**. Tylko my wiedzieliśmy, które imię należało do kogo. Park był miejscem szybkiej

wymiany towaru, poddałem się jej. I było lato, i biała skóra na brzożach, w gąszczu jaśminu i dzikiego bzu zielona ściana nieprzeniknionej listowia.

Miłość ma swoje pory roku. Jesień kładła parkowi kres. Zostawały nagie gałęzie. Rendezvous przenosiły się z nami do kąpieliska Neptuna. Obok żelaznej bramy wisiał jego owalny emblemat z łabędziem. Co tydzień spotykałem się tam z dwa razy ode mnie starszym mężczyzną. Był Rumunem. Był żonaty. Nie powiem, jak się nazywał ani jak ja się nazywałem. Przychodziliśmy oddzielnie, ani kasjerka za witrażową szybą, ani lśniaca jak lustro kamienna posadzka, ani okrągła środkowa kolumna, ani kafelki w lilie wodne, ani rzeźbione schody nie mogły wpaść na to, że jesteśmy umówieni. Szliśmy pływać razem z innymi. Spotykaliśmy się dopiero w saunie.

Wtedy, tuż przed obozem, i tak samo po moim powrocie do domu, aż do roku 1968, kiedy opuściłem kraj, każde rendez - - vous mogło skończyć się więzieniem. Co najmniej pięć lat, jeśli mnie złapali. Niektórych łapali. Prosto z parku lub miejskiego kąpieliska trafiali po brutalnych przesłuchaniach do więzienia. Stamtąd do obozu karnego nad kanałem. Dzisiaj wiem, znad kanału się nie wracało. A kto mimo to wrócił, był chodzącym trupem. Postarzały i zrujnowany, bezużyteczny dla wszelkiej miłości na tym świecie.

A w obozie - gdyby przyłapali mnie w obozie, byłbym już dawno martwy.

Po pięciu obozowych latach przemierzałem dzień w dzień tumult ulic i ćwiczyłem w głowie najlepsze wymówki na wypadek aresztowania: **PRZYŁAPANY NA GORĄCYM UCZYNKU** - przeciw temu orzeczeniu winy ułożyłem sobie tysiąc wykrętów i alibi. Noszę cichy bagaż. Tak głęboko i tak długo opakowywałem się w milczenie, że nigdy nie będę mógł rozpakować się w słowach. Kiedy mówię, opakowuję się jedynie inaczej.

Ostatniego lata moich rendezvous, pragnąc wydłużyć drogę[^] z parku do domu, trafiłem przypadkiem, idąc po Grosser Ring, do kościoła Świętej Trójcy. Ten przypadek zabawił się w los. Zobaczyłem nadchodzący czas. Obok bocznego ołtarza na kolumnie stał święty w szarym płaszczu i niósł na barkach owcę jak kołnierz. Ta owca na karku to milczenie. Są rzeczy, o których się nie mówi. Ale ja wiem, o czym mówię, kiedy mówię, że milczenie na karku jest czymś innym niż milczenie na ustach. Przed obozem, w nim i po nim dwadzieścia pięć lat żyłem w trwodze, przed państwem i przed rodziną. Przed podwójnym upadkiem, że państwo zamknie mnie jako przestępcę, a rodzina wyklnie jako tego, który przyniósł jej hańbę. W gąszczu ulic spoglądałem w lustra sklepowych witryn, okien tramwajów i domów, fontann i kałuż, z niedowierzaniem, czy na pewno nie jestem przezroczysty.

Mój ojciec był nauczycielem rysunku. A ja, z kąpieliskiem Neptuna w głowie,

wzdrygałem się jak przed kopniakiem, kiedy używał słowa **AKWARELA**. To słowo wiedziało, jak daleko się już posunąłem. Mama mówiła przy stole: Nie nakłuwaj kartofla widelcem, rozpadnie się, weź łyżkę, widelca używa się do mięsa. Pulsowało mi w skroniach. Dlaczego mówi o mięsie, skoro chodzi o kartofle i widelec. O jakim mięsie mówi. Rendezvous przenicowały moje mięso. Okradałem samego siebie, słowa padały niespodzianie i przyłapywały mnie.

Matka, a jeszcze bardziej ojciec wierzyli, jak wszyscy Niemcy w miasteczku, w piękno blond warkoczy, białych podkolanó - wek. W czarny czworokąt wąsów Hitlera i w nas, siedmiogrodzkich Saksończyków, jako rasę aryjską. Moja tajemnica była, już z czysto cielesnego punktu widzenia, potworną obrzydliwością. Wraz z Rumunem dołączała do niej hańba rasowa.

Chciałem jak najdalej od rodziny, choćby do obozu. Szkoda mi było tylko mamy, która nie wiedziała, jak mało mnie zna. Która, kiedy odejdę, będzie myślała o mnie częściej niż ja o niej.

Obok świętego z owcą milczenia na karku zobaczyłem w kościele białą niszę z napisem: **NIEBIOSA OŻYWIAJĄ CZAS**. Kiedy pakowałem walizkę, myślałem: biała nisza zadziałała. To jest właśnie ożywiony czas. Byłem też szczęśliwy, że nie muszę iść na wojnę, na front, w śnieg. Z głupawą odwagą i uległością zabrałem się do pakowania. Nie broniłem się przed niczym. Skórzane owijacze z troczkami, pumpy, płaszcz z aksamitnym ściągaczem - nic do mnie nie pasowało. Chodziło ożywiony czas, nie o ubrania. Z tymi czy innymi rzeczami dorośnie się tak czy inaczej. Świat nie jest wprawdzie balem kostiumowym, myślałem, ale nikt, kto w środku zimy musi jechać do Rosjan, nie jest śmieszny

Dwóch milicjantów chodziło z listą od domu do domu, Rumun i Rosjanin. Nie wiem, czy wypowiedzieli u nas w domu słowo **OBÓZ**. A jeśli nie, jakie inne słowo oprócz **ROSJA**. A jeśli tak, to słowo obóz nie przstraszyło mnie. Mimo wojny milczenia moich rendezvous na karku tkwiłem jeszcze z moimi siedemnastoma laty w jasnym, głupim dzieciństwie. Trafiały mnie słowa akwarela i mięso. Na słowo **OBÓZ** mój mózg był głuchy.

Wtedy, przy stole z kartoflami i widelcem, kiedy matka przyłapała mnie słowem mięso, przypomniało mi się, jak pewnego razu bawiłem się na podwórku, a mama krzyknęła z werandy: Jeśli natychmiast nie przyjdiesz na obiad, jeśli cię jeszcze raz zawołam, możesz zostać, gdzie jesteś. Ponieważ nie zjawiłem się od razu, powiedziała, kiedy przyszedłem:

Teraz to możesz spakować tornister, iść w świat i robić, na co masz ochotę. Mówiąc to, zaciągnęła mnie do pokoju, wzięła mój mały plecak i wepchnęła do niego wełnianą czapkę i kurtkę. Spytałem: Ale gdzie mam pójść, jestem przecież twoim dzieckiem.

Wielu ludzi uważa, że pakowanie walizki to kwestia wprawy, człowiek uczy się tego jak śpiewu czy modlitwy. My nie mieliśmy ani wprawy, ani walizki. Kiedy ojciec szedł na front do rumuńskich żołnierzy, nie musiał niczego pakować. Żołnierz dostaje wszystko, to należy do oporządzenia. Nie wiedzieliśmy, co pakować, poza rzeczami zwykle zabieranymi w podróż i chroniącymi przed zimmem. Właściwych rzeczy zawsze brakuje, trzeba improwizować. Nieodpowiednie staje się konieczne. Konieczne jest wtedy jedynym właściwym, tylko dlatego że jest w naszym posiadaniu.

Mama przyniosła z salonu gramofon i postawiła go na stole w kuchni. Za pomocą śrubokrętu zrobiłem ze skrzynki na gramofon walizkę. Najpierw wymontowałem mechanizm i talerz obrotowy. Potem zatkałem korkiem dziurę po korbce. Podszewka została w środku, lisiorudy aksamit. Trójkątnej plakietki z psem przed tubą **HIS MASTER'S VOICE** też nie zdjąłem. Na dnie walizki położyłem cztery książki: *Fausta* w płócienniej okładce, *Zaratustrę*, cienkiego Weinhebera i zbiór liryki z ośmiu stuleci. Żadnych powieści, bo te czyta się tylko raz i nigdy ponownie. Na książkach spoczęła kosmetyczka. W niej: i flakonik wody toaletowej, i flakonik wody po goleniu **TARR**, i mydło do golenia, i maszynka do golenia, i pędzel do golenia, i bryłka ałunu, i mydło, i nożyczki do paznokci. Obok kosmetyczki położyłem i parę wełnianych skarpet (brązowe, cerowane), i parę podkole - nówek, i koszulę flanelową w czerwono-białą kratkę, 2 pary krótkich prążkowanych kalesonów. Na sam wierzch powędrował nowy jedwabny szal, żeby się nie pogniótł. Był w bordową kratkę, na przemian błyszczącą i matową. Walizka była pełna.

Potem tobolek: i kapa z sofy (wełniana, w jasnoniebiesko - - beżową kratkę, olbrzymia, ale nietrzymająca ciepła). I zwinięte w nią: i prochowiec (pieprz i sól, bardzo znoszony) i i para skórzanych owijaczy (prastare, z pierwszej wojny światowej, żółte jak melony, z troczkami).

Potem chlebak: i puszka szynki marki Scandia, 4 kanapki, kilka ciastek z Bożego Narodzenia, 1 manierka wody z kubkiem.

Potem babcia postawiła gramofonową walizkę, tobolek i chlebak obok drzwi. Dwaj milicjanci zapowiedzieli, że przyjdą po mnie o północy. Bagaż stał gotowy pod drzwiami. Potem się ubrałem: 1 długie kalesony 1 koszula flanelowa (w beżowozieloną kratkę), 1 pumpy (szare, jak już mówiłem, od wujka Edwina), 1 kamizelka z materiału z dzierganymi rękawami, 1 para wełnianych skarpetek i 1 para solidnych górskich butów. Zielone rękawiczki od ciotki Fini leżały przygotowane na stole. Zawiązywałem buty i przypomniało mi się, że mama nosiła przed laty, na wakacjach na Wench, własnoręcznie uszyte marynarskie ubranie. Podczas spaceru po łące upadła naraz w wysoką trawę i udawała, że nie żyje. Miałem

wtedy osiem lat. To przerażenie, niebo spadło w trawę. Zamknąłem oczy, żeby nie widzieć, jak mnie połyka. Mama poderwała się, potrząsnęła mną i powiedziała: Kochasz mnie, przecież jeszcze żyję.

Buty były zasznurowane, usiadłem przy stole i czekałem na północ. Północ przyszła, ale patrol się spóźnił. Musiały upłynąć jeszcze trzy godziny, prawie nie do zniesienia. W końcu przyszli. Mama podała mi płaszcz z czarnym aksamitnym ściągaczem. Włożyłem go. Ona płakała. Wsunąłem dłonie w zielone rękawiczki. Na drewnianym krużganku, dokładnie tam, gdzie wisi gazomierz, babcia powiedziała: **WIEM, ŻE WRÓCISZ.**

Nie zapamiętałem tego zdania celowo. Zabrałem je ze sobą do obozu przypadkiem. Nie miałem pojęcia, że mi towarzyszy. Takie zdanie jest jednak samodzielne. Pracowało we mnie, bardziej niż wszystkie książki, które z sobą zabrałem. **WIEM, ŻE WRÓCISZ** stało się współnikiem serdecznej łopaty i przeciwnikiem anioła głodu. Ponieważ wróciłem, wolno mi powiedzieć: takie zdanie trzyma przy życiu.

Kiedy zabrał mnie patrol, była trzecia w nocy 15 stycznia 1945. Zimno przenikało na wskroś, było minus piętnaście stopni. Jechaliśmy ciężarówką z plandeką przez puste miasto do hali targowej. Była to hala widowiskowa Saksoń - czyków. A teraz obóz zbiorczy. W hali tłoczyło się około trzystu osób. Na podłodze leżały materace i worki ze słomą. Przez całą noc pod halę podjeżdżały samochody, również z sąsiednich wsi, i wyładowywały zebranych ludzi. Nad ranem było ich około pięciuset. Liczenie na nic się nie zdało tej nocy, nie sposób się było połapać. W hali targowej całą noc paliło się światło. Ludzie biegali w kółko, szukali znajomych. Chodziły słuchy, że na dworcu zebrano stolarzy, że w bydłęcych wagonach zbijają prycze z surowego drewna. A inni rzemieślnicy montują w pociągach kozy. Jeszcze inni wycinają dziury kloaczne w podłodze. Mówiono dużo i cicho, z szeroko otwartymi oczami, i płakano dużo i cicho, z oczami zaciśniętymi mocno. Powietrze pachniało starą wełną, spoconym strachem, tłustą pieczenią, ciastkami waniliowymi i sznappsem. Jakaś kobieta zdjęła z głowy chustkę. Na pewno była ze wsi, warkocz miała dwa razy okręcony z tyłu głowy i podpięty pośrodku półokrągłym grzebieniem z rogu. Zęby grzebienia ginęły we włosach, z jego wybrzuszzonego brzegu wystawały tylko dwa rogi, jak małe spiczaste uszy. Z uszami i grubym warkoczem tył głowy wyglądał jak siedzący kot. Tkwiłem niczym widzący między stojącymi nogami a stertami bagażu. Na kilka minut odurzył mnie sen i śniło mi się:

Stoję z mamą na cmentarzu przed świeżym grobem. Na nim pośrodku rośnie roślina z mięsistymi liśćmi, sięga mi do pasa. Na łodydze ma torebkę nasienną ze skórzanym uchwytem, małą walizkę. Torebka jest otwarta na szerokość palca, wyłożona lisiorudym aksamitem. Nie wiemy, kto umarł. Mama mówi: Wyjmij kredę z kieszeni płaszcza. Przecież

nie mam kredy, mówię. Kiedy sięgam do kieszeni, znajduję w niej kawałek kredy krawieckiej. Mama mówi: Musimy napisać na walizce krótkie imię. Napiszmy RUTH, tak nie nazywa się nikt, kogo znamy. Piszę RUTH.

We śnie było dla mnie oczywiste, że to ja umarłem, ale nie chciałem tego mówić mamie. Ze snu wyrwał mnie starszy mężczyzna z parasolem. Usiadł koło mnie na worku ze słomą i powiedział tuż nad moim uchem: Szwagier chce przyjść, ale hala jest strzeżona. Nie wpuszczą go. Jesteśmy jeszcze w mieście, ale już ani on nie może wejść, ani ja wyjść do domu. Na każdym srebrnym guziku jego marynarki leciał ptak, dzika gęś, a może raczej albatros. Ponieważ kiedy się pochylałem, krzyż na jego orderze zamienił się w kotwicę. Parasol stał jak laska między mną a nim. Spytałem: Bierze go pan ze sobą. Tam śnieg pada jeszcze bardziej niż tu, powiedział.

Nie poinformowano nas, kiedy i jak będziemy musieli przemieścić się z hali na dworzec. Kiedy będziemy mogli, miałbym ochotę powiedzieć, ponieważ pragnąłem w końcu wyruszyć, nawet jeśli w bydłącym wagonie, z pudełkiem od gramofonu, aksamitnym ściągaczem i do Rosjan. Nie wiem, jak dostaliśmy się na dworzec. Bydłące wagony były wysokie. Procedury wsiadania też nie pamiętam, ponieważ jechaliśmy w bydłych wagonach tak długie dni i noce, jakbyśmy byli w nich od zawsze. Nie pamiętam już, jak długo jechaliśmy. Byłem zdania, że jechać długo oznacza odjeżdżać daleko. Dopóki jedziemy, dopóty nic nie może się nam stać. Dopóki jedziemy, jest dobrze.

Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, z bagażem u wezłowania pryczy. Mówić i milczeć, jeść i pić. Butelki z wódką krążyły. Kiedy jazda była już nawykiem, tu i tam zaczęły się pierwsze pieszczoty. Śledziło się je jednym okiem, a drugie uciekało w bok.

Siedziałem obok Trudi Pelikan i powiedziałem: Czuję się jak na wycieczce narciarskiej w Karpatach, w schronisku nad jeziorem Bulea, gdzie pół naszej klasy pochłonęła lawina. Nam to się nie może przytrafić, powiedziała, nie wzięliśmy kombinezonów. Na skrzynce gramofonowej można galopować, konno, konno, konno, tak przez dzień, tak przez noc, znów przez dzień, znasz przecież Rilkego, powiedziała Trudi Pelikan w rozkloszowanym płaszczu z futrzanymi mankietami do łokci. Mankiety z brązowego włosia, jak dwa przepołowione pieski. Trudi Pelikan wsuwała czasem ręce w rękawy i dwie psie połówki zamieniały się w całego psa. Wtedy nie widziałem jeszcze stepu, bo pomyślałbym o ziemnych psach. Trudi Pelikan pachniała ciepłymi brzoskwiniami, nawet z ust, nawet trzeciego, czwartego dnia w bydłym wagonie. Siedziała w swoim płaszczu jak dama w tramwaju w drodze do biura i opowiadała mi, że cztery dni ukrywała się w ogrodzie w norze za szopą. Potem jednak spadł śnieg, każdy krok między domem, szopą a norą stał się widoczny. Matka

nie mogła jej już dłużej potajemnie przynosić jedzenia. W całym ogrodzie można było czytać ślady. Śnieg denuncjował, musiała dobrowolnie opuścić kryjówkę, dobrowolnie, zmuszona przez śnieg. Nigdy mu tego nie wybaczę, powiedziała. Świeżego śniegu nie da się naśladować, nie da się go ułożyć tak, żeby wyglądał na nienaruszony. Ziemię można ułożyć, powiedziała, również piasek, a nawet trawę, jeśli się postarać. Woda układa się sama, ponieważ wszystko połyka i jak tylko połknie, zamyka się bez śladu. A powietrze jest zawsze ułożone, ponieważ nawet go nie widać. Wszystko poza śniegiem milczałoby, powiedziała Trudi Pelikan. Śnieg ponosi główną winę. Spadł wprawdzie w mieście, jakby wiedział, gdzie jest, jakby był u siebie. Jednak natychmiast był na usługi Rosjan. Ponieważ śnieg mnie zdradził, jestem tutaj, powiedziała Trudi Pelikan.

Pociąg jechał dwanaście dni albo czternaście, niezliczone godziny, nie zatrzymując się. Potem zatrzymał się na niezliczone godziny, nie jadąc. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Chyba że ktoś z górnych pryczy zdołał przeczytać przez szparę uchylnego okienka nazwę dworca: **BUZAU**. Ogień w kozie pośrodku wagonu trząsał. Butelki z wódką krążyły. Wszyscy byli zawiani, niektórzy od trunku, inni od niepewności. Albo od tego i tego.

Co mogło się kryć za słowami **DEPORTOWANI PRZEZ RO - SJAN**, przemykało mi czasem przez głowę, ale nie pozostawiało śladu. Pod ścianą będą mogli nas postawić dopiero, jak dojedziemy, ale na razie jedziemy. To, że nie zostaliśmy jeszcze postawieni pod ścianą i rozstrzelani, jak głosiła nazistowska propaganda w domu, napawało nas prawie beztróską. Mężczyźni uczyli się w bydlęcym wagonie pić ze wzrokiem tępo utkwionym w dal. Kobiety uczyły się śpiewać ze wzrokiem tępo utkwionym w dal.

W lesie kwitnie wawrzynek, W rowie leży śnieg, Wczoraj do mnie napisałeś, Twój liścik rani mnie.

Zawsze ta sama powolna pieśń, aż w końcu nie było wiadomo, czy ktoś jeszcze rzeczywiście śpiewa, ponieważ powietrze śpiewało. Piosenka chlupotała w głowie i dopasowywała się do rytmu jazdy - blues bydlęcych wagonów i kilometrowa muzyka ożywionego czasu. Stała się najdłuższą piosenką mojego życia, przez pięć lat śpiewały ją kobiety, zarażając ją tą samą tęsknotą za domem, na którą chorowaliśmy wszyscy. Drzwi do wagonu były zaplombowane od zewnątrz. Cztery razy zostały otwarte, przesuwne drzwi na prowadnicach. Byliśmy jeszcze na terenie Rumunii i dwa razy wrzucono nam do wagonu pół przeciętej wzdłuż kozy bez sierści. Była zmrożona na kość i z łoskotem upadła na podłogę wagonu. Pierwszą kozę uznaliśmy za opał. Rozerwaliśmy ją na kawałki i spaliliśmy. Była tak zasuszona, że wcale nie śmierdziała, paliła się dobrze. Przy drugiej zaczęło krążyć słowo **PASTRAMI**, suszone mięso do jedzenia. Również naszą drugą kozę spaliliśmy ze śmiechem.

Była tak samo sztywna i niebieska jak pierwsza, kościsty upiór. Śmialiśmy się za wcześnie, byliśmy tak arogancy, że wzgardziliśmy obiema rumuńskimi dobroczynnymi kozami.

Im bardziej dłużył się czas, tym bardziej rosła zażyłość. W ścisku działały się małe rzeczy, usiąść, wstać. Pogrzebać w walizce, wyprzątnąć ją, ułożyć wszystko z powrotem. Pójść do dziury kloacznej zasłoniętej dwoma kocami. Jeden drobiazg pociągał za sobą następny. W bydłym wagonie kurczy się wszelka odrębność. Istnieje się raczej między innymi niż w sobie. Wcale nie trzeba się ze sobą liczyć. Wszyscy byliśmy dla siebie jak domownicy. Może mówię tylko o sobie, kiedy dziś o tym opowiadam. A może nawet o sobie nie mówię. Może ścis w bydłym wagonie oswoił mnie, ponieważ tak czy inaczej chciałem jak najdalej od domu i miałem w walizce jeszcze dość jedzenia. Nie przeczuwaliśmy, że już wkrótce dobierze się do nas dziki głód. Jak często podczas tych pięciu lat, kiedy nawiedzał nas anioł głodu, przypominaliśmy sobie te sztywne niebieskie kozy. I jak ich żalowaliśmy.

Panowała rosyjska noc, Rumunia leżała już za nami. Podczas wielogodzinnego postoju czuliśmy silne szarpnięcia. Koła były przestawiane na rosyjskie tory, na szerokość stepu. Śnieg rozjaśniał noc. Tej nocy na pustym polu stanęliśmy po raz trzeci. Rosyjscy strażnicy krzyczeli **UBORNAJA**. Wszystkie drzwi wszystkich wagonów zostały otwarte. Wypadaliśmy po kolei w śnieżny kraj, zapadając się po kolana. Pojęliśmy, nie rozumiejąc, że ubornaja oznacza wspólne załatwianie potrzeby. W górze, bardzo wysoko w górze okrągły księżyc. Oddech unosił się przed twarzami lśniąco biały jak śnieg pod nogami. Dookoła karabiny maszynowe gotowe do strzału. A teraz: spodnie w dół.

Ta niezręczność, wstyd całego świata. Dobrze, że ten śnieżny kraj był z nami sam na sam, że nikt nie przyglądał się, jak nas zmusza, byśmy ramię w ramię robili to samo. Nie musiałem za potrzebą, opuścić jednak spodnie i przykucnąłem. Jakże podły i cichy był ten nocny kraj, kiedy kompromitował nas w naszej fizjologii. Po mojej lewej stronie Trudi Pelikan podwijając rozkloszowany płaszcz i spuszczała spodnie do kostek, między jej butami słychać było cichy szmer. Za mną stękał, prąc, adwokat Paul Gast, jego żonie Heidrun Gast od biegunki grały kiszki. Ciepła niczym smoła para zamarzała natychmiast, połyskując w powietrzu. Śnieżny kraj zaaplikował nam końską kurację, wpędził nas z gołymi tyłkami w samotność przy akompaniamencie burczenia podbrzuszy. Jak nędzne stały się nasze wnętrzności w tej wspólnocie.

Może tej nocy nie ja, tylko strach we mnie naraz dorósł. Może wspólnota jedynie w ten sposób staje się rzeczywista. Ponieważ wszyscy, wszyscy bez wyjątku, przykucnęliśmy za potrzebą, instynktownie zwracając twarze w kierunku nasypu.

Wszyscy mieliśmy księżyc na plecach, nie spuszczaaliśmy oczu z otwartych drzwi

bydlęcych wagonów, byliśmy na nie skazani jak na drzwi do pokoju. Odczuwaliśmy obłąkańczy strach, że drzwi zamkną się i pociąg odjedzie bez nas. Ktoś krzyknął w rozległą noc: No i proszę, srający Saksończycy, wszyscy w kupie. Jak wszystko diabli wezmą, to nie diabli na tym ucierpią. W końcu życie chętnie, prawda. Jego śmiech brzmiał pusto jak blacha. Wszyscy odsunęli się od niego. Miał wreszcie wystarczająco dużo miejsca, skłonił się przed nami jak aktor i powtórzył wysokim i uroczystym tonem: Życie chętnie, prawda.

W jego głosie brzmiało echo. Niektórzy zaczęli płakać, powietrze było szkliste. Jego twarz zanurzyła się w obłędzie. Ślina na marynarce była z lukru. Naraz zobaczyłem order, to był mężczyzna z albatrosowymi guzikami. Stał całkiem sam i szlochał jak dziecko. Przy nim został jedynie zapach - prany śnieg. A za nim zamarznęty świat z księżycem, jak zdjęcie rentgenowskie.

Lokomotywa wydała z siebie jeden jedyny głuchy ton. Najgłębsze uuu, jakie kiedykolwiek słyszałem. Każdy pchał się do swoich drzwi. Wsiadliśmy i pojechaliśmy dalej.

Tego mężczyznę rozpoznałbym i bez orderu. W obozie nigdy go nie widziałem.

Łoboda

Nic, co dostaliśmy w obozie, nie miało guzików. Podkoszulki i długie kalesony miały po dwie tasiemki. Poszewka na poduszkę miała dwa razy po dwie tasiemki. W nocy poszewka była poszewką, w dzień płóciennym workiem, który nosiło się przy sobie na wszelki wypadek, czyli na kradzież i żebrzy.

Kradliśmy przed pracą, w czasie pracy i po niej, ale nie w czasie zebrania, które nazywaliśmy domokrażstwem, i nie od sąsiada z baraku. Kradzieżą nie było też, gdy po pracy w drodze do domu szliśmy w zielsko na wysypisku i wypełnialiśmy nim poszewkę na poduszkę. Już w marcu nasze kobiety ze wsi odkryły, że zielsko z zygzakowatymi liśćmi nazywa się **ŁOBODA**. Że również w domu jadło się je wiosną jak dziki szpinak, że u nas nazywa się **MELDEKRAUT**. Zbieraliśmy też trawę z pierzastymi liśćmi, to był dziki koper. Do tego potrzebna była sól. Sól organizowało się na bazarze w drodze wymiany. Była szara i gruba jak żwir, trzeba ją było rozbijać. Sól kosztowała majątek. Mieliśmy dwa przepisy na łobodę:

Liście łobody można jeść na surowo, oczywiście posolone, jak roszone. Dziki koper drobno poskubać i posypać nim danie. Albo całe łodygi łobody gotować w osolonej wodzie.

Wyłowione z wody łyżką świetnie udają szpinak. Wodę z gotowania można pić jak rosół albo zieloną herbatę.

Wiosną łoboda jest delikatna, cała roślina wysokości palca i srebrnozielona. Wczesnym latem sięga do kolan, liście robią się palczaste. Każdy liść może wyglądać inaczej,

jak inna rękawiczka, od dołu jest zawsze kciuk. Taka srebrnozielona łoboda jest chłodną rośliną, wiosennym jedzeniem. Latem trzeba było uważać, łoboda szybko rośnie, rozgałęzia się intensywnie, łodygi twardnieją i łykowacieją. Smakuje gorzko jak łą. Rośnie do wysokości bioder, wokół łodygi powstaje rzadki krzak. Późnym latem liście i gałęzie przebarwiają się, zaczynają od różu, robią się krwawoczerwone, potem liliowe, a jesienią ciemnieją aż do głębokiego indygo. Na czubkach pędów pojawiają się graniaste wiechy z kuleczek, jak na pokrzywach. Tyle że wiechy łobody nie wiszą, tylko sterczą ukośnie do góry. Również one zmieniają barwę od różu do indygo.

To dziwne, kiedy łoboda zaczyna się przebarwiać i nie nadaje się do jedzenia, robi się naprawdę piękna. Chroniona przez swoją urodę rośnie sobie na skraju drogi. Czas jedzenia łobody minął. Ale nie głód, który jest zawsze większy od głodnego.

Co można powiedzieć o chronicznym głodzie. Czy można powiedzieć, że istnieje głód, który sprawia, że jesteś chorobliwie głodny. Coraz to głodniejszy głód dołącza do głodu, który już odczuwasz. Wciąż nowy głód, który rośnie nienasyconie i wskakuje w prastary, z trudem poskramiany głód. Jak chodzić po świecie, gdy nie masz o sobie do powiedzenia nic nad to, że jesteś głodny. Podniebienie jest większe od głowy, jest kopułą, wysoką i niosącą echo, sięga aż do sklepienia czaszki. Kiedy już nie wytrzymujesz głodu, czujesz na podniebieniu napięcie, jakby pod twarzą rozpięto do suszenia świeżo ściągniętą skórę zająca. Policzki wysychają i pokrywają się bladym puszkciem.

Nigdy nie wiedziałem, czy powinniśmy robić gorzkiej łą - bodzie wyrzuty za to, że nie da się jej jeść, ponieważ łykowacieje i w ten sposób pozbawia nas siebie. Czy łoboda wie, że nie służy nam, tylko głodowi. Czerwone graniaste wiechy są klejnotem na szyi anioła głodu. Od wczesnej jesieni, gdy nadchodził pierwszy mróz, łoboda przystrajała się codziennie coraz piękniej, aż zamarzła. Były to kolory piękne jak trucizna, kłuły w gałkę oczną. Wiechy, niezliczone szeregi czerwonych naszyjników, każdy skraj drogi przystrajał anioła głodu. On nosił swoją biżuterię. A my nosiliśmy podniebienia tak wysokie, że podczas chodzenia echo kroków piętrzyło się w ustach. Przezroczystość w czaszce, jakby połknęło się za dużo jaskrawego światła. Takiego światła, które przygląda się samo sobie w ustach, słodkawo wślizguje w języczek na podniebieniu, aż ten puchnie i dociera do mózgu. Aż w głowie zamiast mózgu jest tylko echo głodu. Nie ma odpowiednich słów na cierpienie, którego przysparza głód. Jeszcze dziś muszę pokazywać głodowi, że mu się wymknąłem. Dosłownie jem życie, odkąd nie muszę głodować. Kiedy jem, jestem zamknięty w smaku jedzenia. Od mojego powrotu z obozu, od sześćdziesięciu lat, jem przeciwko umieraniu z głodu. Widziałem łobodę, której nie można było jeść, i próbowałem myśleć o czymś innym. O

ostatnim zmęczonym ciepłe późnego lata, zanim nadejdzie lodowata zima. Zamiast tego myślałem jednak o kartoflach, których nie było. I o kobietach, które mieszkały w kołchozie i może dostawały już młode kartofle w codziennym kapuśniaku. Poza tym nikt im nie zazdrościł. Mieszkały w norach w ziemi i codziennie musiały pracować o wiele dłużej niż my, od początku do końca światła.

Wiosna w obozie oznaczała dla nas gotowanie łobody. Jej niemiecka nazwa **MELDEKRAUT** jest mocna, ale nic nie znaczy Dla nas, meldujących się na wysypisku, **MELDE** było słowem bez specjalnego wydźwięku, słowem, które zostawiało nas w spokoju. Nie brzmiało jak **MELDUJ SIĘ**, nie było rośliną apelową, tylko słowem na skraju drogi. Było to słowo powieczornoapelowe - roślina poapelowa, na pewno nie apelowa. Często niecierpliwie czekaliśmy na gotowanie **MELDEKRAUT**, ponieważ odliczanie było jeszcze przed nami i trwało wiecznie, ponieważ nic się nie zgadzało.

W naszym obozie było 5 **RB - ROBOCZYCH BATALIONÓW**. Każdy z nich nazywał się **ORB** - Odielnyj Roboczyj Batalion - i składał się z 500 do 800 internowanych. Mój batalion miał numer 1009, ja miałem numer 756.

Stawaliśmy w zwartym szyku - jeśli można tak powiedzieć pięciu regimentach nędzy złożonych z wytrzeszczonych oczu, wielkich nosów, zapadniętych policzków. Brzuchy nogi napompowane były wodą. Czy mróz, czy skwar, całe wieczory upływały na staniu w bezruchu. Tylko wszom wolno się było na nas poruszać. Podczas niekończącego się odliczania mogły się opić do pełna i paradować po naszym nędznym mięsie, godzinami wędrować od głowy do włosów łonowych. Zazwyczaj wszy dawno się już opily i położyły spać w szwach waciaków, a my nadal staliśmy w bezruchu. Komendant obozu Szysztwanionow nadal krzyczał. Jego imienia nie znaleźliśmy. Nazywał się tylko towarzyszc Szysztwanionow. Już samo nazwisko było wystarczająco długie, aby jąkać się ze strachu, wypowiadając je. Mnie nazwisko towarzyszc Szysztwanionow kojarzyło się zawsze ze stukotem kół deportacyjnej lokomotywy. I z białą niszą w kościele, w domu, **NIEBIOSA OŻYWIAJĄ CZAS**. Może przeciwko tej białej niszy musieliśmy zamierać w bezruchu. Kości robiły się toporne i ciężkie jak żelazo. Kiedy mięso znika z ciała, kości są ciężarem, zaczynają wypychać człowieka pod ziemię.

Podczas apelów ćwiczyłem, jak zapomnieć o sobie i nie rozdzielać wdechu od wydechu. I jak zwrócić oczy ku górze, nie podnosząc głowy. I szukać na niebie brzegu chmury, na którym można powiesić kości. Kiedy zapomniałem o sobie i znajdowałem niebiański hak, on trzymał mnie mocno.

Często nie było ani jednej chmury, tylko jednolity błękit jak otwarta woda.

Często niebo było całkowicie zaciągnięte, jednolita szarość.

Często chmury płynęły i żaden hak nie mógł się utrzymać.

Często deszcz palił w oczy i przyklejał ubranie do skóry. Często mróz rozgryzał wnętrzności.

W takie dni niebo ciągnęło oczy do góry, a apel ściągał je w dół - kości wisały we mnie bez oparcia.

Kapo Tur Prikulicz kroczył między nami a komendantem Szyszwanionowem, w jego rękach szeleściły wykazy deportowanych, wygniecione od ciągłego kartkowania. Za każdym razem, kiedy wywoływał numer, kołysał klatką piersiową jak kogut. Nadal miał dziecięce dłonie. Moje dłonie urosły w obozie, zrobiły się kwadratowe, twarde i płaskie jak dwie deski.

Kiedy ktoś z nas po apelu zbierał się na odwagę i pytał jednego z naczelników, albo nawet samego komendanta Szysz - wanionowa, kiedy wrócimy do domu, odpowiadali krótko: **SKORO DOMOJ.**

To rosyjskie słówko **SKORO** skradło nam najdłuższy czas świata.

U golibrody Oswalda Enyetera Tur Prikulicz obcinał sobie również włosy w nosie i paznokcie. Golibroda i Tur Prikulicz byli krajanami z trójstyku na Ukrainie Zakarpackiej. Spytałem, czy panuje tam taki obyczaj, że lepszym klientom obcina się w golarni także paznokcie. Golibroda odpowiedział: Nie, nie ma takiego zwyczaju na Zakarpaciu. To wymysł Tura, bynajmniej nieprzywieziony z domu. W domu to mamy piąte po dziesiątym. Co to znaczy, spytałem. Golibroda odpowiedział: Taki bałamuk. Co to znaczy, spytałem. Odpowiedział: Pomieszanie z poplątaniem.

Tur Prikulicz nie był takim Rosjaninem jak Szyszwanionow. Mówił po niemiecku i rosyjsku, należał jednak do Rosjan, nie do nas. Został wprawdzie internowany, ale był adiutantem kierownictwa obozu. Dzielił nas na papierze na bataliony robocze i tłumaczył rosyjskie rozkazy. I dodawał do nich swoje po niemiecku. Na papierze przyporządkowywał nasze nazwiska i numery do numerów batalionów. Każdy musiał dzień i noc pamiętać swój numer i wiedzieć, że odtąd jest numerem, a nie osobą.

Tur Prikulicz wpisywał do rubryk obok naszych nazwisk: kołchoz, fabryka, wywożenie gruzu, transport piasku lub węgla, odcinek kolejowy, budowa, warsztat, bateria koksownicza, żużel, piwnica. Od tego, co widniało obok nazwiska, zależało wszystko. Czy będziemy po prostu zmęczeni, zmęczeni jak psy, czy też śmiertelnie zmęczeni. Czy po pracy będziemy mieli jeszcze czas i siłę na domokrażstwo. Czy uda nam się niepostrzeżenie pogrzebać w odpadkach kuchennych za stołówką.

Tur Prikulicz nigdy nie chodzi do pracy, do żadnego batalionu, do żadnej brygady, na

żadną zmianę. Rządzi, dlatego jest dziarski i pogardliwy. Za jego uśmiechem czai się podstęp. Kto odwzajemnia ten uśmiech, czego trudno uniknąć, blamuje się. Uśmiech Tura oznacza, że do rubryki przy nazwisku wpisał coś nowego, gorszego. Między barakami na obozowym korso omijam go, wolę odległość uniemożliwiającą rozmowę. Stawia na ziemi buty błyszczące niczym dwie lakierowane torebki, wysoko podnosząc nogi, jakby pusty czas wypadał z niego przez podeszwy. Wszystko zapamiętuje. Mówią, że nawet to, o czym zapomni, staje się rozkazem.

U golibrody Tur Prikulicz góruje nade mną. Mówi, co chce, niczego przy tym nie ryzykując. Nawet lepiej, kiedy nas rani. Wie, że musi trzymać nas krótko, żeby wszystko zostało tak, jak jest. Wyciąga szyję i mówi zawsze z góry. Ma cały dzień, żeby podobać się sobie. Mnie też się podoba. Jest atletycznie zbudowany, ma mosiężnożółte oczy o oleistym spojrzeniu, małe przylegające uszy jak dwie broszki, brodę z porcelany, nozdrza różowe jak kwiaty tytoniu, szyję z wosku. Nigdy nie wykonuje brudnej pracy i na tym polega jego szczęście. To szczęście czyni go piękniejszym, niż na to zasługuje. Kto nie zna anioła głodu, może komenderować na placu apelowym, paradować po obozowym korso, uśmiechać się podstępnie u golibrody. Ale nie powinien zabierać głosu. Wiem o Turze Prikuliczu więcej, niżby chciał, ponieważ znam dobrze Beę Zakel. Jest jego kochanką.

Rosyjskie rozkazy przypominają nazwisko komendanta obozu, towarzysza Szyszwanionowa, chrzczenie i szeleszczenie: sz, cz, szcz. Treści rozkazów nie rozumieliśmy, ale pogardę w nich zawartą tak. Do pogardy można się przyzwyczaić. Z czasem polecenia brzmiały już tylko jak nieustanne pochrząkiwanie, kaszlenie, kichanie, smarkanie, spluwanie - jak wydalanie flegmy. Trudi Pelikan mówiła: Rosyjski jest wychłodzonym językiem.

Podczas gdy inni męczyli się jeszcze wieczornym bezruchem, robotnicy zmianowi, zwolnieni z apelu, rozpalali ogień za studnią. Stawiali na nim garnki z łobodą albo innymi cennymi rzeczami, potrzebującymi pokrywki, żeby się pod nią schować. Buraki, kartofle, nawet proso, jeśli powiodła się jakaś sprytna wymiana - dziesięć buraczków za kurtkę, trzy miarki proso za sweter, pół miarki cukru albo soli za parę wełnianych skarpet.

Do wyjątkowego jedzenia konieczna była pokrywka. Pokrywek nie było. Może kawałek blachy, a i ten najwyżej w marzeniach. Obojętnie jak, pokrywkę zawsze z czegoś się robiło. I mówiło z uporem: pokrywka być musi. Chociaż nigdy nie była to pokrywka, bo zostało nam tylko słowo. Może pamięć sama wciska się pod pokrywkę, kiedy nie pamiętamy, z czego była zrobiona pokrywka, a mimo to była, nigdy i zawsze, i obojętne z czego.

W każdym razie w kącie obozu za studnią migotało o zmroku piętnaście do

dwudziestu ogników, każdy między dwiema cegłami. Pozostali nie mieli nic do gotowania, nic, co można by dodać do ochłapów z kantyny. Węgiel dymił, właściciele garnków stali na straży z łyżkami w ręku. Węgla nie brakowało. Garnki były z kantyny, nędzny wyrób lokalnego przemysłu. Pokryte szarobrązową emalią blaszane pojemniki, nadtluczone i powgniatane. Na ogniu na dworze były garnkami, na stole w kantynie talerzami. Gdy tylko jedna osoba kończyła gotować, podchodzili następni, którzy czekali już w kolejce, by przejąć ogień.

Kiedy nie miałem nic do gotowania, dym wił mi się przez usta. Wciągałem język i przeżuwałem pustkę. Jadłem ślinę z wieczornym dymem i myślałem o pieczonej kielbasie. Kiedy nie miałem nic do gotowania, podchodziłem jak najbliżej ognisk i garnków i udawałem, że myję przy studni zęby przed snem. Lecz zanim włożyłem szczoteczkę do ust, jadłem dwa razy. Głodem oczu jadłem żółty ogień, głodem podniebienia dym. Gdy jadłem, wokół mnie było cicho, a z fabryki dolatywało przez mrok dudnienie baterii koksowniczych. Im szybciej chciałem odejść od studni, tym powolniejszy się stawałem. Siłą musiałem odrywać się od ogników. W dudnieniu baterii koksowniczych słyszałem burczenie żołądka, cały wieczorny pej zaś był głodny. Niebo opadało czernią na ziemię, a ja szedłem, zataczając się, do baraku, w żółte światło służbowej żarówki.

Zęby dało się myć bez pasty. Ta zabrana z domu już dawno się skończyła. A sól była zbyt cenna, nie wolno jej było wypluwać, kosztowała majątek. Sól i jej wartość pamiętam. Szczoteczki wcale. Na pewno wziąłem ze sobą jakąś w kosmetyczce. Ale z pewnością nie przetrwała czterech lat. Nową zaś kupiłem, jeśli w ogóle, dopiero w piątym i ostatnim roku, kiedy dostaliśmy pieniądze, gotówkę za naszą pracę. Ale również nowej szczoteczki, jeśli w ogóle istniała, nie pamiętam. Może wolałem za te pieniądze kupić nowe ubranie, a nie nową szczoteczkę. Pasta, którą wziąłem z domu, nazywała się **CHLORODONT**. Ta nazwa mnie pamięta. Szczoteczki, zarówno ta pierwsza, pewna, jak i ta druga, możliwa, zapomniały o mnie. To samo z grzebieniem. Musiałem mieć jakiś. Przypominam sobie słowo **BAKELIT**. Pod koniec wojny wszystkie grzebienie w domu były z bakelitu.

Czy to możliwe, że szybciej zapomniałem rzeczy przywiezione z domu niż te nabyte w obozie. A jeśli tak, to czy dlatego, że przyszły ze mną. Że posiadałem je już wcześniej i używałem ich, aż się zużyły, albo jeszcze dłużej, jakbym był z nimi nie gdzie indziej, tylko w domu. Czy to możliwe, że cudze rzeczy pamiętam lepiej, ponieważ musiałem je pożyczać.

Dobrze pamiętam blaszane grzebienie z obozu. Pojawiły się razem z wszami. Tokarze i ślusarze robili je w fabryce i dawali kobietom w prezencie. Były z blachy aluminiowej, miały wyszczerbione zęby, a w ręce i na skórze głowy pozostawiały wrażenie wilgoci, bo

wiało od nich chłodem. Trzymane w ręku, szybko przejmowały ciepło ciała i pachniały gorzko jak rzodkiew. Zapach zostawał w ręce długo po odłożeniu grzebienia. Błazane grzebienie mierzwiły włosy w gniazda, trzeba było szarpać i ciągnąć. Na grzebieniach zostawało więcej włosów niż wszy.

Do wyczesywania wszy były też czworokątne rogowe grzebienie z zębami po obu stronach. Dziewczyny ze wsi przywiozły je ze sobą z domu. Po jednej stronie szerokie zęby do robienia przedziałka i rozdzielania włosów, po drugiej bardzo gęste zęby do wyczesywania wszy. Grzebienie z rogu były solidne, ciężko leżały w dłoni. Włosy dawały się rozczesać i zostawały gładkie. Grzebienie z rogu można było pożyczyć od dziewczyn ze wsi.

Od sześćdziesięciu lat chcę sobie przypomnieć przedmioty z obozu. Są moimi rzeczami z nocnej walizki. Od powrotu z obozu bezsenna noc jest walizką z czarnej skóry. Od sześćdziesięciu lat nie wiem jedynie, czy nie mogę spać, ponieważ chcę przypomnieć sobie te przedmioty, czy też jest na odwrót. Czy zmagam się z nimi, ponieważ i tak nie mogę spać. Tak czy inaczej, noc pakuje swoją czarną walizkę wbrew mojej woli, muszę to podkreślić. Muszę przypominać sobie wbrew mojej woli. A nawet jeśli nie muszę, tylko chcę, wolałbym nie musieć chcieć.

Czasem przedmioty z obozu napadają mnie nie pojedynczo, tylko całą zgrają. Dlatego wiem, że przedmiotom, które mnie nawiedzają, nie chodzi wcale, albo nie tylko o moją pamięć, lecz o dręczenie mnie. Ledwo pomyślę, że do kosmetyczki włożyłem przybory do szycia, natychmiast wtrąca się ręcznik, a ja nie wiem, jak on wyglądał. Dołącza się szczoteczka do paznokci, a ja nie wiem, czy ją miałem. Do tego jeszcze lusterko, które było lub nie. I zegarek, a ja nie wiem, gdzie się podział, jeśli w ogóle wzięłem go ze sobą. Przedmioty, które być może nie mają ze mną nic wspólnego, szukają mnie. Chcą mnie nocą deportować, odwiedzić do obozu, chcą mnie. Ponieważ przychodzą całą zgrają, zostają nie tylko w głowie. W żołądku czuję ucisk, który wspina się do podniebienia. Huśtawka oddechu robi salto, zaczynam dyszeć. Taka zębogrzebienionożyczkolustroszczotka to potwór, tak jak głód jest potworem. Ale nie byłoby plagi przedmiotów, gdyby głód nie zaistniał jako przedmiot.

Kiedy nocą nawiedzają mnie przedmioty i zabierają mi powietrze, otwieram okno i wystawiam głowę na dwór. Na niebie księżyc jak szklanka zimnego mleka, przemywa mi oczy. Oddech znajduje znowu swój rytm. Połykam zimne powietrze dopóty, dopóki nie przestanę być w obozie. Potem zamykam okno i kładę się. Pościel nie wie o niczym i grzeje. Powietrze w pokoju przygląda mi się i pachnie ciepłą mąką.

Cement

Cementu nigdy nie wystarczało. Węgla było aż nadto. Nie brakowało również szlakobloków, żwiru i piasku. Cement jednak zawsze się kończył. Ubywał sam z siebie. Trzeba było mieć się na baczności przed cementem, mógł się stać koszmarem. Cement potrafił zniknąć nie tylko sam z siebie, ale i sam w sobie. Wtedy wszystko było pełne cementu, a cementu nie było.

Brygadzysta krzyczał: Na cement trzeba uważać.

Majster: Cement trzeba oszczędzać.

A kiedy wiał wiatr: Cementu nie może wywiać.

A kiedy padał deszcz lub śnieg: Cement nie może zamoknąć.

Worki na cement są z papieru. Papier jest za cienki na pełny worek. Można nieść worek samemu lub we dwoje, oparty na brzuchu albo chwycić za cztery rogi - i tak zawsze się rozrywa. Z rozerwanym workiem nie da się oszczędzać cementu. Z suchego rozerwanego worka połowa cementu wysypuje się na ziemię. W wilgotnym rozerwanym worku połowa przykleja się do papieru. Nie da się tego zmienić, im bardziej oszczędza się cement, tym bardziej cementu ubywa. Cement jest oszustwem jak kurz na drodze, mgła i dym - unosi się w powietrzu, pełza po ziemi, lepi się do skóry. Wszędzie go można zobaczyć, nigdzie złapać.

Cement trzeba oszczędzać, ale uważać przy cemencie trzeba na siebie samego. Niesiesz worek delikatnie, a mimo to cementu jest coraz mniej. Wyzywają cię od szkodników, od faszystów, sabotażystów i złodziei cementu. Potykasz się owrzask i udajesz głuchego. Taczkę z zaprawą pchasz po krzywej desce do murarzy na rusztowanie. Deska się kołysze, trzymasz się taczki. W tym kołysaniu można wlecieć do nieba, ponieważ pusty żołądek unosi się do głowy. Czego chcą strażnicy cementu ze swymi podejrzeniami. Robotnik przymusowy nie ma nic oprócz waciaka, czyli kufajki, na ciele oraz walizki i pryczy w baraku. Po co ma kraść cement. Zabiera go ze sobą nie jako zdobycz, tylko jako natrętny brud. Głód odczuwa cały dzień, ale cementu jeść nie może. Marznie albo się poci, ale cement ani go nie ogrzeje, ani nie da ochłody. Cement wzbudza podejrzenia, ponieważ lata i skrada się, i lepi, ponieważ znika w zajętej szarości, aksamitnie i amorficznie, bez powodu.

Plac budowy był tuż za obozem, obok stajni, w której zostały tylko żłoby i od dawna już ani jednego konia. Powstawało sześć domów dla Rosjan, każdy dla dwóch rodzin, powiedziano nam. Każdy dom miał trzy pokoje. W każdym mieszkać będzie przynajmniej pięć rodzin, myśleliśmy sobie, ponieważ chodząc po domach, widzieliśmy biedę, w jakiej żyli ludzie, i te wszystkie chude dzieci. Dziewczynki tak jak chłopcy, wszyscy ogoleni na łyso, wszyscy w jasnoniebieskich fartuszkach. Zawsze parami, trzymając się za ręce, dzieci maszerowały z heroicznymi pieśniami na ustach przez błoto obok budowy. Z tyłu i z przodu

brnęły okrągłe nieme mesdames. Obie rozglądały się z kwaśną miną, a tyłki kołysały się im jak okręty.

Na budowie pracowało osiem brygad. Kopały fundamenty, targały szlakobloki i worki z cementem, rozrabiały mleko wapienne i beton, wylewały fundamenty, robiły zaprawę dla murarzy, nosiły ją w nosilkach i woziły taczkami na rusztowania, mieszały tynk. Wszystkie domy były budowane jednocześnie, nieustanna bieganina, bałagan, a rezultaty znikome. Widać było murarzy, zaprawę i cegły na rusztowaniach, ale nie widać było, żeby rosły mury. Na tym właśnie polega zawilość - jeśli obserwuje się budowę cały dzień, nie widać, jak rosną ściany. A po trzech tygodniach stoją, musiały jakoś urosnąć. Może przez noc, same z siebie, jak księżyc. Ściany rosną równie niepojęcie, jak niepojęcie znika cement. Na budowie zasypują cię poleceniami, zaczynasz coś, a po chwili zostajesz przepędzony gdzie indziej. Zbierasz uderzenia w twarz i kopniaki. Wewnątrz robisz się uparty i przygnębiony, a na zewnątrz pokorny jak pies i tchórzliwy. Cement ociera ci dżiąsła do krwi. Kiedy otwierasz usta, wargi pękają jak worki z cementem. Trzymasz więc głębę na kłódkę i jesteś posłuszny.

Wyżej niż ściany rośnie nieufność. W tym budowlanym przygnębieniu każdy podejrzewa każdego, że przy noszeniu cementu wybrał sobie lżejszy koniec worka, że wykorzystuje innych, a siebie oszczędza. Każdy z nas jest upokarzany wrzaskiem, podstępnie podchodzony przez cement, okpiwany przez budowę. Tylko jeśli ktoś umiera, brygadzista mówi: Żałko, oczeń żałko. Od razu potem zmienia ton i mówi: Wnimanie.

Harujesz i wsłuchujesz się w bicie własnego serca: cement trzeba oszczędzać, na cement trzeba uważać, cement nie może zamoknąć, cementu nie może wywiać. Ale cement rozprasza się, sam siebie marnotrawi, a nam siebie skąpi. Żyjemy tak, jak chce cement. To on jest złodziejem, to on nas ukradł, nie my jego. I to nie koniec, od cementu człowiek robi się napastliwy. Cement sieje nieufność, rozpraszając się, cement jest intrygantem.

Co wieczór, wracając do domu, w bezpiecznej odległości od cementu, plecami do budowy, wiedziałem, że to nie my okpiwamy siebie nawzajem, tylko wszyscy jesteśmy okpiwani przez Rosjan i ich cement. Ale następnego dnia znowu kiełkowało podejrzenie, wbrew mojej wiedzy i wbrew wszystkiemu. I wszyscy to czuli. I wszyscy byli przeciwko mnie. I ja to czułem. Cement i anioł głodu są współnikami. Głód otwiera wszystkie pory i wślizguje się w nie. Kiedy jest w środku, zalepia je cement, jesteś zacementowany. Cement może grozić śmiercią w cementowej wieży. Jest wysoka na czterdzieści metrów, nie ma okien i jest pusta. Prawie pusta, ale można w niej utonąć. Wobec jej wielkości resztki cementu są małe, leżą luzem, niespakowane w worki. Zgarniamy je gołymi rękami do wiadra. Cement jest stary, ale obrzydliwy i czujny. Jest żywy jak iskra i zaczaja się na nas, wypełza nam na spotkanie, szary

i niemy, szybciej, niż zdążymy wzdrygnąć się i uciec. Cement może płynąć i cieknie wtedy szybciej niż woda, i bardziej płasko. Można zostać ogarniętym przez cement i w nim utonąć.

Zachorowałem na cement. Tygodniami wszędzie widziałem cement: bezchmurne niebo było gładko rozsmarowanym cementem, pochmurne niebo pełne cementowych pacnięć. Deszcz rozciągał z nieba na ziemię cementowe sznury. Moja blaszana miska w szare kropki była z cementu. Psy miały sierść z cementu, szczury w odpadkach kuchennych za stołówką także. Padalce pełzały między barakami w pończosze z cementu. Na morwach wisiały gniazda gąsienic, lejki z jedwabiu i cementu. Kiedy słońce świeciło jaskrawo, chciałem je zetrzeć z oczu, ale na oczach ich nie było. A na placu apelowym, na brzegu studni, siedział wieczorami ptak z cementu. Jego śpiew był skrzekliwy, pieśń z cementu. Adwokat Paul Gast znał ptaka z domu, skowronek kalandra. Spytałem: Czy u nas w domu też jest z cementu. Zawahał się, zanim odpowiedział: U nas pochodzi z południa. resztę nie pytałem, ponieważ widać to było na obrazach w pomieszczeniach służbowych i słysząc z głośników: kości policzkowe Stalina i jego głos były z żeliwa, ale jego wąsy z czystego cementu. W obozie od każdej pracy człowiek robił się brudny. Ale żaden brud nie był tak napastliwy jak cement. Cement jest nie do uniknięcia, jak kurz ziemi, nie widać, skąd się bierze, ponieważ jest wszędzie. Poza głodem w ludzkiej głowie jedynie tęsknota za domem jest tak szybka jak cement. I tak samo kradnie człowieka, i tak samo można w niej utonąć. Wydaje mi się, że tylko strach jest w ludzkiej głowie jeszcze szybszy niż cement. Tylko tak potrafię sobie wytłumaczyć to, że już wiosną musiałem zanotować na budowie po kryjomu na kawałku brązowego papieru z cementowego worka:

**SŁOŃCE WYSOKO W WELONIE ŻÓŁTA KUKURYDZA,
NIE MA CZASU.**

Więcej nie napisałem, ponieważ cement trzeba oszczędzać. W zasadzie chciałem zapisać coś zupełnie innego: Czyhającego głęboko i krzywo i czerwono widniejąca połówka księżycy na niebie skłaniając się ku zachodowi.

Darowałem to sobie jednak, wypowiedziałem tylko cicho w usta. Słowa od razu się rozpadły, w zębach skrzypiał cement. Potem milczałem. Papier także należy oszczędzać. dobrze chować. Kogo złapią z zapisanym papierem, wędruje do karceru - betonowego szybu jedenaście stopni pod ziemią, tak ciasnego, że można w nim tylko stać. Śmierzącego ekskrementami i pełnego robactwa. Od góry zamkniętego żelazną kratą.

Wieczorem w drodze do domu, w człapaniu kroków, często mówiłem sobie: Cementu jest coraz mniej, może zniknąć sam z siebie. Ja też jestem przecież z cementu i jest mnie coraz mniej. Dlaczego nie mogę zniknąć.

Wapienne kobiety

Jedna z ośmiu brygad na budowie to wapienne kobiety. Ciągną wóz z bryłami wapna, najpierw w górę po stromym zboczu obok stajni, potem w dół na skraj budowy, gdzie jest dół do gaszenia wapna. Wóz to wielka drewniana skrzynia w kształcie trapezu. Po każdej stronie dyszla stoi pięć kobiet, ramiona i biodra mają opasane rzemieniami. Strażnik idzie obok. Z wysiłku kobiety mają napuchnięte, wilgotne oczy i półotwarte usta.

Jedna z wapiennych kobiet to Trudi Pelikan.

Kiedy deszcz na całe tygodnie zapomni o stepie i błoto wokół dołu do gaszenia wapna zaschnie jak futrzaste kwiaty, muchy robią się natrętne. Trudi Pelikan mówi, że czują sól w oczach i słodycz na podniebieniu. Im człowiek jest słabszy, tym mocniej łzawią oczy i tym słodsza jest ślina. Trudi Pelikan zaprzęgnięto z tyłu, ponieważ na przód była za słaba. Muchy nie siadały już w kąciku oka, tylko pośrodku, na źrenicy, i nie na wargach, tylko w ustach. Trudi Pelikan zaczęła się zataczać. Kiedy upadła, wóz przejechał jej po palcach stóp.

Zbieranina intruzów

Trudi Pelikan i ja, Leopold Auberg, byliśmy z Hermannstadt. Zanim wsiedliśmy do bydłowego wagonu, nie znaleźliśmy się. Artur Prikulicz i Beatrice Zakel, czyli Tur i Bea, znali się już jako dzieci. Pochodzili z górskiej wioski Ługi na trójstyku ukraińskiego Zakarpacia. Z tej samej okolicy, z Rachowa, pochodził również golibroda Oswald Enyeter. Również akordeonista Konrad Fonn pochodził z trójstyku, z miasteczka Suchodół. Mój kompan z ciężarówki Karli Halmen pochodził z Kleinbetschkerek, a Albert Gion, z którym byłem później w żuźlowej piwnicy, pochodził z Aradu. Jedna Sarah Kaunz z jedwabistym mieszkaniem na rękach pochodziła z Wurmloch, druga Sarah Wandschneider z brodawką na serdecznym palcu z Kastenholz. Nie znały się przed obozem, ale były do siebie podobne jak siostry. W obozie nazywano je dwie Zirri. Irina Pfeifer pochodziła z miasteczka Deta, głucha Mitzi, czyli Annamarie Berg, z Mediasch. Adwokat Paul Gast i jego żona Heidrun Gast byli z Oberwischau. Bębniarz Kowatsch Anton pochodził z Gór Banackich, z miasteczka Karansebesch. Katharina Seidel, którą nazywaliśmy Kati Straż, pochodziła z Bakowa. Była niedorozwinięta umysłowo i przez całe pięć lat nie wiedziała, gdzie jest. Maszynista Peter Schiel, który zmarł z przepicia węglówką, był z Bogarosch. Śpiewająca Loni, Ilona Mich, z Lugosch. Krawiec, pan Reusch, z Guttenbrunn. Itd. Wszyscy byliśmy Niemcami i zostaliśmy zabrani z domu. Poza Coriną Marcu, która trafiła do obozu z lokami na głowie, w futrze, lakierkach i z broszką w kształcie kota na aksamitnej sukni. Była Rumunką, strażniczy z naszego transportu złapali ją nocą na dworcu w Buzău i wsadzili do bydłowego wagonu. Przypuszczalnie miała zapłacić lukę na liście, zastąpić kogoś, kto zmarł w trakcie podróży.

Zamarzła w trzecim roku podczas odśnieżania linii kolejowej. David Lommer, nazywany Lommerem Cytrą, bo grał na cytrze, był Żydem. Ponieważ odebrano mu jego zakład krawiecki, jeździł po kraju jako wędrowny krawiec i pukał do lepszych domów w poszukiwaniu zleceń. Nie wiedział, dlaczego znalazł się jako Niemiec na liście Rosjan. Wywodził się z Bukowiny, z Dorohoi. Jego rodzice i żona z czwórką dzieci uciekli przed faszystami. Dokąd - nie wiedział, a oni już przed deportacją także nie wiedzieli, co się z nim stało. Kiedy go zabrano, szył właśnie w Grosspold wełniany kostium dla żony oficera.

Nikt z nas nie był na wojnie, ale dla Rosjan byliśmy jako Niemcy winni zbrodni Hitlera. Również Lommer Cytra. Musiał spędzić w obozie trzy i pół roku. Pewnego ranka przed placem budowy zatrzymało się czarne auto. Wsiadło z niego dwóch obcych w karakułowych czapkach i rozmawiali z brygadzystą. Potem zabrali Lommera Cytrę. Od tego dnia łóżko Lommera Cytry stało puste. Jego walizkę i cytrę Bea Zakel i Tur Prikulicz sprzedali prawdopodobnie na bazarze.

Bea Zakel mówiła, że karakułowe czapki były wysokimi rangą partyjniakami z Kijowa. Odwieźli ponoć Lommera Cytrę do Odessy i tam wsadzili na statek do Rumunii.

Jako krajan golibroda Oswald Enyeter mógł sobie pozwolić na pytanie Tura Prikulicza dlaczego akurat do Odessy. Tur powiedział: Lommer nie miał tu czego szukać, stamtąd może jechać, gdzie chce. Powiedziałem do golibrody zamiast do Tura: Dokąd ma chcieć, w domu nie ma nikogo. Tur Prikulicz właśnie wstrzymywał oddech, żeby się nie poruszyć. Golibroda przycinał mu zardzewiałymi nożyczkami włosy w nosie. Kiedy druga dziurka była wystrzyżona, zmiotł mu z brody włosy jak mrówki i odwrócił się plecami do lustra, żeby Prikulicz nie widział, jak puszcza do mnie oko. Jesteś zadowolony, spytał. Tur powiedział: Z mojego nosa tak. Na zewnątrz przestało padać. Na podjeździe turkotał przez kałuże wózek z chlebem. Codziennie ten sam mężczyzna ciągnął przez bramę obozu na zaplecze stołówki wózek z bochenkami chleba z formy. Chleb był zawsze przykryty białym płótnem, jak stos zwłok. Spytałem, jaki stopień ma mężczyzna od chleba. Golibroda powiedział, że żadnego, a mundur odziedziczył lub ukradł. Przy tej ilości chleba i takim głodzie potrzebuje munduru, żeby ludzie czuli przed nim respekt.

Wózek miał dwa duże drewniane koła i dwa długie drewniane dyszle. Przypominał wielkie taczki, z jakimi w domu przez całe lato ciągnęli od wsi do wsi ostrzyciele noży. Mężczyzna od chleba utykał, kiedy choć na krok oddalił się od wózka. Jedną nogę miał z drewna, pozbijaną z trzonek łopat, powiedział golibroda. Zazdrościłem mężczyźnie od chleba, miał wprawdzie o jedną nogę za mało, ale chleba pod dostatkiem. Golibroda też patrzył na wózek z chlebem. Znał tylko półgłód, prawdopodobnie ubijał od czasu do czasu

jakiś interes z mężczyzną od chleba. Również Tur Prikulicz, który miał pełny żołądek, spoglądał na mężczyznę od chleba, może chciał go skontrolować, a może wiódł tylko za nim nieobecny wzrokiem. Nie wiedziałem dlaczego, ale wydawało mi się, że golibroda chciał odwrócić uwagę Tura Prikulicza od wózka z chlebem. Inaczej nie potrafiłem sobie wyjaśnić, czemu powiedział, akurat kiedy siadałem na stołku: Cóż z nas za zbieranina intruzów, tutaj, w obozie. Ludzie ze wszystkich stron świata, jak w hotelu, w którym mieszka się tylko jakiś czas.

Było to w budowlanym czasie. Co miały z nami wspólnego takie wyrażenia jak **INTRUZI**, **HOTEL** i **JAKIŚ CZAS**. Golibroda nie był współnikiem kierownictwa obozu, ale należał do uprzywilejowanych. Wolno mu było mieszkać i spać w golarni. Nam, z naszymi barakami i cementem, wymiotło z głowy wszelkie poczucie humoru. W ciągu dnia Oswald Enyeter nie miał wprawdzie golarni dla siebie, ponieważ my przychodziliśmy i wychodziliśmy. Musiał strzyc i golić całą tę nędzę. Niektórzy mężczyźni płakali, kiedy widzieli się w lustrze. Miesiąc po miesiącu musiał patrzeć, jak coraz bardziej zaniedbani przekraczali jego drzwi. Przez te pięć lat wiedział dokładnie, kto jeszcze przychodzi, choć jest już w połowie z wosku. A kto już nie przychodzi, ponieważ jest wykończony pracą i chory z tęsknoty za domem albo już dawno umarł. Lepiej, że nie musiałem tego znosić. Z drugiej strony Oswald Enyeter nie musiał znosić żadnej brygady i żadnego przeklętego cementowego dnia. I żadnej nocnej zmiany w piwnicy. Był oblegany przez nasze zaniedbanie, ale nie okpiwany bez umiaru przez cement. Musiał nas pocieszać, wykorzystywaliśmy go, ponieważ nie mogliśmy inaczej. Ponieważ byliśmy ślepi z głodu i chorzy z tęsknoty za domem, ponieważ wysiedliśmy z czasu i z siebie samych i skończyliśmy ze światem. Czy też świat z nami.

Wtedy zerwałem się z krzesła i zacząłem krzyczeć, że w przeciwieństwie do niego mam tylko worki z cementem, żadnego hotelu. A potem kopnąłem w stołek, tak że się prawie przewrócił, i powiedziałem: To pan jest jednym z właścicieli hotelu, panie Enyeter, ja nie.

Leo, usiądź, powiedział, myślałem, że jesteśmy na ty. Mylisz się, właściciel nazywa się Tur Prikulicz. A Tur wystawił różowy koniec języka z kącika ust i skinął głową. Był tak głupi, że mu to schlebiało, czesał się, przeglądając w lustrze, i dmuchał na grzebień. Położył grzebień na stole, a na grzebieniu nożyczki, potem nożyczki obok grzebienia, a grzebień na nożyczkach. Potem wyszedł. Kiedy Tur Prikulicz był już na zewnątrz, Oswald Enyeter powiedział: Widziałeś, on jest właścicielem, on nas trzyma w szachu, nie ja. Siadaj z powrotem, ty przy workach cementu możesz milczeć, ja muszę z każdym porozmawiać. Ciesz się, że jeszcze wiesz, co to takiego hotel. Dla większości z nas wszystko, co znamy, od dawna

jest już czymś innym. Wszystko poza obozem, powiedziałem.

Tego dnia nie usiadłem ponownie na stołku. Pozostałem twardy i odszedłem. Wtedy nie przyznałbym się do tego, ale byłem tak samo próżny jak Tur Prikulicz. Schlebiało mi, że Enyeter dążył do pojednania, choć wcale nie musiał. Im bardziej mnie prosił, z tym większym uporem odchodziłem nieogolony. Zarost na twarzy sprawiał, że cement był jeszcze natrętniejszy. Dopiero cztery dni później poszedłem do niego znowu i usiadłem na stołku, jakby nigdy nic. Byłem zmęczony budową, jego hotel był mi obojętny. Golibroda także nie wrócił do tego.

Kilka tygodni później, kiedy mężczyzna od chleba wyprowadzał pusty wózek przez bramę obozu, przypomniał mi się **HOTEL**. Spodobał mi się. Potrzebowałem go, żeby stawić czoła przesyтови. Wracalem z rozładunku cementu na nocnej zmianie, truchtem jak cielę przez poranne powietrze.

W baraku spało jeszcze trzech. Położyłem się brudny, tak jak stałem, i powiedziałem sobie: Tutaj, w hotelu, nikt nie potrzebuje klucza. Nie ma recepcji, wszystko otwarte, niczym w Szwecji. Mój barak i moja walizka są zawsze otwarte. Moje kosztowności to cukier i sól. Pod poduszką leży suchy chleb, odjęty od ust. Jest wart majątek i strzeże sam siebie. Jestem cielęciami w Szwecji. Po powrocie do pokoju hotelowego cielę robi zawsze to samo - od razu sprawdza, czy pod poduszką jest chleb.

Przez połowę lata pracowałem przy cemencie i byłem cielęciami w Szwecji, przychodziłem z dziennej lub nocnej zmiany i bawiłem się w głowie w hotel. Czasem zanosilem się od wewnątrz śmiechem. Czasem **HOTEL** zawalał się we mnie, a mnie zbierało się na płacz. Chciałem się jakoś pozbierać, ale nie znałem już samego siebie. Przeklęte słowo **HOTEL**. Przez całe pięć lat mieszkaliśmy tuż obok - w **APELU**.

Drewno i wata

Istniały dwa rodzaje butów: kalosze były luksusem. Drewniane chodaki katastrofą, miały tylko podeszwę z drewna, deszczułkę grubą na dwa palce. Wierzch tworzyło szare płótno jutowe obrębione cienkim paskiem skóry. Płótno przybijano gwoździami do podeszwy wzdłuż skórzanego paska. Ponieważ było za słabe, szybko się rozrywało, najpierw na pięcie. Drewniane chodaki były wysokie, miały dziurki, ale nie miały sznurówek. Nawlekało się cienki drut, zakręcało końcówki, skręcało go mocno. Również przy dziurkach materiał był po kilku dniach wystrzępiony.

W chodakach nie można zginać palców. Nie odrywa się stóp od ziemi, przesuwa tylko nogi. Od szurania nogi sztywnieją w kolanach. Kiedy drewniane podeszwy odrywały się od płótna na piętach, odczuwaliśmy ulgę, palce miały więcej luzu i łatwiej przychodziło zginanie

kolan.

Prawy i lewy but były nie do odróżnienia, istniały też tylko trzy rozmiary: małe, wielkie i bardzo rzadko średnie. W pralni trzeba było wygrzebać ze stosu drewna z płótnem dwa chodaki tej samej wielkości. Bea Zakel była kochanką Tura Prikulicza i panią naszego ubrania. Niektórym pomagała wygrzebać dwa dobrze zbite egzemplarze. Przy innych przysuwała tylko, nie wstając, krzesło bliżej stosu chodaków, i czuwała, żeby nic nie ukradli. Sama nosiła dobre półbuty ze skóry, a kiedy było lodowato zimno, walonki. Gdy musiała iść przez błoto, nakładała na nie kalosze.

Według wyliczeń kierownictwa obozu drewniane chodaki miały wytrzymać pół roku. Ale po trzech, czterech dniach płótno na piętach było już rozdarte. Wszyscy próbowali zorganizować sobie w drodze wymiany dodatkowe kalosze. Były elastyczne i lekkie, o szerokość dłoni większe od stopy. Wystarczało miejsca na kilka warstw onuc, które nosiliśmy zamiast skarpet. Żeby stopy nie wypadały z gumiaków, przywiązywało się je pod podeszwą kawałkiem drutu. Na podbiciu drut się skręcało. Tam, gdzie węzeł z drutu dotykał podbicia, był newralgiczny punkt, w tym miejscu stopy były zawsze poobcierane. Na ranie powstawały pierwsze odmrożenia. Zarówno chodaki, jak i kalosze przez całą zimę były przymarznięte do onuc. A onuce do skóry. W kaloszach było wprawdzie jeszcze zimniej niż w chodakach, ale wytrzymały kilka miesięcy.

Ubranie robocze, innego ubrania nie było, a więc ubranie obozowe, mundur internowanych, było przydzielane raz na pół roku. Między ubraniem męskim a damskim nie było żadnej różnicy. Poza chodakami i kaloszami w skład przydziału wchodziły: bielizna, watowana kurtka i spodnie, rękawiczki, onuce, pościel, ręcznik i kawałek odłupanego z bloku mydła, które pachniało sodem. Paliło na skórze, od ran lepiej je było trzymać z daleka.

Bielizna była z niebielonego płótna: i długie kalesony z trocz - kami przy kostkach i z przodu na brzuchu, i krótkie kalesony z troczkami, i p odkoszulek z troczkami, który był wszystkim naraz, poddziennynocnyletnizimowykoszulek. Watowana kurtka nazywała się kufajka, kurtka z kołdry z podłużnymi wałkami. Spodnie do kufajki były szyte w klin na duże brzuchy i miały ciasne pęta ze sznurków przy kostkach. Tylko z przodu na brzuchu był guzik, a po prawej i lewej stronie kieszenie. Kurtka wyglądała jak worek ze stojącym kołnierzykiem, takim jak w rubaszkach, i miała mankiety z pojedynczym guzikiem, z przodu szereg guzików, a po obu stronach naszyte dwie czworokątne kieszenie. Jako nakrycie głowy mężczyźni i kobiety nosili kufajkowe czapki z nausz - nikami, z których zwisały sznurki.

Kufajki były niebieskoszare lub zielonoszare, w zależności od tego, jak wyszło farbowanie. Tak czy inaczej po tygodniu ubranie było sztywne od brudu i brązowe od pracy.

Kufajka była dobrym wynalazkiem, najcieplejsze ubranie na suchą zimę, kiedy skrzył się mróz, a oddech zamarzał na twarzy. Upalnym latem kufajka była na tyle szeroka, że powietrze mogło swobodnie krążyć i osuszać pot. Ale kiedy było wilgotno, kufajka stawała się przekleństwem. Watolina nasiąkała deszczem i śniegiem i tygodniami była mokra. Szczękało się zębami, marzło od rana do wieczora. W baraku z 68 pryczami i 68 internowanymi z ich 68 mundurami na watinie, 68 czapkami, 68 parami onuc i 68 parami butów przytłaczało ciężkie powietrze. A myśmy nie spali i wpatrywali się w żółte światło służbowej żarówki, jakby w nim były roztopy. A w roztopach smród nocy, który okrywał nas leśną ziemią i zbutwiałymi liśćmi.

Ciekawe czasy

Po pracy zamiast do obozu poszedłem zebrać do ruskiej osady. Drzwi **UNIWERMAGU** były otwarte, sklep pusty. Sprzedawczyni pochylała się nad lusterkiem do golenia i szukała wszy we włosach. Obok lusterka grał adapter, taaa tatata taaa. Znałem to z domu, z radia, Liszt ze specjalnymi meldunkami z wojny.

Ojciec już w roku 1936 kupił sobie na igrzyska olimpijskie w Berlinie blaupunkta z zielonym kocim okiem. W tych ciekawych czasach, powiedział. Blaupunkt się opłacił, potem czasy stały się jeszcze ciekawsze. Było to trzy lata później, na początku września, kiedy nastął czas zimnej sałatki ogórkowej jedzonej w cieniu na werandzie. Na narożnym stoliku stał blaupunkt, na ścianie obok wisiała duża mapa Europy. Z blaupunkta rozbrzmiewało taaa tatata taaa. Ojciec przechylił krzesło, sięgnął do pokręta i podkręcił głos. Wszyscy przestali mówić i szczękać sztućcami. Nawet wiatr słuchał przez okno werandy. To, co zaczęło się 1 września, mój ojciec nazywał blitzkriegiem. Mama mówiła kampania polska. Dziadek, który jako majtek wyruszył z Puli w rejs dookoła świata, był sceptykiem. Zawsze interesowało go zdanie Anglików. Kiedy była mowa o Polsce, dokładał sobie łyżkę sałatki ogórkowej i milczał. Babcia mówiła, że posiłek należy do rodzinnego życia i nie można go łączyć z polityką w radiu.

W popielniczce obok blaupunkta ojciec, nauczyciel rysunku, trzymał trójkątne czerwone chorągiewki zwycięstwa na szpilkach z kolorowymi główkami. Przez osiemnaście dni przesuwiał chorągiewki na wschód. Potem, powiedział dziadek, było po Polsce. I po chorągiewkach. I po lecie. Babcia zdjęła chorągiewki z mapy Europy i ze szpilek i schowała szpilki z powrotem do przybornika. A blaupunkt powędrował do sypialni rodziców. Przez trzy ściany słyszałem rano jako budzik radio Monachium. Program nazywał się *Gimnastyka poranna* i podłoga zaczynała rytmicznie wibrować. Rodzice gimnastykowali się w takt komend nauczyciela gimnastyki w blaupunkcie. Mnie, ponieważ byłem zbyt pulchny i

miałem nabrać żołnierskiej postury, posyłali raz w tygodniu na prywatną gimnastykę, gimnastykę dla niedołęg.

Wczoraj przyjechał oficer w zielonej czapce, wielkiej jak patera na ciasto, i przemawiał na placu apelowym. Mówił **O** pokoju i **O FUZKULTURZE, CZYLI KULTURZE STÓP**. Tur Prikulicz nie przerywał mu, stał obok jak pobożny ministrant, a potem streścił nam, o czym była mowa: Kultura stóp wzmocni nasze serca. A w naszych sercach bije serce socjalistycznych republik radzieckich. Kultura fizyczna hartuje siłę klasy robotniczej. Poprzez kulturę fizyczną Związek Radziecki rozkwita w sile partii komunistycznej, w szczęściu narodu i w pokoju. Akordeonista Konrad Fonn, krajan Tura Prikulicza, wyjaśnił mi, że **Y** w języku rosyjskim oznacza u. Że mówiąc do Niemców, oficer chciał użyć niemieckiego odpowiednika kultury gimnastyki w cyrylicy: ale czytając **PHYSKULTUR** po rosyjsku, wprowadził do niego Fuss, czyli stopę. A Tur nie miał odwagi go poprawić. **FUZKULTURJJ** znałem z gimnastyki dla niedołęg, a ze szkoły folksistowski czwartek. Jako gimnazjaliści musieliśmy co czwartek uczestniczyć w wieczorze patriotycznym. Na szkolnym dziedzińcu musztrowano nas, padnij, powstań, przez płot, przysiad, padnij, pompka, powstań. W prawo, w lewo, marsz, śpiew. Wotan, wikingowie, germańskie ballady. W sobotę albo w niedzielę maszerowaliśmy kolumnami za miasto. W krzakach na pagórku trenowaliśmy maskowanie się gałęziami oraz porozumiewanie głosami psa i puszczyka. Potem - z czerwonymi i niebieskimi opaskami na ramionach - bawiliśmy się w wojnę. Kto zdołał zerwać wrogowi opaskę, zabijał go. Kto zebrał najwięcej opasek, zostawał bohaterem i był dekorowany orderem z krwiście czerwonej dzikiej róży.

Pewnego dnia po prostu nie poszedłem na folksistowski czwartek. Choć proste to nie było. Poprzedniej nocy doszło do trzęsienia ziemi. W Bukareszcie zawałiła się kamienica, pod gruzami zginęło wielu ludzi. W naszym mieście zawałiły się tylko kominy, a u nas w domu spadły na podłogę dwie rury od pieca. Wykorzystałem to jako pretekst. Nauczyciel gimnastyki o nic nie pytał, ale w mojej głowie gimnastyka dla niedołęg zrobiła swoje. Swoje nieposłuszeństwo uznałem za dowód na to, że rzeczywiście jestem niedołęgą.

Mój ojciec fotografował w tych ciekawych czasach dziewczyny w saksońskich strojach ludowych i gimnastyczki. W tym celu kupił sobie nawet leicę. I został niedzielnym myśliwym. W poniedziałki przyglądałem się, jak obdzierał ze skóry ustrzelone zające. Obdarte do naga, sinosztwyne i rozciągnięte, przypominały saksońskie gimnastyczki na drążku. Zające zjadaliśmy. Skóry ojciec przybijał do ściany szopy, a po wysuszeniu składał do blaszanej skrzyni na dachu. Co pół roku przychodził po nie pan Frankel. Potem przestał przychodzić. Nikt o niego nie pytał. Był Żydem, jasnorudy, wysoki, szczupły, prawie jak

zając. Również mały Ferdi Reich i jego mama, którzy mieszkali u nas na podwórku na dole, zniknęli. Nikt o nich nie pytał.

Łatwo było niczego nie wiedzieć. Pojawiali się uchodźcy z Besarabii i Transnistrii, dostawali kwaterę, zostawali jakiś czas i odchodzili. Pojawiali się niemieccy żołnierze z Rzeszy, dostawali kwaterę, zostawali jakiś czas i odchodzili. Odchodzili sąsiedzi, krewni i nauczyciele, na wojnę do rumuńskich faszystów albo do Hitlera. Niektórzy przyjeżdżali na urlop, inni nie. I byli podżegacze, którzy wymigiwali się od wojska, ale w domu podjudzali i na bale i do kawiarni chodzili w mundurach.

Również nauczyciel przyrody nosił oficerki i mundur, kiedy objaśniał nam budowę obuwika żółtego jako przedstawiciela mchów. I szarotkę. Szarotka była czymś więcej niż rośliną, była modą. Wszyscy nosili talizmany z odznak i plakietek z samolotami i czołgami, z różnymi typami broni, z szarotką i goryczką. Zbierałem odznaki, wymieniałem je i uczyłem się na pamięć hierarchii wojskowej. Najbardziej lubiłem lotników. Kojarzyli mi się z zalotnikami, starszymi i młodszymi kochankami. U nas w domu zakwaterowany był lotnik Dietrich z Rzeszy. Mama opalała się na dachu szopki, a Dietrich podglądał ją przez lornetkę z wjazdu dachowego. Mój ojciec podglądał Dietricha z werandy, pewnego dnia wyciągnął go na podwórko i na bruku obok szopy rozbił mu lornetkę młotkiem. Mama z tobołkiem ubrań pod pachą wyprowadziła się na dwa dni do cioci Fini. Już tydzień wcześniej Dietrich podarował mamie na urodziny dwie filiżanki do mokki. To była moja вина, bo powiedziałem mu, że mama zbiera filiżanki, i poszedłem z nim do sklepu z porcelaną. Tam pokazałem Dietrichowi dwie filiżanki, które na pewno spodobają się mamie. Były blad różowe, jak delikatna chrząstka, miały srebrny brzeg i srebrną kroplę na górze uszka. Jedna z moich ulubionych odznak była z bakelitu, szarotka namalowana fosforem, świeciła nocą jak budzik.

Nauczyciel przyrody poszedł na wojnę i nie wrócił. Nauczyciel łaciny przyjechał z wojny na urlop i zajrzał do nas do szkoły. Usiadł za katedrą i zaczął lekcję. Szybko się skończyła, i to całkiem inaczej, niż się tego spodziewał. Uczeń, który często dostawał order z dzikiej róży, powiedział od razu na początku: Panie profesorze, niech nam pan opowie, jak jest na froncie. Nauczyciel zagryzł wargi i powiedział: Nie tak jak myślicie. I nagle twarz mu zastygła, nie mógł opanować drżenia rąk. Nie znaliśmy go takiego. Nie tak jak myślicie, powtórzył. A potem położył głowę na stole, opuścił ramiona jak lalka z gałganków i rozplakał się.

Ruska osada jest mała. Idzie się żebrać z nadzieją, że nie spotka się innego żebraka z obozu. Wszyscy chodzą żebrać z węglem. Prawdziwi żebracy chowają ręce. Noszą swój kawałek węgla w łachmanach jak dziecko. Pukają do drzwi, i dopiero kiedy ktoś im otwiera,

odchylają łachmany i pokazują, co mają. Od maja do września bryłka węgla oznacza marne widoki na sukces. Ale nie ma niczego innego, jest tylko węgiel.

Widziałem petunie w ogródku, całą witrynę blad różowych filiżaneczek ze srebrnym brzegiem. Idąc dalej, zamknąłem oczy i powiedziałem **FILIŻANKA**, i policzyłem w głowie litery: dziewięć. A potem odliczyłem dziewięć kroków, potem osiemnaście, za obie filiżanki. Tam, gdzie się zatrzymałem, nie było żadnego domu. Policzyłem do dziewięćdziesięciu, za wszystkie dziesięć filiżanek do mokki, które stały u mamy w witrynie, i przesunąłem się o trzy domy. W ogrodzie nie było petunii. Zapukałem do pierwszych drzwi.

O jeździe

Jazda była zawsze szczęściem.

Po pierwsze: dopóki jedziesz, dopóty nie dotarłeś. Dopóki nie dotarłeś, dopóty nie musisz pracować. Jazda to okres ochronny.

Po drugie: kiedy jedziesz, znajdujesz się w okolicy, która w ogóle się tobą nie interesuje. Drzewo nie zwymyśla cię ani nie zbije. Pod drzewem jedno i drugie jest możliwe, ale ono nie ma na to wpływu.

Jedynym punktem orientacyjnym po przyjeździe do obozu była dla nas **NOWOGORLÓWKA**. Mogła to być nazwa obozu albo miasta, albo całej okolicy. Nie była to nazwa fabryki, ponieważ ta nazywała się **KOKSOCHIMZAWOD**. A na dziedzińcu obok kranu leżała żeliwna pokrywa wjazdu do kanału podpisana cyrylicą. Za pomocą mojej szkolnej greki rozszyfrowałem napis: **DNEPROPIETROWSK**, mogło to być miasto w pobliżu albo jedynie odlewnia na drugim krańcu Rosji. Kiedy opuszczało się obóz, zamiast liter widać było rozległy step i zamieszkałe osady na stepie. Również dlatego jazda była szczęściem.

Transportowcy byli przydzielani do samochodów codziennie rano w garażu za obozem, zazwyczaj po dwóch. Karli Halmen i ja trafiliśmy na czterotonową **LANCIĘ**, model z lat trzydziestych. Zналиśmy wszystkie pięć samochodów z garażu, ich wady i zalety. Lancia była dobra, nie za wysoka i cała z blachy, ani odrobiny drewna. Gorszy był pięćcio - tonowy **MAN**, którego koła sięgały do piersi. Lepszą lancję prowadził zawsze Kobelan o krzywych ustach. Był dobroduszny.

Kiedy Kobelan mówił **KIRPICZ**, rozumieliśmy, że dzisiaj jedziemy przez bezkresny step po czerwone cegły. Jeśli w nocy padało, w rowach błyszczały samochodowe wraki złom z czołgów. Ziemne psy uciekały ze skraju drogi. Karli Halmen siedział z Kobelanem w kabinie. Ja chętniej stałem na pace, trzymając się dachu kabiny. Z daleka widać było siedmiopiętrowy blok z Czerwonej cegły z pustymi dziurami okien, bez dachu. Na wpół zrujnowany, samotny w tej okolicy, ale nowoczesny. Może był to pierwszy blok mieszkalny

nowego osiedla, którego budowa została wstrzymana z dnia na dzień. Może przed dachem przyszła wojna. Droga była wyboista, lancia telepała się, grzechocząc, obok rozsianych wzdłuż drogi gospodarstw. W wielu obejściach rosły pokrzywy do pasa, a pośród nich stały żelazne stelaże łózek, na których siedziały białe kury, chude jak strzępy chmur. Pokrzywy rosną tylko tam, gdzie mieszkają ludzie, mawiała moja babcia, a rzepy tylko tam, gdzie są owce.

Nigdy nie widziałem ludzi na podwórkach. Chciałem zobaczyć ludzi, którzy nie żyją w obozie, którzy mają dom, płot, podwórko, pokój z dywanem, a może nawet trzepaczkę. Tam, gdzie trzepie się dywany, myślałem, można zaufać pokojowi, tam życie jest cywilne, tam zostawia się ludzi w spokoju.

Gdy pierwszy raz jechałem z Kobelanem po cegły, zobaczyłem na jednym z podwórek trzepak. Miał drążek, po którym można było przeciągać dywan podczas trzepania. A obok trzepaka stał wielki, biały, emaliowany dzban. Był jak łabędź, z dziobem, wysmukłą szyją i ciężkim brzuchem. Widok był tak piękny, że ilekroć jechaliśmy, nawet w pustym wietrze pośrodku stepu, szukałem trzepaka. Nigdy więcej nie zobaczyłem ani trzepaka, ani łabędzia.

Za domami na przedmieściach zaczynało się miasteczko, z budynkami koloru ochry, z nadkruszoną sztukaterią i zardzewiałymi dachami z blachy. Między resztkami asfaltu chowały się szyny tramwajowe. Czasem po szynach konie ciągnęły dwukołowe wózki z piekarni. Zawsze były przykryte białym płótnem, jak wózek mężczyzny w obozie. Na wpół zagłodzone konie podsuwały mi myśl, że pod płótnem leży nie chleb, tylko zmarli z głodu.

Kobelan powiedział: Miasto nazywa się Nowogorłówka. Czy miasto nazywa się tak jak obóz, spytałem. Odpowiedział: Nie, obóz nazywa się tak jak miasto. Nigdzie nie było tablicy z nazwą miasta. Kto jechał i docierał, a więc Kobelan lancia, znał nazwę. A kto był obcy, pytał o nią, jak Karli Halmen i ja. A kto nie miał kogo zapytać, nie znajdował drogi i nie miał tu czego szukać.

Po cegły jeździliśmy za miasto. Załadunek trwa półtorej godziny, jeśli pracuje się we dwóch i da się podjechać lancia pod samą stertę cegieł. Bierze się cztery naraz i niesie ściśnięte jak harmonię. Trzy to za mało, a pięć już za dużo. Można nieść pięć, ale wtedy środkowa się wyslizguje. Potrzebna byłaby trzecia ręka, żeby ją przytrzymać. Cegły układa się na pace warstwami, jedna obok drugiej, trzy do czterech warstw. Palone cegły mają jasny dźwięk, każda brzmi trochę inaczej. Czerwony pył jest zawsze taki sam osiada na ubraniach, ale jest suchy. Ceglany pył nie omo - tuje cię tak jak pył z cementu i nie osadza się tak tłusto jak pył z węgla. Ceglany pył przypominał mi słodką czerwoną paprykę, chociaż nie pachniał.

W drodze powrotnej lancia nigdy nie grzechotała, była za ciężka. Znowu

przejeżdżaliśmy przez miasteczko Nowo - gorłówka, przez szyny tramwajowe, znowu mijaliśmy domy na przedmieściach i drogą pod skrawkami stepowych chmur wracaliśmy do obozu. Mijaliśmy obóz w drodze na budowę.

Rozładunek szedł nam szybciej niż załadunek. Cegły trzeba było wprawdzie układać warstwami, ale nie tak dokładnie, ponieważ często już następnego dnia były wnoszone na rusztowanie do murarzy.

Z drogą tam i z powrotem, załadunkiem i rozładunkiem można było zrobić dwa transporty dziennie. Potem był wieczór. Czasem Kobelan bez słowa wyjeżdżał raz jeszcze. Wiedzieliśmy, że to prywatny transport. Ładowaliśmy tylko jedną warstwę cegieł na pół paki. A w drodze powrotnej skręcaliśmy za siedmiopiętrową ruiną w kotlinę. Wokół domów rosły tam szeregi topól. Chmury były o tej porze ceglasterczerwone od zachodzącego słońca. Między płotem a drewnianą szopą wjeżdżaliśmy na podwórko Kobelana. Samochód zatrzymywał się z szarpnięciem, a ja stałem do pasa w łysym, prawdopodobnie uschniętym drzewie owocowym obwieszonym pomarszczonymi kulkami z tego lub zeszłego lata. Karli wspinał się do mnie. Ostatnie światło dnia wieszało nam owoce przed twarzą, a Kobelan pozwalał nam zerwać ich trochę przed rozładunkiem.

Kulki były wyschnięte na wiór, trzeba je było długo trzymać w ustach i ssać, zanim zaczęły smakować jak wiśnie. Kiedy się żuło dokładnie, pestka leżała na języku gładka i gorąca. Te nocne wiśnie były szczęściem, ale wzmagały głód.

W drodze powrotnej noc była z atramentu. Późne dotarcie do obozu przynosiło korzyści. Apel dobiegł końca, zaczęła się kolacja. Cienką zupę z wierzchu rozdzielono już między innych. Rosły szanse na coś gęstego z dna.

Ale kto docierał do obozu za późno, przeżywał koszmar. Kończyła się zupa. Nie zostawało wtedy nic oprócz tej wielkiej pustej nocy z wszami.

O surowych ludziach

Bea Zakel umyła ręce przy studni i idzie po korso. Siada obok mnie na ławce z oparciem. Oczy ześlizgują się jej w krzywe spojrzenie, tak jakby zezowały. Ona jednak nie zezuje, tylko spoglądając powłóczyście, wbudowuje wruch oczu pewne wahanie, ponieważ wie, że czyni ją to wyjątkową. Tak wyjątkową, że mnie to onieśmiela. Zaczyna mówić, po prostu mówić. Mówi tak szybko jak Tur Prikulicz, tylko nie tak kapryśnie. Ześlizgujące się spojrzenie kieruje na fabrykę, śledzi wzrokiem chmurę z wieży chłodniczej i opowiada o górach trój - styku, gdzie spotykają się Galicja, Słowacja i Rumunia.

Góry z domu wylicza wolniej, Niżne Tatry, Beskidy, które w górnym biegu Cisy przechodzą w Beskidy Lesiste. Moja wios - ka nazywa się Ługi, mówi, ukryta biedna wieś

pod Rachowem. W Ługach góry zagładają nam do głowy, póki nie umrzemy. Tych, co zostają, dopada melancholia, wielu się wyprowadza. Dlatego i ja wyjechałam, do Pragi, do konserwatorium. Wielka wieża chłodnicza jest matroną, ciemną drewnianą szalówkę nosi jak gorset. Ściśniętej matronie dniem i nocą wylatują z pyska białe chmury. I też odchodzą, jak ludzie z gór Bei Zakeł.

Ja opowiadam Bei o górach z Siedmiogrodu, to też jeszcze Karpaty, mówię. Tyle że u nas góry mają okrągłe głębokie jeziora. Ludzie mówią, że to oczy morza, tak głębokie, że ich dno łączy się z Morzem Czarnym. Kiedy spogląda się w górskie jezioro, jest się podeszwami na górze, a oczyma nad morzem. Dziadek mówi, że Karpaty trzymają pod ziemią Morze Czarne w ramionach.

Potem Bea mówi o Arturze Prikuliczu, że należy do jej dzieciństwa. Że pochodzi z tej samej wsi i mieszkał na tej samej ulicy, a w szkole siedzieli nawet w tej samej ławce. Podczas zabaw z Turem ona musiała być koniem, a on powoził. Kiedyś upadła i złamała sobie nogę, ale to okazało się dopiero później. Tur poganiał ją batem i krzyczał, że ma przestać udawać. Droga była spadzista, mówi, podczas zabawy Tur zawsze był sadystą. Ja opowiadam o zabawie w stonogę. Dzieci zostają podzielone na dwie stonogi. Między nimi rysuje się kredą linię. Jedna stonoga musi przeciągnąć drugą na swój rewir, żeby ją pożreć. Dzieci łapią się w pasie i ciągną z całej siły. Czuję się rozrywany na kawałki, miałem siniaki na biodrach i zwichnięte ramię.

Nie jestem koniem, a ty nie jesteś stonogą, powiedziała Bea. Jeśli jesteś tym, w co się bawisz, zostajesz za to ukarany, jakby istniało takie prawo. A od prawa nie uciekniesz, nawet jeśli przeprowadzisz się do Pragi. Albo do obozu, dodaję. Tak, ponieważ Tur podąża z tobą. On też chciał studiować, chciał zostać misjonarzem, ale nie został. Został za to w Pradze, przerzucił się na handel. Wiesz, prawa małej wsi, a nawet prawa Pragi są surowe, mówi Bea, dlatego nie można od nich uciec, są ustanowione przez surowych ludzi.

Potem Bea znowu wbudowuje pewne wahanie w ześlizgujące się spojrzenie i mówi:

Kocham surowych ludzi.

Jednego, myślę i muszę się powściągnąć, ponieważ ona żyje z tej surowości i dzięki swojemu surowemu człowiekowi ma dobrą pracę w pralni, w odróżnieniu ode mnie. Skarzy się na Tura Prikulicza, chce należeć do nas, ale żyć tak jak on. Kiedy mówi szybko, jest czasem bliska zniesienia różnicy między nami a sobą. Jednak zanim się to stanie, wślizguje się z powrotem w swoje bezpieczeństwo. Możliwe, że jej oczy z powodu tego bezpieczeństwa robią się tak podłużne w ześlizgującym spojrzeniu. Możliwe, że jest zajęta swoją korzyścią, kiedy rozmawia ze mną. I że tak dużo mówi, ponieważ poza swoim surowym człowiekiem

chce mieć jeszcze trochę wolności, o której on nic nie wie. Może celowo wywabia mnie z mojego dystansu, może opowiada mu potem wszystko, o czym z nami rozmawia.

Bea, mówię, to jest piosenka z mojego dzieciństwa:

Słońce wysoko w welonie, żółta kukurydza, nie ma czasu.

Najsilniejszym zapachem mojego dzieciństwa jest zgniły zapach kiełkujących ziaren kukurydzy. Latem pojechaliśmy na Wench, zostaliśmy tam osiem tygodni. Gdy wróciliśmy z wakacji, w kupie piasku na podwórku wykiełkowała kukurydza. Kiedy wyciągnąłem ją z piasku, pokazały się białe nitki korzeni i wiszące z boku śmierdząco stare żółte ziarna.

Bea powtarza: Żółta kukurydza, nie ma czasu. Potem ssie palec i mówi: Dobrze, że się rośnie.

Bea Zakel jest o pół głowy wyższa ode mnie. Ma głowę owiniętą warkoczami, jedwabny sznur grubości ramienia. Może jej głowa wygląda tak dumnie nie tylko dlatego, że Bea siedzi w pralni, lecz także dlatego że musi nosić ciężkie włosy. Prawdopodobnie już jako dziecko miała te ciężkie włosy, żeby w ukrytej, biednej wsi góry nie zaglądały jej do głowy, póki nie umrze.

Ale tutaj, w obozie, nie umrze. Zatrąszy się o to Tur Prikulicz.

Szczęściazadużoołut dla Irmy Pfeifer

Już pod koniec października w deszcz wbijały się lodowe gwoździe. Strażnik i majster przydzielali nam normę i wracali do obozu, do swoich ciepłych kanciap. Na budowie zaczął się cichy dzień bez strachu przed wrzaskiem komend. Jednak w środku tego cichego dnia zaczęła krzyczeć Irma Pfeifer. Może **POMOCYPOMOCY** albo **DLUŻEJJUŻNIE - - WYTRZYMAM**, trudno było zrozumieć. Popędziliśmy z łopatami i deskami do dołu z zaprawą, ale za wolno, stał już tam kierownik budowy. Musieliśmy wypuścić wszystko z rąk. Ruki nazad - podniesioną łopatą zmusił nas, abyśmy beczynnie patrzyli w zaprawę.

Irma Pfeifer leżała twarzą w dół, z zaprawy wydobywały się bąbelki. Najpierw zaprawa połknęła ramiona Irmy, potem szara kołdra przesunęła się jej do kolan. Całą wieczność, kilka sekund, zaprawa czekała z pofalbowaną kryzą. Potem chlusnęła aż do bioder. Między głową a czapką falowała maź. Głowa opadła, czapka poszła w górę. Z rozpostartymi nusz - nikami podpłynęła powoli do brzegu jak napuszczony gołąb. Potylicą, ogolona, ze strupami po wszach, utrzymywała się jeszcze na wierzchu niczym połówka melona. Kiedy także głowa została połknięta w całości i wystawał już tylko garb, kierownik budowy powiedział: Żałko, oczeń żałko.

Potem zapędził nas łopatą na skraj budowy, do wapiennych kobiet, wszystkich do kupy, i krzyknął: Wnimanie, ludzi. Akordeonista Konrad Fonn musiał tłumaczyć: Jeśli jakiś

sabotażysta chce śmierci, ma ją. Ona wskoczyła do zaprawy. Murarze widzieli z góry.

Musieliśmy stanąć w szeregu i odmaszerować do obozu. W to wczesne przedpołudnie odbył się apel. Lodowe gwoździe nadal wbijały się w deszcz, a my staliśmy na zewnątrz od środka monstrualnie cisi w naszym przerażeniu. Szy - sztwanionow wypadł z biura i wrzeszczał. Na ustach pieniała mu się ślina, jak u zgonionego konia. Rzucił w nas swoimi skórzanymi rękawiczkami. Delikwent, obok którego spadły, musiał się schylić i przynieść mu je. I tak w kółko. Potem przekazał nas Turowi Prikuliczowi. Tur miał na sobie woskowany płaszcz i kalosze. Kazał nam odliczać, występować, równać, odliczać, występować, równać, aż do wieczora. Kiedy wyciągnęli Irmę Pfeifer z dołu z zaprawą i gdzie ją zakopali, nie wie nikt. Następnego dnia słońce świeciło zimno blade. W dole była świeża zaprawa, wszystko było jak zawsze. Nikt nie wspomniał ani słowem o tym, co się stało. Niejeden myślał o Irmie Pfeifer, o jej zielonej czapce i porządnym waciaku, ponieważ Irma Pfeifer trafiła zapewne pod ziemię ubrana, a przecież zmarli nie potrzebują ubrań, kiedy żywi marzną.

Irma Pfeifer chciała pójść na skróty, a z workiem cementu przyciśniętym do brzucha nie widziała, gdzie stawia nogi. Worek był nasiąknięty marznącym deszczem i od razu poszedł na dno. Dlatego nie widzieliśmy go, kiedy podbiegliśmy do dołu z zaprawą. Tak uważał akordeonista Konrad Fonn. Uważać można wiele. Wiedzieć się nie da.

Czarne topole

Było to nocą z 31 grudnia na 1 stycznia, noworoczna noc drugiego roku. W środku nocy głośniki wezwały nas na plac apelowy. Ośmiu żołnierzy z bronią i psami popędziło nas obozową drogą. Za nami jechała ciężarówka. W głębokim śniegu na tyłach fabryki, tam gdzie zaczynają się ugory, musieliśmy ustawić się w szeregach pod murem i czekać. Myśleliśmy, że to noc egzekucji.

Przephnąłem się do przedniego szeregu, żeby być wśród pierwszych, nie musieć jeszcze przedtem ładować zwłok - ciężarówka czekała na skraju drogi. Szyszwanionow i Tur Prikulicz wczołgali się do kabiny, silnik pracował, żeby nie marzli. Strażnicy chodzili tam i z powrotem. Psy stały razem, mróz sklejał im oczy. Od czasu do czasu podnosiły łapy, żeby nie przymarznąć do ziemi.

Staliśmy, postarzali na twarzach, brwi ze szronu. Niektórym kobietom usta drżały nie tylko z zimna, odmawiały modlitwy. Powiedziałem sobie, teraz wszystko się skończy. Babcia powiedziała na pożegnanie: Wiem, że wrócisz. To także było w środku nocy, ale i w środku świata. Teraz świętowali w domu sylwestra, o północy wzniesli może nawet za mnie toast, żebym przeżył. Mam nadzieję, że pomyśleli omnie w tych pierwszych godzinach nowego roku, zanim położyli się do ciepłych łóżek. Na nocnej szafce babci leży już jej obrączka, którą

co wieczór zdejmuję, bo ciśnie ją w palec. A ja stoję i czekam na rozstrzelanie. Widziałem, jak stoimy wszyscy w olbrzymim pudełku. Jego pokrywkę z nieba noc polakierowała na czarno i ozdobiła wyszlifowa - nymi na ostro gwiazdami. Dno pudełka było po kolana wyłożone watą, żebyśmy miękko padali. Ściany pudełka zdobił sztywny lodowy brokat, jedwabiste kłębowisko frędzli i koronki bez końca. Śnieg na obozowym murze między wieżami strażniczymi był katafalkiem. Stało na nim piętrowe łóżko wysokości wieży, piętrowa trumna wspinająca się do nieba, w której miejsca starczy dla nas wszystkich, jeśli nas ułożą warstwami, jak na pryczach w barakach. Nad najwyższym piętrem pudełko zamykała polakierowana na czarno pokrywa. W wieżach strażniczych u wezgłowia i w nogach katafalku czuwali dwaj ubrani na czarno żołnierze z gwardii honorowej. U wezgłowia, od bramy obozowej, migotało światło reflektorów z obozowego dziedzińca, jak świecznik. Przy ciemniejszym końcu, w nogach, stała korona pokrytej śniegiem morwy, jak bogaty wieniec z nazwiskami na niezliczonych papierowych wstęgach. Śnieg paruje, pomyślałem, strzałów prawie nie będzie słycać. Nasi krewni śpią podchmieleni, nie podejrzewając niczego, zmęczeni sylwestrem w środku świata. Może śni im się nasz zaczarowany pogrzeb w dniu Nowego Roku.

Wcale nie chciałem uciec z pudełka z piętrową trumną. Kiedy nie udaje się pokonać strachu przed śmiercią, ten strach zamienia się w omamy. Również lodowate zimno, na którym trzeba stać w bezruchu, spowija koszmar w łagodną poświatę. W transie zamarzania poddałem się rozstrzelaniu.

Wtedy dwóch okutanych Rosjan zrzuciło nam z przyczepy łopaty pod nogi. Tur Prikulicz i jeden z okutanych rozciągnęli równolegle do muru fabrycznego cztery sztukowane sznury. Komendant Szysztwanionow zasnął na siedząco w kabinie. Może był pijany. Spał z brodą na piersi jak podróżny, zapomniany w przedziale na ostatniej stacji. Spał tak długo, jak długo łopaty były w ruchu. Nie, raczej łopaty tak długo były w ruchu, jak długo on spał, ponieważ Tur Prikulicz musiał czekać na jego polecenia. Spał, póki kopaliśmy między sznurami naszego rozstrzelania dwa korytarze. Nie wiem jak długo. Aż poszarzało niebo. I tak długo takt łopaty powtarzał: Wiem, że wrócisz. Otrzeźwiałem od tego kopania i znowu wolałem głodować, marznąć i harować dla Rosjan, niż zostać rozstrzelanym. Przyznawałem babci rację: wróć, ale równocześnie zaprzeczałem jej: tak, ale czy wiesz, jakie to trudne.

Potem Szysztwanionow wysiadł z kabiny, potarł brodę i potupał, może zdrętwiały mu nogi. Skinął na okutanych. Ci otworzyli klapę i zrzucili nam z ciężarówki kilofy i łomy. Szysztwanionow wymachiwał palcem wskazującym, mówił nadzwyczaj krótko i cicho. Wsiadł do kabiny i pusty samochód odjechał. Tur musiał nadać mamrotowi ton rozkazu i

krzyknął: Kopać dziury na drzewa.

Narzędzi szukaliśmy w śniegu jak prezentów. Ziemia była zmarznięta na kość. Kilofy odskakiwały, łomy dźwięczały jak przy uderzeniu żelazem o żelazo. Kawałki lodu wielkości orzecha odpryskiwały nam w twarz. Pociłem się w mrozie i marzłem w pocie. Rozpadłem się na połowę rozżarzoną i połowę zlodowaciałą. Ciało powyżej pasa było jak wypalone, pochylało się mechanicznie i tliło ze strachu przed normą. Ciało poniżej pasa było przemarznięte, trupio zimne nogi wsuwały się w kieszki.

Po południu ręce były zakrwawione, ale dziury głębokie tylko na szerokość dłoni. Takie zostały.

Dopiero późną wiosną dokończyliśmy kopać i posadziliśmy dwa długie rzędy drzew. Aleja rosła szybko. Takich drzew nie było nigdzie, ani w stepie, ani w ruskiej osadzie, ani w żadnej miejscowości w okolicy. Przez te wszystkie lata nikt w obozie nie wiedział, jak się nazywają. Im większe rosły, tym bielsze miały gałęzie i pnie. Nie filigranowe i połyskujące woskową bielą jak brzozy, tylko imponująco wielkie i z korą matową jak pasta gipsowa.

Pierwszego poobozowego lata w domu zobaczyłem te gip - sowobiałe obozowe drzewa w olchowym parku, stare i olbrzymie. W leksykonie drzew wujka Edwina przeczytałem: szybko rosnące drzewo, potrafi wystrzelić do 35 metrów w górę. O wytrzymałości drzewa świadczy pień, który może osiągnąć grubość 2 metrów, i wiek, bo drzewo może żyć ponad 200 lat.

Wujek Edwin nie przeczuwał, jak prawdziwy, dokładniej mówiąc, trafny był opis, kiedy czytał słowo **WYSTRZELIĆ**. Powiedział: Jest to drzewo bez wymagań i niezwykle piękne. Ale majestatycznie zakłamanie. Dlaczego nazywa się **TOPOLA CZARNA**, skoro ma biały pień.

Nie zaprzeczyłem. Tylko pomyślałem sobie: Jeśli czekało się kiedyś pół nocy na rozstrzelanie pod polakierowanym na czarno niebem, ta nazwa nie wydaje się zakłamana.

Chusteczka i myszy

W obozie było dużo płótna. Życie toczyło się od płótna do płótna. Od płóciennych onuc do ręcznika, do płótna na chleb, płóciennej poszewki na łobodę, do domokrążczego lub żebraczego worka z płótna, a nawet do płóciennej chusteczki, jeśli ktoś ją posiadał.

Rosjanie w obozie nie potrzebowali chusteczek. Zatykali jedną dziurkę nosa palcem wskazującym i wydmuchiwali smarki przez drugą na podłogę, jak ciasto. Potem zatykali czystą dziurkę i smarki wystrzeliwały z drugiej. Ćwiczyłem to, ale u mnie smarki nie wylatywały. Nikt w obozie nie używał chusteczek do wycierania nosa. Jeśli ktoś miał chusteczkę, używał jej jako woreczka na cukier albo sól. A gdy była już podarta, jako papieru

toaletowego. Kiedyś dostałem chusteczkę w prezencie od Rosjanki. Było bardzo zimno. Poganiał mnie głód. Po pracy poszedłem do ruskiej osady z kawałkiem węgla antracytowego, który teraz mógł przydać się na opał. Zapukałem do drzwi. Stara Rosjanka otworzyła, wzięła węgiel i wpuściła mnie do środka. Pokój był niski, okno na wysokości moich kolan. Na stołku stały dwie chude, szaro i biało nakrapiane kury. Jednej kurze grzebień opadał na oko, potrząsała głową jak człowiek bez rąk, któremu włosy spadają na twarz.

Stara kobieta mówiła już od dłuższej chwili. Tylko od czasu do czasu rozumiałem jakieś słowo, ale czułem, o co chodzi. Że boi się sąsiadów, że już od dawna jest sama z dwiema kurami, ale lepiej rozmawiać z kurami niż z sąsiadami. Że ma syna w moim wieku, że nazywa się Borys i jest tak daleko od domu jak ja, tylko gdzie indziej, w obozie na Syberii, w batalionie karnym, ponieważ zadenuncjował go sąsiad. Może uśmiechnie się do was szczęście, do ciebie i mojego syna Borysa, powiedziała, i wróćcie niedługo do domu. Pokazała na krzesło, usiadłem przy stole. Zdjęła mi czapkę z głowy i położyła na stole. Obok czapki położyła drewnianą łyżkę. Potem podeszła do kuchni i naląła do blaszanej miski kartoflanki z garnka. Z pewnością był to co najmniej litr zupy. Jadłem, a Rosjanka stała obok i przyglądała mi się. Zupa była gorąca, siorbałem i zerkałem na nią. A ona kiwała głową. Chciałem jeść powoli, żeby zupy wystarczyło na dłużej. Ale głód siedział jak pies przed talerzem i żarł. Obie kury schowały nogi, przycupnęły na brzuchach i spały. Zupa rozgrzała mnie aż do palców u nóg. Kapało mi z nosa. Podoźdi, powiedziała Rosjanka i przyniosła z pokoju obok śnieżnobiałą chusteczkę. Dała mi ją do ręki i zacisnęła na niej moje palce na znak, że mogę ją zatrzymać. Podarowała mi ją. A ja nie miałem odwagi się w nią wysmarkać. To, co się działo, wykraczało poza interes domokrażstwa, poza mnie i poza nią, poza chusteczkę. Dotyczyło jej syna. Było mi z tym dobrze i nie. Ona lub ja albo my oboje posunęliśmy się o krok za daleko. Ona musiała zrobić coś dla syna, ponieważ ja byłem tutaj, a on równie daleko od domu jak ja. Mnie było głupio, że to ja tutaj jestem, że nie jestem nim. Ona myślała tak samo, ale musiała być ponad to, ponieważ nie wytrzymywała już troski o niego. Ja nie mogłem wytrzymać czegoś innego: być dwojgiem ludzi, dwojgiem wywiezionych, to było za dużo, to nie było tak proste jak dwie kury obok siebie na stołku. Sam byłem sobie jednym ciężarem za dużo.

Mojego płótna na węgiel, grubego i brudnego, użyłem na ulicy jako chusteczki do nosa. Potem owinąłem nim szyję, zamieniło się w szalik. Końcem szalika wycierałem sobie w marszu oczy, często i szybko, żeby nikt nie zauważył. Nikt mnie wprawdzie nie obserwował, ale sam nie chciałem tego zauważyć. Za dobrze wiedziałem, że istnieje wewnętrzne prawo, zgodnie z którym nie wolno płakać, kiedy ma się ku temu zbyt wiele powodów. Wmawiałem

sobie, że płacę z zimna, i uwierzyłem w to.

Śnieżnobiała chusteczka z delikatnego batystu była stara, wspomnienie carskich czasów. Miała ręcznie wydziergany ażurowy brzeg, słupki z jedwabnej nitki. Przerwy między słupkami były dokładnie obszyte, w rogach małe jedwabne rozety. Czegoś tak pięknego dawno już nie widziałem. Piękno przedmiotów codziennego użytku w domu nie było warte wzmianki. W obozie lepiej było o nim zapomnieć. W tej chusteczce mnie dopadło. To piękno sprawiało ból. Czy syn starej Rosjanki, który był sobą i mną, wróci kiedyś do domu. Zacząłem śpiewać, żeby wyłączyć myślenie. Śpiewałem dla nas obu bluesa z bydłęcego wagonu:

W lesie kwitnie wawrzynek, W rowie leży śnieg, Wczoraj do mnie napisałeś.

Twój liścik rani mnie.

Niebo biegło, chmury z wypchanymi poduszkami. Potem patrzył na mnie wczesny księżyc z twarzą mojej mamy. Chmury podsunęły jej poduszki pod brodę i prawy policzek. Przez lewy policzek poduszka odpłynęła. Spytałem księżyc: Czy mama jest już tak słaba. Czy jest chora. Czy nasz dom jeszcze stoi. Czy ona tam jeszcze mieszka, czy może też jest w obozie. Czy w ogóle żyje. Czy wie, że ja jeszcze żyję, czy też oplakuje zmarłego, kiedy o mnie myśli.

Już drugą zimę byłem w obozie, nie wolno nam było wysyłać listów do domu, żadnych znaków życia. W ruskiej osadzie rosły nagie brzozy, pod nimi stały ośnieżone dachy, jak krzywe łóżka w powietrznych barakach. Wczesnym zmierzchem skóra brzoź była blada inaczej niż za dnia i inaczej biała niż śnieg. Widziałem, jak wiatr pływa miękko wśród gałęzi. Ścieżką wzdłuż płotów z wikliny biegł mi naprzeciw drewnianobrązowy piesek. Miał trójkątną głowę, długie nogi, chude jak pałeczki od bębna. Biały oddech ulatywał mu z pyska, jakby jadł moją chusteczkę i bębnił przy tym nogami. Pies przebiegł koło mnie niczym koło cienia płotu. Miał rację, w drodze do obozu nie byłem niczym innym jak zwykłym rosyjskim przedmiotem o zmroku.

Białej chusteczki z batystu nikt jeszcze nie używał. Ja też nigdy jej nie użyłem, ale przechowałem w walizce do ostatniego dnia jak relikwię matki i syna. W końcu zabrałem ją do domu.

Taka chusteczka nie miała czego szukać w obozie. Mogłem ją wymienić na bazarze na jedzenie. Dostałbym za nią cukier albo sól, może nawet proso. Pokusa była, głód jest wystarczająco ślepy. Co mnie powstrzymało: wierzyłem, że ta chusteczka to mój los. Kiedy wypuszcza się los z rąk, wszystko jest stracone. Byłem pewny, że pożegnalne zdanie babci **WIEM, ŻE WRÓCISZ**, zamieniło się w chusteczkę. Nie wstydzę się, kiedy mówię, że

chusteczka była jedynym człowiekiem, który troszczył się o mnie w obozie. Jestem tego pewny do dziś.

Czasem rzeczy nabierają nadzwyczajnej, kruchej czułości, monsturalnej, jakiej nikt od nich nie oczekuje.

U wezłowania za poduszką stoi walizka, a pod poduszką, w chlebowym płótnie, odjęty od ust, niezwykle cenny chleb. I tam, gdzie na poduszce leży ucho, pewnego ranka coś piszczy. Podnosisz głowę i ogarnia cię zdziwienie, między chlebowym płótnem a poduszką miota się jasnoróżowy kłębek wielkości ucha. Sześć bezokich myszy, każda mniejsza od dziecięcego palca. Skóra jak jedwabne skarpetki, które ruszają się, ponieważ są z mięsa. Myszy urodzone z niczego, prezent bez powodu. Nagle byłem z nich dumny, jakby i one były dumne ze mnie. Dumny, ponieważ moje ucho urodziło dzieci, ponieważ mimo 68 łóżek w baraku urodziły się właśnie u mnie i właśnie mnie wybrały na ojca. Leżały same, matki nigdy nie widziałem. Wstydzilem się przed nimi, ponieważ zaufały mi tak bezgranicznie. Od razu poczułem, że je kocham i że muszę się ich pozbyć, i to natychmiast, zanim zjedzą mój chleb i zanim inni się obudzą i coś zauważą. Położyłem kłębek myszy na chlebowym płótnie, palce splełem w gniazdo, żeby nie zadać im bólu. Wyślizgnąłem się z baraku, niosłem gniazdo przez plac. Nogi drżące z pośpiechu, żeby nie zobaczył mnie strażnik i nie wywęszył pies. Nie spuszczałem oczu z zawiniątka, żeby nie wypadła mi żadna mysz. Potem stanąłem w latrynie i strzepnąłem chustkę do dziury. Myszy wpadły do niej z pluskiem. Ani pisku. Odetchnąłem głęboko, udało się.

Kiedy miałem dziewięć lat, znalazłem na starym dywanie w kącie pralni nowo narodzonego szarozielonego kotka ze sklejonymi oczami. Wziąłem go na ręce i pogłaskałem po brzuszku. Prychnął i wgryzł się w mój mały palec, nie puszczał. Zobaczyłem krew. Wtedy zacisnąłem kciuk i palec wskazujący - chyba do końca - dokładnie na jego szyi. Serce waliło mi jak podczas pojedynku. Kotek, ponieważ był martwy, złapał mnie na zabijaniu. To, że tego nie chciałem, pogarszało tylko sytuację. Monsturalna czułość wikła się w winę inaczej niż zamierzone okrucieństwo. Głębiej. I na dłużej.

Co kotek miał wspólnego z myszami:

Ani pisku.

Co odróżniało kotka od myszy:

W przypadku myszy był to zamiar i litość. W przypadku kotka gorycz, że za pieszczotę odpłacił ugryzieniem. To po pierwsze. Po drugie: zugzwang. Kiedy zacznie się ścisnąć, nie ma odwrotu.

O serdecznej łopacie

Istnieje wiele łopat. Ale serdeczną łopatę lubię najbardziej. Tylko jej nadałem imię. Serdeczną łopatą można ładować lub rozładowywać wyłącznie węgiel, i to tylko luźny. Serdeczna łopata ma konchę szerokości dwóch głów. Jest w kształcie serca i ma ostro wygięte krawędzie, zmieściłoby się na niej z pięć kilo węgla albo cały tyłek anioła głodu. Koncha ma długą szyję ze spoiną. W porównaniu z wielką konchą stylisko serdecznej łopaty jest krótkie. Kończy się poprzecznym uchwytem.

Jedną ręką chwyta się za szyję, drugą za uchwyt na górze styliska. Ja powiedziałbym na dole. Ponieważ dla mnie serdeczna łopata jest na górze, a stylisko jest rzeczą podrzędną, więc z boku lub na dole. Chwytam więc konchęserce u góry za szyję, a poprzeczny uchwyt styliska na dole. Łapię równowagę, serdeczna łopata staje się huśtawką w mojej ręce, jak huśtawka oddechu w piersi.

Serdeczna łopata musi się wyrobić, aż koncha będzie lśniąca, aż spoina spocznie na ręce jak blizna - a cała łopata będzie drugą, zewnętrzną równowagą.

Rozładunek węgla serdeczną łopatą jest czymś innym niż załadunek cegieł. Przy załadunku cegieł ma się tylko własne ręce, chodzi o logistykę. A podczas rozładunku węgla narzędzie, serdeczna łopata, zmienia pracę logistyczną w pracę artystyczną. Rozładunek węgla to wytworny sport, bardziej niż jazda konna, bardziej niż skoki z trampoliny, bardziej niż elegancki tenis. Porównywalny może tylko z jazdą figurową na łyżwach. Występuję w parze z łopatą, można by powiedzieć. Kto miał kiedyś serdeczną łopatę, dał się jej z pewnością porwać.

Rozładunek węgla zaczyna się tak: kiedy kłapa ciężarówka opadła z łoskotem, stajesz na górze po lewej stronie, ścinasz ukosem kant, aż do dna paki, napierając przy tym nogą na konchę jak na szpadel. Kiedy zrobiłeś sobie na brzegu ciężarówki miejsce na dwie stopy, tak że stoisz teraz na drewnianym dnie, zaczynasz szuflować. W kołyszącym, zamaszystym rytmie współgrają wszystkie mięśnie. Lewą ręką chwytasz za uchwyt, a prawą za długą szyję, tak że palce leżą na guzku spoiny. Trzeba wbić się w węgiel z lewej strony od góry, łu - kiem przeciągnąć go do brzegu i jednym zamachem zrzucić na dół. To znaczy, prawa ręka sunie po stylisku prawie do poprzecznego uchwytu - przy czym ciężar ciała przenosi się na prawą łydkę i dociera aż do czubków palców u nóg. Potem pusta łopata idzie z powrotem na lewo w górę. I znowu zamach, i znowu załadowana łopata na prawo w dół.

Kiedy większość węgla jest rozładowana, a odległość do brzegu paki zrobiła się za duża, nie da się pracować jednym zamaszystym łukiem. Teraz trzeba przyjąć fachową postawę. Prawa noga wysunięta z gracją do przodu, lewa w tyle jako stabilna podpora, palce zwrócone lekko na zewnątrz. Lewa ręka na uchwycie, prawa tym razem nie spoczywa

głęboko na szyi, tylko przesuwa się luźno po stylisku w górę i w dół, balansuje ciężar. Teraz wbijasz się, pomagając sobie prawym kolaniem, cofasz się i przenosisz ciężar zręcznym zwrotem na lewą nogę, tak żeby ani jedna bryłka nie spadła z konchy serca, i wykonujesz kolejny obrót, a więc krok prawą nogą do tyłu, przy czym korpus i twarz też się obracają. Potem przenosisz ciężar na trzeci, nowy punkt oparcia stopy, w prawo do tyłu, lewa noga stoi z gracją, pięta lekko uniesiona, jak w tańcu, tylko zewnętrzna krawędź dużego palca dotyka paki - i zrzucasz węgiel szerokim łukiem z konchy w chmury, tak że łopata stoi poziomo w powietrzu, trzymana tylko lewą ręką za uchwyt. Jest to ruch piękny jak tango, zmiennie ostrokątny przy niezmiennym takcie. Z pozycji szermierczej, kiedy węgiel frunie przez powietrze, następuje płynna zmiana, zaczyna się walc, przenosząc ciężar, zakreślasz wielki trójkąt, pochylenie ciała dochodzi do czterdziestu pięciu stopni, węgiel leci jak chmara ptaków. Anioł głodu leci wraz z nim. Jest w węglu, w serdecznej łopacie, w stawach. Wie, że nic tak nie rozgrzewa ciała jak szufłowanie, które je wyniszcza. Wie również, że głód pożera prawie cały artyzm.

Przy rozładunku pracowaliśmy zawsze we dwóch lub trzech. Nie licząc anioła głodu, ponieważ nie było wiadomo, czy istnieje jeden anioł głodu dla nas wszystkich, czy też każdy ma swojego własnego. Zbliżył się bez umiaru do każdego z nas. Wiedział, że gdzie jest rozładunek, tam może być też załadunek. Myśląc matematycznie dalej, można dojść do straszliwego końca: jeśli każdy ma swego własnego anioła głodu, to zawsze, gdy ktoś umiera, jeden anioł głodu się zwalnia. Kiedyś będą istniały tylko opuszczone anioły głodu, opuszczone serdeczne łopaty i opuszczony węgiel.

O aniele głodu

Głód jest zawsze.

Ponieważ jest, przychodzi, kiedy chce i jak chce.

Zasada przyczynowości jest wytworem anioła głodu.

Kiedy się zjawia, to z całą mocą.

Panuje całkowita jasność: i ruch łopatą = i gram chleba.

Nie potrzebowałbym serdecznej łopaty. Ale mój głód jest na nią skazany. Chciałbym, żeby serdeczna łopata była moim narzędziem. Ale jest moją panią. Ja jestem narzędziem. Ona rządzi, ja się podporządkowuję. A mimo to jest moją najukochańszą łopatą. Zmusiłem się do tego, żeby ją polubić. Korzę się, ponieważ jest dla mnie lepszą panią, gdy jej ulegam i nie pałam do niej nienawiścią. Muszę być jej wdzięczny, ponieważ kiedy szufłuję za chleb, nie myślę o głodzie. Ponieważ głód sam z siebie nie przechodzi, serdeczna łopata troszczy się o to, żeby szufłowanie wysunęło się przed głód. Szufłowanie jest na pierwszym miejscu

podczas szuflowania, inaczej ciało nie podoła pracy.

Rozładujemy węgiel, ale nigdy nie robi się go mniej. Nadchodzi, na szczęście, co dzień z Jasinowatej, tak jest napisane na wagonie. Codziennie głowa zatracą się w szuflowaniu. Całe ciało sterowane głową jest narzędziem łopaty. Niczym więcej.

Szuflowanie jest ciężką pracą. Musieć szuflować i nie móc, to jedno. Chcieć szuflować i nie móc, to podwójna rozpacz, padasz na twarz, jakbyś się kłaniał przed węglem. Nie boję się szuflowania tylko samego siebie. A właściwie tego, że mógłbym podczas szuflowania myśleć o czymś innym niż o tym, że szufluję. Na początku zdarzało mi się to czasem. Ale to podkopuje siły potrzebne do szuflowania. Serdeczna łopata natychmiast zauważa, kiedy nie jestem przy niej cały. Panika zaciska gardło. W skroniach takt na dwa i nic poza tym. Wdziera się w puls jak jazgot - hałaśliwa sfora. Jestem tuż przed załamaniem, na słodkim podniebieniu puchnie języczek. Anioł głodu zawisał mi w ustach, na podniebieniu miękkim. Jest jego wagą. Zakłada moje oczy i serdeczna łopata chwieje się, węgiel się rozmywa. Anioł głodu stawia sobie moje policzki na brodzie. Rozhuśtuje mój oddech. Huśtawka oddechu jest delirium, i to jakim. Podnoszę wzrok, w górze cicha letnia wata, wyszywanka chmur. Mój mózg podryguje przymocowany do nieba szpilką, ma jedynie ten punkt zaczepienia. I fantazjuje o jedzeniu. Już widzę w powietrzu stoły nakryte białymi obrusami, a żwir chrzęści mi pod stopami. Słońce przeszywa mi jasnymi promieniami szyszynkę. Anioł głodu spogląda na swoją wagę i mówi:

Nadal jesteś za ciężki, dlaczego nie możesz sobie odpuścić.

Odpowiadam: Okpiwasz mnie, oszukujesz mnie na moim ciele. Ono jest w twojej mocy. Ale ja nie jestem moim ciałem. Jestem czymś innym i nie odpuszczę. Nie można już mówić, że jestem kimś, ale powiem ci, czym jestem. To, czym jestem, okpiwa twoją wagę.

Tak było często tej drugiej zimy w obozie. Wracam nad ranem śmiertelnie zmęczony z nocnej zmiany. Mam wolne, powinienem spać, kładę się i nie mogę zasnąć. 68 pustych łóżek w baraku, wszyscy pracują. Ciągnie mnie na zewnątrz, w popołudnie pustego dziedzińca. Wiatr ciska drobnym śniegiem, który chrzęści mi w karku. O widnym głodzie anioł idzie ze mną do odpadków za stołówką. Zataczam się kawałek za nim, wiszę krzywo na własnym podniebieniu. Krok po kroku podążam za moimi nogami, jeśli nie są to jego nogi. Głód jest moim kierunkiem, jeśli nie jego. Anioł puszcza mnie przodem. To nie onieśmienie, on nie chce po prostu, żeby go ze mną widziano. Potem zginam plecy, jeśli to nie jego plecy. Moja żądza jest nieokrzesa, moje ręce dzikie. To są moje ręce, anioł nie dotyka śmieci. Wkładam do ust łupiny kartofli i zamykam oczy, tak czuję je lepiej, słodkie i szkliste zmarznięte łupiny.

Anioł głodu szuka śladów, których nie da się zatrzeć, i zaciera ślady, których nie da się zachować. Pola kartofli ciągną mi się przez mózg, krzywe parcele między łąkami na Wench, górskie kartofle z domu. Pierwsze, okrągłe, blade młode kartofle. Szklście niebieskie, nieforemne późne kartofle. Mączne kartofle wielkości pięści, w skórzanej łupinie, żółtosłodkie. Wysmukłe, o gładkiej skórce, owalne, nierozsypujące się early rose. I jak kwitną latem, żółtobiało, różowoszaro lub liliowo, nawoskowanymi wiązkami na gorzko zielonym zielsku o kanciastych łodygach.

Jak szybko zjadłem z uniesioną wargą wszystkie zamrożone łupiny. Wsuwałem w usta jedną po drugiej, bez przerwy, tak jak bez przerwy trwa głód. Pochłaniane wszystkie naraz, bez ustanku, są jedną długą łupinową taśmą.

Wszystkie, wszystkie, wszystkie.

Nadchodzi wieczór. Wszyscy wracają z pracy do domu. I wszyscy wchodzi w głód. Jest pryczą, kiedy głodny patrzy na innych głodnych. Ale to zmyłka, czuję po sobie, że to głód wchodzi w nas. Jesteśmy pryczą głodu. Wszyscy jemy z zamkniętymi oczyma. Całą noc karmimy głód. Tuczemy go, żeby nie umknął spod łopaty.

Jem krótką drzemkę, potem budzę się i jem kolejną krótką drzemkę. Wszystkie sny są takie same, ich istotą jest jedzenie. We śnie istnieje łaska przymusu jedzenia i jest ona męką. Jem zupę weselną i chleb, nadziewane papryki i chleb, sękacza. Potem budzę się, patrzę w krótkowzroczną żółtą służbową żarówkę, zasypiam i jem zupę z kalarepy i chleb, zająca na kwaśno i chleb, lody truskawkowe w srebrnym pucharku. Potem kluski orzechowe i rożki waniliowe. Potem klausenburską kapustę i chleb, tort rumowy. Potem głowiznę wieprzową z chrzanem i chleb. Na koniec miałbym jeszcze udziec z sarny z chlebem i kompot z moreli, ale głośniki wdzierają się w sen, ponieważ nastał dzień. Sen jest tym chudszy, im więcej jem, a głód nigdy się nie nuży. Wiedziałem, kim są i w jakiej kolejności odeszli ci trzej pierwsi z nas, którzy umarli z głodu. Kilka długich dni myślałem o każdym z nich. Ale liczba trzy nigdy nie pozostaje pierwszą liczbą trzy. Każda liczba wynika z jakiejś innej. I hartuje się. Kiedy samemu jest się tylko skórą wypełnioną kośćmi, fizycznie w kiepskim stanie, trzeba raczej trzymać zmarłych na dystans. Ponieważ, matematycznie rzecz biorąc, w marcu czwartego roku było już trzystu trzydziestu zmarłych. Przy tej liczbie nie można było sobie pozwolić na wyraźne uczucia. O zmarłych myślało się krótko.

Trzeba było otrząsnąć się z mdłego nastroju. Falę znużonego smutku odpędzić, i to jeszcze zanim nadeszła. Śmierć potężnieje i pożąda wszystkich. Nie można się z nią zadawać. Trzeba ją przeganiać jak uciążliwego psa.

Nigdy nie byłem tak zdecydowanym przeciwnikiem śmierci jak podczas tych pięciu

lat obozu. Przeciwno śmierci nie potrzeba własnego życia, wystarczy jakiegokolwiek, które jeszcze nie całkiem dobiegło końca.

Ale pierwszych trzech zmarłych w obozie to:

Głucha Mitzi zmiądzona między dwoma wagonami.

Kati Meyer zasypana w cementowej wieży.

Irma Pfeifer utopiona w zaprawie.

W moim baraku pierwszym zmarłym jest maszynista Peter Schiel otruty węglówką.

Przyczyna śmierci u każdego nazywa się inaczej, ale głód też zawsze był obecny.

Podążając matematycznym tropem, powiedziałem kiedyś u golibrody Oswalda Enyetera prosto do lustra: Wszystko, co proste, jest jedynie czystym rezultatem, a podniebienie miękkie mamy wszyscy. Anioł głodu waży każdego i zostaje z tymi, którzy sobie odpuścili: nie umkną spod serdecznej łopaty. To jest jego zasada przyczynowości i prawo dźwigni.

I to, i to jest nie do pogardzenia, ale i nie do jedzenia, powiedział golibroda. To też jest prawo. Milczałem do lustra. Masz na głowie pełno ropnych kwiatków, powiedział golibroda, muszę cię ogolić na łyso.

Co za kwiatków, spytałem.

Było dobrodziejstwem, kiedy zaczął mnie golić na łyso. Jedno jest pewne, pomyślałem, anioł głodu zna swoich współników. Hołubi ich, a potem zostawia na pastwę losu. Wtedy się rozbijają. A on z nimi. Staje się dałem, które okpiwa. Również to jest jego prawo dźwigni. Co mam jeszcze powiedzieć. Wszystko, co się dzieje, jest zawsze proste. Jak długo trwa, tak długo toczy się według własnych zasad. A kiedy trwa pięć lat, staje się nieprzejrzyste i nie zwraca na siebie uwagi. I wydaje mi się, że jeśli później chce się otym opowiedzieć, nie ma niczego, czego nie można by było dodać: Anioł głodu myśli słusznie, jest zawsze, nie odchodzi, ale przychodzi, zna swój cel i moje granice, wie, skąd pochodzę, i zna skutki swojego działania, idzie po jednej stronie, z widnym okiem, zawsze przyznaje się do swego istnienia, jest obrzydliwie osobisty, ma przezroczystry sen, jest ekspertem od łobody, cukru i soli, wszy i tęsknoty za domem, ma wodę w brzuchu i w nogach.

Można tylko wyliczać.

Jeśli sobie nie odpuszczasz, uważasz, że nie jest jeszcze najgorzej. Do dzisiaj przemawia przez ciebie anioł głodu. Nieważne, co mówi, panuje całkowita jasność: i ruch łopatą = i gram chleba.

Tyle że nie wolno mówić o głodzie, kiedy jest się głodnym. Głód nie jest przyczyną, bo miałby wtedy umiar. Głód nie jest przedmiotem.

Węglówka

Pewnej niespokojnej nocy, gdy nie było można nawet myśleć o śnie, gdy czasu nie wypełniała nawet łaska przymusu jedzenia, ponieważ męka zadawana przez wszy nie ustawała, takiej właśnie nocy Peter Schiel zobaczył, że ja także nie śpię. Usiadłem na łóżku, on też usiadł naprzeciwko, po przekątnej, na swoim i spytał:

Co znaczy dawać i brać.

Powiedziałem: Sen.

I znowu położyłem się na wznak. On siedział nadal, słyszałem gulgotanie. Bea Zakel wymieniła na bazarze jego wełniany sweter na węglówkę. Wypił ją. I o nic więcej nie pytał. Następnego ranka Karli Halmen powiedział, że jeszcze kilka razy spytał, co znaczy dawać i brać. Ale spałeś już głęboko.

Zeppelin

Tam, gdzie nie ma baterii koksowniczych, starych bram i parujących rur, gdzie z góry spogląda tylko biała chmura wieży chłodniczej, zanim odleci daleko w step, gdzie kończą się ostatnie szyny i z JAMY podczas rozładunku węgla widać tylko kwitnące na gruzach zielsko, a więc tam, gdzie za fabryką ziemia jest łysa i nędzna, zanim przejdzie w dzicz, krzyżują się wydeptane ścieżki. Prowadzą do wielkiej zardzewiałej rury, uszkodzonej przedwojennej rury firmy Mannesmann. Ma 7 do 8 metrów długości i 2 metry średnicy. Na jednym końcu, od głowy, od strony jamy, jest zespawana jak cysterna. Na drugim końcu, w nogach, od strony ugorów, jest otwarta. Potężna rura, nikt nie wie, jak się tu znalazła. Odkąd jesteśmy w obozie, wiadomo przynajmniej, do czego może się przydać. Wszyscy nazywają ją **ZEPPELINEM**.

Sam zeppelin nie kołysze się srebrzyście na niebie, ale sprawia, że rozum zaczyna się kołysać. Jest hotelem na godziny, tolerowanym przez kierownictwo obozu i naczelników. W zeppelinie nasze kobiety spotykają się z niemieckimi jeńcami wojennymi, którzy w pobliżu, na ugorze albo w zbombardowanych fabrykach, uprzątają gruz budowlany. Kowatsch Anton powiedział, że przychodzą do naszych kobiet na kocie wesele. Miej oczy otwarte, kiedy szuflujesz węgiel.

Jeszcze w lecie Stalingradu, ostatnim lecie na werandzie domu, spragniony miłości głos niemieckiej kobiety z Rzeszy powiedział z radia:

Każda niemiecka kobieta podaruje Fiihrerowi dziecko. Ciocia Fini spytała moja mamę: Jak to zrobimy. Czy Fiihrer co wieczór będzie przyjeżdżał do jednej z nas do Siedmiogrodu, czy też pojedziemy wszystkie po kolei do niego do Rzeszy. Jedliśmy zająca na kwaśno, mama zlizywała sos z liścia laurowego, przeciągała liść powoli między wargami. Kiedy był wylizany do czysta, wetknęła go sobie w dziurkę od guzika. Pomyślałem, że

pokpiwają sobie tylko dla niepoznaki. Po ich błyszczących oczach widać było, że chciałyby tego bardziej niż trochę. Mój ojciec też to zobaczył, zmarszczył czoło i na chwilę przestał żuć. A babcia powiedziała: Myślałam, że nie lubicie mężczyzn z wąsami. Wyślijcie Fiihrerowi telegram, żeby się najpierw ogolił.

Ponieważ jama leżała po pracy opuszczona, a słońce świeciło jeszcze jaskrawo nad trawami, poszedłem jedną ze ścieżek do zeppelinu i zajrzałem do środka. Przy wejściu było cieniście, w środku panował zmierzch, na samym końcu było ciemno jak w worku. Następnego dnia miałem oczy otwarte, kiedy szuflowałem węgiel. Późnym popołudniem zobaczyłem mężczyzn nadchodzących we trzech lub czterech przez zielsko. Mieli inne kufajki niż my, pasiaste. Usiedli tuż przed zeppelinem, w trawie sięgającej im do szyi. Przy wejściu do rury zawisła szybko na patyku rozerwana poszewka na poduszkę, znak, że zajęte. Po chwili chorągiewka zniknęła. Wkrótce znowu się pokazała i znowu zniknęła. Gdy tylko pierwsi mężczyźni odeszli, przyszło następnych trzech czy czterech i usiadło w trawie.

Widziałem też, że całe kobiece brygady obsługiwały kocie wesela. Podczas gdy trzy, cztery kobiety szły w zielsko, inne wciągały naczelnika w rozmowę. Kiedy mimo to pytał o te, które zniknęły, pozostałe wyjaśniały, że musiały odejść na stronę z powodu skurczów żołądka i biegunki. W niektórych przypadkach było to zgodne z prawdą, naczelnik nie mógł sprawdzić w ilu. Zagryzał więc wargi, słuchał przez chwilę, potem jednak coraz częściej odwracał głowę w stronę zeppelinu. Wtedy kobiety musiały interweniować, poszeptywały z naszą śpiewaczką Loni Mich i Loni zaczynała gwizdać tak przenikliwie, jakby ktoś pocierał palcem o brzeg szklanki. Zagłuszała nawet odgłos szuflowania:

Cisza wieczorna dookoła Tylko w dolinie słowik woła.

I naraz zaginione były z powrotem. Wciskały się między nas i szuflowały jakby nigdy nic.

Podobała mi się nazwa zeppelin, współbrzmiała ze srebrzystym zapomnieniem naszej nędzy, z pospiesznym kocim parzeniem się. Rozumiałem, że ci obcy Niemcy mieli wszystko, czego brakowało naszym mężczyznom. Zostali wysłani przez Fiihrera w świat jako żołnierze i byli w odpowiednim wieku, nie tak dziecinni i nie tak przejrzały jak nasi mężczyźni. Oni również byli biedni i zdegradowani, ale wcześniej walczyli na wojnie. Dla naszych kobiet byli bohaterami, czymś lepszym niż wieczorna miłość z robotnikiem przymusowym w barakowym łóżku za zasłoną z koca. Wieczorna miłość pozostała niezbędna. Ale dla naszych kobiet pachniała ich własną mordęgą, tym samym węglem i tą samą tęsknotą. I prowadziła zawsze do codziennego dawania i brania. Mężczyzna miał się troszczyć o jedzenie, kobieta o pranie i pociechę. W zeppelinie miłość nie miała żadnych trosk, poza zatykaniem i

zdejmowaniem białej chorągiewki.

Kowatsch Anton nie spodziewał się po mnie, że nie będę miał kobietom zeppelina za złe. Że nosiłem w głowie ten sam trop, byłem wtajemniczony w podniecenie potarganych ubrań, włóczącą się żądzę i jej łapczywe szczęście w olchowym parku i kąpielisku Neptuna. Nikt się po mnie nie spodziewał, że teraz częściej wspominałem rendezvous. **JASKÓŁKA, CHOINKA, UCHO, NITKA, WILGA, CZAPKA, ZAJĄC, KOT, MEWA.** Potem **PERLA.** Nikt się tutaj po mnie nie spodziewał, że noszę te wszystkie przezwiska w głowie, a na karku tak dużo milczenia.

Również w zeppelinie miłość miała swoje pory roku. Drugiego roku zima położyła zeppelinowi kres. Potem głód. Kiedy anioł głodu histerycznie biegał za nami, kiedy nastał czas skóry i kości, kiedy samce i samice były nie do odróżnienia, nadal rozładowywaliśmy węgiel na jamie. Tylko ścieżki w zielsku zarosły. A wyka ptasia pięła się liliowo między białym krwawnikiem i czerwoną łobodą, kwitły niebieskie łopiany i osty. Zeppelin spał i należał do rdzy, tak jak węgiel do obozu, trawy do stepu, a my do głodu.

O bólach fantomowych zegara z kukułką

Na ścianie nad blaszonym wiadrem z wodą pitną tuż przy drzwiach zawisł któregoś letniego wieczoru w drugim roku zegar z kukułką. Nikt nie wiedział, skąd się wziął. Należał więc do baraku i do gwoźdźcia, na którym wisiał, poza tym do nikogo. Naprzykrzał się nam wszystkim razem i każdemu z osobna. Pustymi popołudniami jego tykanie nasłuchiwało, kto przychodzi, kto odchodzi, kto śpi w swoim łóżku. Czy też tylko leży, zatopiony w myślach, albo tylko przeczekuje, bo jest zbyt głodny, żeby zasnąć, i zbyt znużony, żeby wstać. Ale po przeczekaniu nic nie nadchodziło, poza tykaniem języczka podwojonym przez tykanie zegara.

Po co nam był tu zegar z kukułką. Nie potrzebowaliśmy go do odmierzania czasu. Nie mieliśmy czego mierzyć, rankiem budził nas hymn z głośników na dziedzińcu. On także wieczorami wysyłał nas do łóżek. Kiedy byliśmy potrzebni, wyciągano nas z dziedzińca, ze stołówek, ze snu. Również syreny fabryki były zegarem, tak jak biała chmura wieży chłodniczej i dzwoneczki baterii koksowniczych. Prawdopodobnie to bębniarz Kowatsch Anton przytargał zegar z kukułką. I chociaż przysięgał, że nie ma z nim nic wspólnego, codziennie go nakręcał. Skoro już tutaj wisi, powinien chodzić, mówił.

Był to całkiem zwyczajny zegar z kukułką, ale kukułka nie była zwyczajna. Wskakiwała kwadrans przed i wykukiwała wpół do, a piętnaście po oznajmiała pełną godzinę. O pełnej godzinie zapominała o wszystkim lub ogłaszała ją nieprawidłowo, podwajała lub przepoławiała. Kowatsch Anton twierdził, że kukułka odzywa się prawidłowo, jeśli uwzględnimy czas z innych części świata. Kowatsch Anton zadurzył się w tym zegarze,

w kukułce, w dwóch obciążnikach z żelaznych szyszek i w żwawym wahadle. Najbardziej by go cieszyło, gdyby kukułka całą noc oznajmiała swoje inne strony świata. Ale pozostali mieszkańcy baraku nie chcieli ani czuwać, ani spać w stronach świata kukułki.

Kowatsch Anton był tokarzem w fabryce, a w obozowej orkiestrze perkusistą i bębniarzem plisowanej *Palomy*. Instrumenty zrobił sobie na tokarce w warsztacie ślusarskim, był zapalonym majsterkowiczem. Chciał wyregulować obytą w świecie kukułkę podług rosyjskiej dyscypliny dni i nocy. Poprzez zwężenie głośni w mechanizmie kukułki chciał jej wbudować krótki, przytłumiony, o oktawę niższy głos nocny i dłuższy, jaśniejszy śpiew dzienny. Ale zanim opanował przyzwyczajenia kukułki, ktoś wyrwał ją z zegara. Drzwiczki kukułki wisiały krzywo na zawiasie. Kiedy mechanizm chciał pobudzić ptaka do śpiewu, drzwiczki otwierały się wprawdzie do połowy, ale zamiast kukułki wyskakiwał z obudowy kawałek gumy przypominający dżdżownicę. Guma wibrowała i słychać było żalosne grzechotanie, które upodabniało się do kaszlu, odchrząkiwania, chrapania, pierdzenia, wzdychania przez sen. Tak to gumowy robak czuwał nad naszą nocną ciszą.

Kowatsch Anton dżdżownicą był równie zachwycony jak kukułką. Był nie tylko majsterkowiczem, cierpiał również, ponieważ w obozowej orkiestrze nie miał partnera do swingu, takiego jak w Karansebesch, w swoim bigbandzie. Wieczorami, kiedy hymn z głośników zaganiał nas do baraków, Kowatsch Anton przestawiał gumę zakrzywionym drutem na nocne grzechotanie. Za każdym razem zostawał jeszcze przez chwilę przy zegarze, przyglądał się swojej twarzy w wiadrze z wodą i jak zahipnotyzowany czekał na pierwszy dźwięk. Kiedy otwierały się drzwiczki, pochylał się trochę, a jego lewe oko, które było nieco mniejsze od prawego, iskrzyło się precyzyjnie. Kiedyś po grzechotaniu powiedział bardziej do siebie niż do mnie: Oj, robak odziedziczył po kukułce bóle fantomowe.

Lubiłem ten zegar.

Zwariowanej kukułki nie lubiłem, robaka też nie, ani żwawego wahadła. Lubiłem za to szyszki - obciążniki. Były gnuś - nym, ciężkim żelazem, a mimo to widziałem jodłowe lasy w górach w domu. Wysoko nad głową, jeden obok drugiego, czarnozielone iglaste płaszcze. Pod nimi, jak okiem sięgnąć, sztywno wyprostowane drewniane nogi pni, które stoją, kiedy ty stoisz, idą, kiedy ty idziesz, biegną, kiedy ty biegniesz. Tyle że całkiem inaczej niż ty, jak wojsko. Kiedy ze strachu serce puka ci pod językiem, zauważasz pod stopami błyszczące futro igliwia, ten cichy spokój usiany szyszkami. Schylasz się i podnosisz dwie, jedną wsadzasz do kieszeni spodni. Drugą trzymasz w ręku i już nie jesteś sam. Wraca ci rozum, widzisz, że wojsko to tylko las, a zagubienie w nim to jedynie spacer.

Ojciec bardzo się starał, chciał mnie nauczyć gwizdać i wyznaczać kierunek według

echa, kiedy gwizdże ktoś, kto zgubił się w lesie. I jak go znaleźć, gwizdząc w odpowiedzi. Pożytek z gwizdania zrozumiałem, ale nie pojąłem, jak spi - czaście wydmuchać powietrze z ust. Zawsze źle je wciągałem, tak że nadmuchiwała się pierś, ale na wargach nie pojawiał ton. Nigdy nie nauczyłem się gwizdać. Ilekroć ćwiczył ze mną, myślałem tylko o tym, co widziałem: że u mężczyzn wargi błyszczą od środka jak różowy kwarc. Mówił, że przekonam się jeszcze, jak bardzo jest to przydatne. Miał na myśli gwizdanie. Ale ja myślałem o szklistej skórze warg. Właściwie zegar z kukułką należał do anioła głodu. Tutaj, w obozie, nie chodziło przecież wcale o nasz czas, tylko opytanie: kukułko, jak długo jeszcze pożyję.

Kati Straż

Katharina Seidel, Kati Straż, pochodziła z Banatu, z Bakowej. Może ktoś z jej wsi wykupił się z listy i jakiś łajdak wziął ją w zastępstwie. Albo łajdak był sadystą i Kati od początku była na liście. Urodziła się niedorozwinięta umysłowo i przez te całe pięć lat nie wiedziała, gdzie jest. Była korpulentną kobietą, jako dziecko przestała rosnać wzwyż, rosła tylko wszerz. Miała długi brązowy warkocz i wieniec z kędzierzawych włosów wokół czoła i na karku. Na początku kobiety czesały ją codziennie, potem, gdy zaczęła się plaga wszy, co kilka dni.

Kati Straż nie nadawała się do żadnej pracy. Nie rozumiała co to jest norma, rozkaz czy kara. Wprowadzała nieład w przebieg zmiany. Żeby ją czymś zająć, wymyślono dla niej drugiej zimy służbę wartowniczą. Miała trzymać straż na zmianę w różnych barakach.

Przez jakiś czas przychodziła do naszego baraku, siadała przy małym stoliku, krzyżowała ręce, mrużyła oczy i patrzyła w kłujące służbowe światło żarówki. Krzesło było za wysokie, nie sięgała stopami do ziemi. Kiedy nadciągała nuda, trzymała się brzegu stołu i kołysała się na krześle w przód i w tył. Nie wytrzymała nawet godziny, szła do innego baraku.

Latem przychodziła tylko do naszego baraku i zostawała całą noc, ponieważ podobał się jej zegar z kukułką. Czasu nie potrafiła odczytać. Siadała pod służbowym światłem, krzyżowała ramiona i czekała, aż gumowy robak pojawi się w drzwiczkach. Kiedy zaczynał hałasować, otwierała usta, jakby chciała mu pomóc w grzechotaniu, ale nie wydawała żadnego dźwięku. Kiedy gumowyrobak pojawiał się po raz drugi, spała już z twarzą na stoliku. Zanim zasnęła, przekładała warkocz z pleców na stół i śpiąc, przez całą noc nie wypuszczała go z ręki. Może w ten sposób czuła się mniej samotna. Może bała się w lesie 68 męskich łóżek. Może warkocz pomagał jej tak, jak mi szyszki w lesie. Albo chciała z warkoczem w ręku mieć tylko pewność, że nikt jej go nie ukradnie.

Warkocz został jednak ukradziony, tyle że nie przez nas. Żeby ukarać ją za zasypianie,

Tur Prikulicz zaprowadził Kati Straż do baraku dla chorych. Felczerka musiała ogolić ją na łyso. Tego dnia Kati przyszła do stołówki z obciętym warkoczem wokół szyi i położyła go na stole jak węża. Zamoczyła górny koniec warkocza w zupie i przyłożyła do łysej głowy, żeby przyrósł. Karmiła dolny koniec warkocza i płakała. Heidrun Gast zabrała jej warkocz, mówiąc, że będzie lepiej, jeśli o nim zapomni. Po jedzeniu wrzuciła warkocz do jednego z ognisk na dziedzińcu, a Kati Straż bez słowa patrzyła, jak się palił.

Również ogolona na łyso Kati Straż lubiła zegar z kukułką i również ogolona na łyso zasypiała po pierwszym grzechotaniu gumowego robaka, zaciskając dłoń tak, jakby trzymała w niej warkocz. Również kiedy włosy odrosły, zasypiała, zaciskając dłoń, chociaż włosy były długości palca. Kati Straż zasypiała tak co dzień, całymi miesiącami, w końcu znów golono ją na łyso, a włosy odrastały tak rzadkie, że widać było więcej wszy niż włosów. Zasypiała tak długo, aż Tur Prikulicz zrozumiał, że wytresować można każdego zniszczonego człowieka, ale choroby umysłowej nie sposób sobie podporządkować. Straż została zniesiona.

Zanim ogolili ją na łyso, Kati Straż siadała podczas apelu na śniegu, na watowanej czapce. Szysztwanionow krzyczał: Fa - szystko, wstać. Tur Prikulicz ciągnął ją za warkocz do góry, ale jak tylko puszczał, siadała znowu. Kopał ją w krzyż, a ona leżała skulona na ziemi, ścisnęła w pięści warkocz, a pięść wciskała w usta. Koniec warkocza zwisał jej z ust, jakby odgryzła połowę małego, brązowego ptaszka. Leżała na ziemi, dopóki po apelu ktoś z nas nie pomógł jej wstać i nie odprowadził do stołówki.

Nami Tur Prikulicz mógł rozporządzać, ale w przypadku Kati Straż kompromitował się jedynie brutalnością. A kiedy to mu nie wychodziło, litością. Niepoprawnie i bezradnie Kati Straż odbierała rozum swemu panu. Żeby się dłużej nie kompromitować, Tur Prikulicz spotulniał. Podczas apelu Kati Straż siedziała teraz z przodu koło niego. Godzinami siedziała na watowanej czapce i przyglądała mu się zdziwiona jak manekinowi. Po apelu czapka była przymarznięta do ziemi, trzeba ją było odrywać siłą. Przez trzy kolejne letnie wieczory Kati zakłócała przebieg apelu. Jakiś czas siedziała cicho obok Prikulicza, potem przysuwała się do jego stóp i zaczynała czyścić mu czapką buty. Nastąpił jej na rękę. Cofnęła rękę i zaczęła polerować drugi but. Również drugim nastąpił jej na rękę. Gdy tylko podniósł stopę, zerwała się i popędziła między szeregi, machając rękami, gruchając jak gołąb. Wszyscy wstrzymali oddech, a Tur śmiał się głucho i szczeqliwie jak wielki indyk. Trzy razy pozwolił Kati Straż polerować buty i być gołębiem. Potem zabronił jej pojawiać się na apelu. Podczas apelu musiała myć podłogi w barakach.

Nabierała przy studni wody do wiadra, wyciskała szmatę, owijała ją na szczotce, po każdym baraku zmieniała przy studni brudną wodę. Żadna niepewność, która zakłóciłaby ten

proces, nie miała dostępu do jej głowy. Podłoga była czysta jak nigdy dotąd. Myła ją dokładnie i bez pośpiechu, z przyzwyczajenia, jak w domu.

Wcale nie była taką wariatką. Na apel mówiła APFEL - jabłko. Kiedy odzywał się dzwoneczek baterii koksowniczej, myślała, że zaczyna się msza w kościele. Nie musiała stwarzać sobie złudzeń, ponieważ głową była zupełnie gdzie indziej. Zachowanie dostosowywała nie do obozowego porządku, tylko do panujących tu warunków. Mieszkało w niej coś elementarnego, czego jej zazdrościliśmy. Nawet anioł głodu nie orientował się w jej instynktach. Nawiedzał ją jak nas wszystkich, ale nie miał dostępu do jej mózgu. Robiła najprostsze rzeczy bez namysłu, oddawała się przypadkowi. Przeżyła obóz, nie chodząc po domach. Nie widywaliśmy jej przy odpadkach za stołówką. Jadła wszystko, co można było znaleźć na dziedzińcu obozu i terenie fabryki. Kwiaty, liście i nasiona zielska. I wszelkie żyjątka, robaki i larwy, czerwie i żuki, ślimaki i pająki. A na zaśnieżonym dziedzińcu obozu zamrożone kupy strażniczych psów. Dziw brał, jak psy jej ufały, jakby ten chwiejny człowiek w czapce uszance był jednym z nich.

Obłęd Kati Straż trzymał się zawsze wybaczalnych granic. Nie była ani przyklepna, ani nieprzystępna. Przez te wszystkie lata zachowała naturalność zadomowionego w obozie zwierzątka. Nie miała w sobie nic obcego. Lubiliśmy ją. Pewnego wrześnieowego popołudnia skończyłem zmianę, słońce paliło jeszcze. Zgubiłem się na ścieżce za jamą. Między ognistą łobodą, której już od dawna nie można było jeść, kołysał się spalony słońcem dziki owies. Jego ości połyskiwały jak szkielety ryb. W twardych łuskach ziarna były jeszcze miękkie i soczyste. Jadłem. W drodze powrotnej nie chciałem płynąć przez zielsko i szedłem łysą drogą. Obok zeppelinia siedziała Kati Straż. Jej ręce leżały na mrowisku, pokryte czarnymi rojami mrówek. Oblizywała je i zjadała. Spytałem: Kati, co ty robisz.

Robię sobie rękawiczki, ale one łaskoczą, powiedziała.

Czy jest ci zimno, spytałem.

Powiedziała: Dzisiaj nie, jutro. Mama upiekła mi rogaliki z makiem, są jeszcze ciepłe. Nie chodź po nich, możesz przecież poczekać, nie jesteś myśliwym. Kiedy rogaliki się skończą, żołnierze będą liczeni na apfelu. Potem pojedą do domu. Jej ręce znowu zaroily się czernią. Zanim oblizwała mrówki, spytała: Kiedy skończy się wojna.

Powiedziałem: Wojna skończyła się już dwa lata temu. Chodź, wracamy do obozu.

Powiedziała: Nie widzisz, teraz nie mam czasu.

Przypadek kryminalny z chlebem

Fenja nigdy nie nosiła kufajki, tylko biały roboczy kitel, a na nim dziergane wełniane swetry, za każdym razem inny. Jeden był orzechowobrazowy, inny brudnoliliowy, jak nie -

obrane buraki, jeden żółty jak glina i jeden w białoszare cętki. Każdy miał za szerokie rękawy i opinał się jej na brzuchu. Nikt nie wiedział, który sweter jest przeznaczony na który dzień ani po co Fenja w ogóle je zakłada, i do tego jeszcze na kitel. Ciepła dawać nie mogły, więcej w nich było dziur niż wełny. Przedwojennej wełny, często prutej i zwijanej, która wciąż jeszcze nadawała się do dziergania. Może była to wełna wszystkich wysłużonych swetrów całej wielopokoleniowej rodziny albo swetrów odziedziczonych po wszystkich zmarłych tej rodziny. Nic nie wiedzieliśmy o rodzinie Fenji, nawet tego, czy przed wojną lub po wojnie w ogóle jakąś miała. Samą Fenją nikt z nas się nie interesował. Ale każdy był jej oddany, ponieważ rozdzielała chleb. Była chlebem, panią, której codziennie żarliśmy z ręki.

Nasze oczy wisiały na niej, jakby miała wynaleźć dla nas chleb. Nasz głód dokładnie obserwował wszystko w Fenji. Jej brwi jak dwie szczoteczki do zębów, twarz z władczą brodą, za krótkie końskie wargi, które nie do końca zasłaniały dziąsła, szare paznokcie z wielkim nożem dokładnie odmierzającym porcje, jej wagę kuchenną z dwoma dziobami. Przede wszystkim jej ciężkie oczy, bez życia, jak drewniane korale na liczydło, którego prawie nie używała. Nawet sami przed sobą nie mieliśmy odwagi przyznać, że Fenja jest odrażająco brzydka. Baliśmy się, że zobaczy, co myślimy.

Kiedy tylko dzioby jej wagi zaczynały poruszać się w górę i w dół, podążała za nimi wzrokiem. Tak jak te dzioby drgał mi w ustach język, zagryzałem zęby. Usta zostawiałem otwarte, żeby Fenja widziała uśmiech moich zębów. Uśmiechaliśmy się jednocześnie z konieczności i dla zasady, szczerze i fałszywie, bezbrinnie i podstępnie, żeby nie stracić lekkomyślnie względów Fenji. Żeby nie ryzykować sprawiedliwości Fenji, tylko ją ośmielić, jeśli to możliwe, podwyższyć sprawiedliwość o kilka gramów.

Nic nie pomagało, Fenja i tak była w złym humorze. Miała za krótką prawą nogę. Mówiliśmy, że chroma, tak mocno utykała w drodze do regału z chlebem. Za krótka noga ściągała w dół kąciki jej ust, lewy zawsze, prawy co jakiś czas. Wyglądało to jednak tak, jakby przyczyną złego humoru był ciemny chleb, a nie krótka noga. Drganie ust sprawiało, że zwłaszcza prawa połowa twarzy nabierała cierpiętniczego wyrazu.

Ponieważ dawała nam chleb, jej utykanie i cierpiętniczy wyraz twarzy kojarzyły się nam z przeznaczeniem, z nieuchronnością zataczającego się kroku historii. Fenja miała w sobie coś komunistycznie świętego. Z pewnością była wierną kadrową kierownictwa obozu, chlebowym oficerem, w przeciwnym wypadku nigdy nie awansowałyby do rangi władczyni chleba i współniczki anioła głodu.

Całkiem sama stała z wielkim nożem za ladą w swojej pobielonej wapnem komórce, między kuchenną wagą a liczydłem. Listę musiała mieć w głowie. Wiedziała dokładnie, komu

przysługuje racja 600-, komu 800-, komu loogramowa.

Uległem brzydocie Fenji. Z czasem widziałem w niej przeinaczone piękno, domagające się uwielbienia. Wstręt uczyniłby mnie twardym i byłby ryzykowny przed dziobami wagi. Korzyłem się i często budziło to mój wstręt, ale dopiero gdy posmakowałem jej chleba i na kilka minut byłem w miarę syty.

Dzisiaj myślę, że Fenja rozdzielała wszystkie trzy rodzaje chleba, które wtedy znałem. Pierwszy to ten codzienny, siedmiogrodzki, od niepamiętnych czasów zdobywany w pocie czoła chleb na zakwasie od ewangelickiego Pana Boga. Drugi to brązowy razowy chleb ze złotych kłosów Hitlera z niemieckiej Rzeszy. Trzeci to racjonowany chleb na rosyjskiej wadze. Myślę, że anioł głodu znał tę trójcę w chlebie i wykorzystywał ją. Piekarnia dostarczała pierwszy transport o świcie. Kiedy przychodziliśmy między szóstą a siódmą do stołówki, Fenja miała już odważone porcje. Przed każdym z nas kładła przydział jeszcze raz na wagę, kontrolowała ciężar, dokładała lub odcinała kawałek. Potem wskazywała czubkiem noża na dzioby, z przekrzywioną końską brodą patrzyła na mnie obcym spojrzeniem, jakby od czterystu dni widziała mnie każdego ranka po raz pierwszy.

Już pół roku wcześniej, zanim wydarzył się przypadek kryminalny z chlebem, pomyślałem sobie, że z głodu jesteśmy w stanie zabić, ponieważ zimna świętość Fenji wślizgnęła się w chleb. Kontrolując tak dokładnie własne odważanie, Fenja pokazywała nam, że jest sprawiedliwa. Odważone porcje leżały przykryte białym płótnem na regałach. Przy każdej wydawanej porcji odkrywała na chwilę chleb i przykrywała ponownie, tak jak wyćwiczeni żebracy krążący z kawałkiem węgla po domach. Fenja celebrowała w pobielonej komórce, w białym kitlu, z białym płótnem higienę chleba jako obozową kulturę. Jako światową kulturę. Muchy musiały siadać na płótnie zamiast na chlebie. Na chlebie siadały, kiedy trafiał w nasze ręce. Jeśli nie były wystarczająco szybkie, jedliśmy z naszym chlebem również ich głód. O głodzie much nigdy nie myślałem, podobnie jak o zainscenizowanej higienie białego płótna.

Sprawiedliwość Fenji czyniła mnie uległym, to połączenie krzywogębności i precyzji ważenia. Odrażająca była w Fenji jej perfekcyjność. Fenja nie była ani dobra, ani zła, nie była osobą, tylko prawem w dzierganych sweterkach. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy porównywać Fenji z innymi kobietami, ponieważ żadna nie była tak cierpiętniczo zdyscyplinowana i tak nieskazitelnie brzydka. Była jak pożądany, koszmarnie mokry, klejący się, haniebnie pożywny, racjo - nowany chleb z formy.

Porcję chleba dostawaliśmy rano na cały dzień. Tak jak większość należałem do 800-gramowych kandydatów, była to normalna porcja. 600 gramów przysługiwało za lekką pracę

na terenie obozu, napełnianie cysterny nieczystościami z latryn, odśnieżanie, jesienne i wiosenne porządki, bielenie krawężników. 1000 gramów dostawało niewielu, w ramach wyjątku, za najcięższą pracę. Już 600 gramów brzmiało, jakby to było dużo. Ale chleb był tak ciężki, że nawet 800 gramów starczało tylko na kromkę grubości kciuka, jeśli ukrojona była ze środka chleba. Jeśli przy odrobinie szczęścia ktoś trafiał na piętę z kanciastą, chrupiącą skórką, miał kromkę grubości dwóch kciuków.

Pierwszą decyzją dnia była odpowiedź na pytanie: czy jestem dość nieugięty, żeby podczas śniadania nie zjeść do kapuśniaku całej porcji chleba. Czy pośrodku głodu uda mi się przechować kawałek na wieczór. Obiady nie dostawaliśmy, pracowaliśmy cały dzień i nie było o czym decydować. Wieczorem po pracy, jeśli w trakcie śniadania byłem nieugięty, przychodził czas na kolejną decyzję: czy jestem dość nieugięty, żeby tylko sprawdzić, czy pod poduszką jest zaoszczędzony chleb. Czy potrafię poczekać do końca apelu i zjeść chleb dopiero na stołówce. Mogło to trwać jeszcze dwie godziny. Jeśli apel się przeciągnie, nawet dłużej.

Jeśli rano się zламаłem, wieczorem nie miałem ani kawałka chleba i nie musiałem o niczym decydować. Nabierałem po pół łyżki zupy, siorbałem głośno. Nauczyłem się jeść powoli, po każdej łyżce przetykać ślinę. Anioł głodu mówił: ślina wydłuża zupę, a wczesne chodzenie spać skraca głód.

Chodziłem wcześniej spać, ale wciąż się budziłem, ponieważ języczek na podniebieniu puchł i pulsował. Czy miałem oczy zamknięte, czy otwarte, czy przewracałem się w łóżku, czy wpatrywałem w żarówkę, czy ktoś chrapał, jakby się dusił, czy też gumowy robak grzechotał w zegarze - noc była nie do ogarnięcia, wielka, w niej nieskończenie białe płótna Fenji, a pod nimi nieosiągalny chleb.

Rano po hymnie głód podążał ze mną do Fenji. Do tej nadludzkiej, pierwszej decyzji: czy będę dziś nieugięty, czy zostawię kawałek chleba na wieczór... i tak dalej.

Jak daleko.

Codziennie anioł głodu pożerał mi mózg. Któregoś dnia podniósł mi rękę. Tą ręką niemal zabiłem Karliego Hal - mena - był to przypadek kryminalny z chlebem.

Karli Halmen miał wolny dzień i już na śniadanie zjadł cały chleb. Wszyscy byli w pracy. Karli Halmen miał do wieczora barak dla siebie. Wieczorem Albert Gion nie znalazł swojego zaoszczędzonego chleba. Albert Gion był nieugięty pięć dni z rzędu, zaoszczędził pięć kawałków, tyle ile wynosiła dzienna porcja. Przez całą zmianę był z nami i tak jak wszyscy, którzy mieli zaoszczędzony chleb, przez cały dzień myślał o wieczornej zupie z chlebem. Po powrocie ze zmiany tak jak wszyscy najpierw zajrzał pod poduszkę. Chleba nie

było. Chleba nie było, a Karli Halmen siedział w bieliźnie na swoim łóżku. Albert Gion stanął przed nim w bojowej pozycji i bez słowa przyłożył mu trzy razy pięścią w twarz. Karli Halmen bez słowa wypluł na łóżko dwa zęby. Bębniarz Kowatsch Anton zaprowadził Karliego za kark do wiadra i wepchnął mu głowę do wody. Zabułgotało z ust i z nosa, potem słycać było rżenie, potem wszystko ucichło. Bębniarz wyciągnął głowę z wody i zacisnął Karliemu ręce na szyi, aż usta wykrzywiły mu się tak brzydko jak Fenji. Odepchnąłem bębniarza, ale zdjąłem chodak. Ręka podniosła mi się naraz tak, że o mały włos nie zabiłem złodzieja chleba. Adwokat Paul Gast przyglądał się do tej pory z góry, ze swojego łóżka. Zeskoczył mi na plecy, wyrwał but i rzucił nim ościanę. Karli Halmen leżał zasikany koło wiadra i wymiotował chlebowym śluzem.

Żądza mordu połknęła mi rozum. Nie tylko mnie, wszyscy razem byliśmy sforą. Wyciągnęliśmy Karliego w zakrwawionej, zasikanej bieliźnie z baraku na zewnątrz, w noc. Był luty. Postawiliśmy go pod ścianą baraku, zatoczył się i upadł. Nie umawiając się wcześniej, bębniarz i ja rozpięliśmy spodnie, potem dołączył do nas Albert Gion i inni. Po kolei sikaliśmy Karliemu Halmenowi na twarz. Również adwokat Paul Gast. Zaczęły szczekać dwa psy, za nimi przybiegł strażnik. Psy czuły krew i warczały, strażnik kłął. Adwokat i strażnik zanieśli Karliego do baraku dla chorych. Patrzyliśmy za nimi i wycieraliśmy śniegiem krew z rąk. Wszyscy w milczeniu wróciliśmy do baraku i wpełziliśmy do łóżek. Miałem krwawą plamę na nadgarstku, wyciągnąłem ramię do światła, myślałem o jasnej krwi Karliego, była niczym lak, dzięki Bogu z tętnicy, nie z żyły. W baraku było cicho jak makiem zasiał, słycałem grzechotanie gumowego robaka w zegarze z kukułką, tak blisko, jakby siedział w mojej głowie. Nie myślałem o Karlim Halmenie ani o nieskończeniu białych płótnach Fenji, ani nawet o nieosiągalnym chlebie. Zapadłem w głęboki, spokojny sen.

Następnego ranka łóżko Karliego Halmena było puste. Jak zawsze poszliśmy do stołówki. Również śnieg był pusty, już nie czerwony, w nocy padało. Karli Halmen dwa dni leżał w baraku dla chorych. Potem znowu z ropiejącymi ranami, napuchniętymi oczami i sinymi wargami siedział z nami w stołówce. Sprawa chleba została zakończona, wszyscy zachowywali się jak zwykle. Nie wytykaliśmy Karliemu Halmenowi kradzieży. On nie wyrzucał nam kary. Wiedział, że na nią zasłużył. Sąd chlebowy nie rozpatruje spraw, tylko wymierza karę. Granica zerowa nie zna paragrafów, nie potrzebuje prawa. Sama jest prawem, ponieważ anioł głodu też jest złodziejem, który kradnie mózg. Chlebowa sprawiedliwość nie ma prologu i epilogu, jest tylko terażniejszością. Całkowicie przejrzystą lub całkowicie tajemniczą. Brutalność chlebowej sprawiedliwości jest inna niż przemoc nie - znająca głodu. Przed chlebowym sądem nie wskóra się nic powszechnie przyjętą moralnością.

Sąd chlebowy miał miejsce w lutym. W kwietniu Karli Halmen siedział na krześle u Oswalda Enyetera, rany zagoiły się, broda odrosła jak zdeptana trawa. Byłem za nim w kolejce i czekałem w lustrze, tak jak zazwyczaj czekał za mną Tur Prikulicz. Golibroda położył kosmatą dłoń na ramieniu Karliego i spytał: Od kiedy brakuje nam z przodu dwóch zębów. Ani do mnie, ani do golibrody, tylko do kosmatej ręki Karli powiedział: Od przypadku kryminalnego z chlebem.

Kiedy jego broda była zgolona, usiadłem na krześle. Ten jedyny raz Oswald Enyeter gwizdał podczas golenia coś w rodzaju serenady i z piany wyciekła plamka krwi. Nie jasno - czerwona jak lak, tylko ciemna, jak malina w śniegu.

Półksiężycowa Madonna

Podczas największego głodu rozmawiamy o dzieciństwie i jedzeniu. Kobiety mówią o jedzeniu dokładniej niż mężczyźni. Najdokładniej mówią kobiety ze wsi. Dla nich każdy przepis ma przynajmniej trzy akty, jak sztuka teatralna. Rozbieżne poglądy na temat składników sprawiają, że narasta napięcie. Narasta w zawrotnym tempie, kiedy do nadzienia z boczku, chleba i jajka należy dodać w żadnym wypadku nie pół, tylko całą cebulę, i nie cztery, lecz sześć ząbków czosnku, i kiedy cebule i czosnek zostają nie posiekane, tylko starte. I kiedy tarta bułka jest lepsza niż chleb, a kminek lepszy niż pieprz, a majeranek i tak najlepszy, lepszy nawet niż estragon, który przecież pasuje do ryby, nie do kaczki. A kiedy trzeba wepchnąć nadzienie między skórę a mięso, żeby tłuszcz ze skóry powoli wsiąkał w nie podczas pieczenia, albo koniecznie wsunąć w jamę brzuszną, żeby podczas pieczenia nadzienie nie nasiąkło tłuszczem, sztuka osiąga punkt kulminacyjny. Czasem rację ma ewangelicko nadziana kaczka, czasem ta nadziana po katolicku.

A kiedy kobiety ze wsi zagniatą słowami makaron do zupy, przynajmniej przez pół godziny omawiają liczbę jajek i mieszanie łyżką lub wyrabianie ręką, zanim ciasto - cieniutko rozwałkowane, ale nieprzedarte - zacznie schnąć na desce. Zanim zostanie zrolowane i pocięte, zanim trafi z deski do zupy, zanim zupa pogotuje się powoli i spokojnie lub krótko i do wrzenia, zanim zostanie rozlana do talerzy i posypana garścią lub szczyptą świeżo posiekanej pietruszki, mija jeszcze kwadrans.

Kobiety z miasta nie pertraktują, ile jajek potrzeba na makaron, tylko ile można zaoszczędzić. A ponieważ wciąż na wszystkim oszczędzają, ich przepisy nie nadają się nawet na prolog sztuki teatralnej.

Opowiadanie przepisów to większa sztuka niż opowiadanie dowcipów. Musi być puenta, chociaż wcale nie jest zabawna. Tutaj, w obozie, dowcip zaczyna się już od słów **NALEŻY WZIĄĆ**. To, że niczego nie ma, jest puentą, tyle że nikt jej nie wypowiada. Przepisy

są dowcipami aniola głodu. Zanim można usiąść w baraku kobiet, przechodzi się coś w rodzaju biegu przez różgi. Wchodząc, trzeba powiedzieć, najlepiej uprzedzając pytanie, kogo się szuka. Najlepiej spytać samemu: Czy jest Trudi. Pytając, najlepiej iść już od razu na lewo, trzeci rząd, do łóżka Trudi Pelikan. Łóżka to piętrowe stelaże z żelaza, jak w męskich barakach. Niektóre są zasłonięte kocami na wieczorną miłość. Ja nigdy nie chcę za koc, pragnę tylko przepisów. Kobiety uważają, że jestem nieśmiały, bo miałem książki. Twierdzą, że od czytania człowiek robi się delikatny.

Przywiezionych książek nigdy nie czytałem w obozie. Papier jest surowo wzbroniony, pierwszą połowę roku ukrywałem je za barakiem pod stosem cegieł. A potem je przehandlowałem. Za pięćdziesiąt stron *Zaratustry* na bibułkę do papierosów dostałem miarkę soli, za siedemdziesiąt stron nawet cukier. Za całego *Fausta* w płótnie Peter Schiel zrobił mi blaszany grzebień na wszy. Zbiór liryki z ośmiu stuleci zjadłem w formie mąki kukurydzianej i smalcu, a cienkiego Weinhebera zamieniłem na proso. Przez to człowiek nie staje się delikatny, tylko dyskretny.

Dyskretnie oglądałem po pracy młody męski personel rosyjski pod przysznicem. Tak dyskretnie, że sam nie wiem, dlaczego to robię. Zabiliby mnie, gdybym wiedział.

Znowu nie byłem nieugięty. Cały chleb zjadłem na śniadanie. Znowu siedzę w żeńskim baraku na brzegu łóżka obok Trudi Pelikan. Dwie Zirri przychodzą do nas i siadają naprzeciwko, na łóżku Coriny Marcu. Od tygodni jest w kołchozie. Przyglądam się złotemu meszkowi i ciemnej brodawce na cienkich palcach dwóch Zirri i opowiadam, żeby nie mówić od razu o jedzeniu, o dzieciństwie.

Co lato wyjeżdżaliśmy na wakacje na wieś. My, to znaczy moja mama, ja i służąca Lodo. Nasz letni dom był na Wench, a górę naprzeciwko nazywaliśmy Schniirleibl. Zostawaliśmy tam osiem tygodni. Przez te osiem tygodni codziennie szliśmy na wycieczkę do SchaCburga, najbliższego miasta. Wsiadało się w dolinie. Stacja nazywała się po węgiersku Hetur, a po niemiecku Siebenmanner. Kiedy pociąg wyjeżdżał z Danesch, na dachu domku dróżnika dzwonił dzwonek. Po pięciu minutach pociąg docierał do nas. Peronu nie było. Stopnie pociągu sięgały mi do piersi. Zanim wsiedliśmy, oglądałem wagon od dołu - czarne koła z błyszczącym, wypolerowanym od szyn paskiem pośrodku, łańcuchy, haki i bufory. Potem przejeżdżaliśmy koło kąpieliska, domu Tomy i pola starego Zachariasza. Co miesiąc dostawał od nas dwie paczuszki tytoniu jako myto, ponieważ w drodze do kąpieliska musieliśmy przejść przez jego jęczmień. Potem był most kolejowy, w dole kłębiła się żółta woda. Za mostem stała zwietrzała skała piaskowa, a na niej Villa Franca. Byliśmy już w Schafiburgu. Zawsze szliśmy od razu na rynek do eleganckiej Café Martini. Rzucaliśmy się

tam w oczy, ponieważ byliśmy zbyt swobodnie ubrani - mama w spódnicospodniach, ja w krótkich spodenkach i szarych podkolanówkach, które wolniej się brudziły. Tylko Lodo miała na sobie odświętne wiejskie ubranie, białą chłopską bluzkę i czarną chustkę haftowaną w róże, z zielonymi frędzlami z jedwabiu. Róże były w najrozmaitszych odcieniach czerwieni, wielkości jabłka, większe niż prawdziwe kwiaty. Tego dnia mogliśmy jeść wszystko, na co przyszła nam ochota, i tyle, ile zdołaliśmy. Mieliśmy do wyboru trufle marcepanowe, ciepłe lody i babkę Savarin, kremówki, roladę orzechową, rurki z kremem torciki Ischlera, krokiety z orzechów laskowych, tort rumowy, napoleonki, nugat i tort dobosza. Potem jeszcze lody, truskawkowe w srebrnym albo waniliowe w szklanym pucharku lub czekoladowe w porcelanowych miseczkach, zawsze z bitą śmietaną. Na zakończenie, o ile jeszcze daliśmy radę, ciasto wiśniowe z galaretką. Na rękach czułem chłodny marmur blatu, a w zgięciach kolan miękkie plusz krzesła. W górze na czarnym bufecie w podmuchach wentylatora kołysała się, oparta koniuszkami palców na bardzo, bardzo wąskim księżycu, półksiężycowa Madonna w długiej czerwonej sukni. Kiedy to opowiedziałem, żołądek kołysał nami wszystkimi na krawędzi łóżka. Trudi Pelikan sięgnęła za moimi plecami pod poduszkę po zaoszczędzony chleb. Wszyscy chwycili swoje blaszane talerze i wsadzili łyżki do kieszeni kufajek. Moje rzeczy miałem przy sobie, razem poszliśmy na kolację. Ustawiliśmy się w kolejce do garnka z zupą. Potem wszyscy siedzieliśmy przy długich stołach. Każdy miał własną metodę poruszania łyżką, żeby jak najdłużej oszczędzać zupę. Wszyscy milczeli. Z końca stołu Trudi Pelikan spytała przez pobrzękiwanie blachy: Leo, jak nazywa się ta kawiarnia?

Odkrzyknąłem: Café Martini.

Dwie, trzy łyżki później spytała: A jak nazywa się ta kobieta na palcach. Odpowiedziałem: Półksiężycowa Madonna.

Własny chleb, chleb białego zajaca

W chlebową pułapkę wpada każdy.

W pułapkę walki o nieugiętość przy śniadaniu, w pułapkę wymiany chleba podczas kolacji, w pułapkę nocy z zaoszczędzonym chlebem pod poduszką. Najgorszą pułapką anioła głodu jest pułapka nieugiętości: być głodnym, mieć chleb, ale go nie jeść. Być wobec siebie twardszym niż zamarznięta ziemia. Anioł głodu mówi codziennie: Pomyśl owieczorze.

Wieczorami przed kapuśniakiem odbywa się wymiana chleba, ponieważ własny chleb zawsze wydaje się mniejszy niż chleb innych. Inni widzą to tak samo.

Przed wymianą pojawia się w mózgu chwila katapultująca, a natychmiast po wymianie wątpiąca. Po wymianie, w obcej ręce, oddany chleb jest większy niż był w mojej. A ten, który dostałem, w mojej ręce się skurczył. Jak szybko się odwraca, ma lepsze oczy niż ja,

zyskał na tym. Muszę się znowu wymienić. Ale on czuje to samo, myśli, że to ja na tym skorzystałem, i także dokonuje kolejnej wymiany. Chleb ponownie kurczy się w mojej dłoni. Szukam trzeciego i wymieniam. Inni już jedzą. Jeśli głód wytrzyma jeszcze chwilę, dochodzi do czwartej, piątej wymiany. A kiedy nic już nie pomaga, następuje wymiana zwrotna. I znowu mam własny chleb.

Wymiana chleba jest konieczna. Następuje szybko i zawsze jest chybiona. Chleb okpiwa nas tak jak cement. Tak jak choruje się od cementu można zachorować od wymiany chleba. Wymiana chleba jest łoskotem wieczoru, skrzący interes w oczach i drżący w palcach. Rankiem odmierzają chleb dzioby wagi, wieczorem oczy. Do wymiany chleba trzeba znaleźć nie tylko właściwy chleb, szuka się także właściwej twarzy. Szacuje się wzrokiem szparkowaty pysk. Najlepiej, jeśli jest wąski i długi jak kawałek kosy. Szacuje się futerko głodu we wklęsnięciu policzka, czy cienkie białe włoski są wystarczająco długie i gęste. Przed głodową śmiercią na twarzy wyrasta zajac. Wtedy przychodzi myśl, że chleb tego drugiego to marnotrawstwo, że w jego przypadku żywienie już się nie opłaca, ponieważ biały zajac wkrótce dorośnie. Dlatego chleb od tych z białym zajacem nosi jego miano.

Rano nie ma na to czasu i nie ma czego wymieniać. Świeżo ukrojony chleb wygląda tak samo. Do wieczora każda kromka inaczej wysycha, ma proste kąty albo krzywe wybrzuszenia. Optyka schnięcia stwarza wrażenie, że twój chleb cię okpiwa. To wrażenie mają wszyscy, nawet jeśli nie wymieniają chleba. Wymiana zwiększa je tylko. Jedno optyczne złudzenie wymienia się na drugie. Po wszystkim nadal jesteś okpiony, a do tego zmęczony. Wymiana własnego chleba na chleb białego zajaca kończy się jak zaczyna - nagle. Łoskot ustaje, wzrok kieruje się na zupę. W jednej ręce jest chleb, w drugiej łyżka.

Samotny w sforze, każdy zaczyna oszczędzać swoją zupę. Również łyżki są sforą, i blaszane talerze, i szuranie nogami pod stołem. Zupa grzeje, żyje w gardle. Siorbię głośno, chcę ją słyszeć. Powstrzymuję się od liczenia łyżek. Kiedy się nie liczy, jest ich zawsze więcej niż szesnaście czy dziewiętnaście. Muszę zapamiętać o tych liczbach.

Któregoś wieczoru akordeonista Konrad Fonn wymienił się na chleb z Kati Straż. Ona dała mu chleb, a on włożył jej do ręki czworokątny kawałek drewna. Ona ugryzła, zdziwiła się i przelknęła ślinę. Nikt się nie śmiał poza akordeonistą. Karli Halmen wziął od Kati deseczkę i zatopił ją w zupie akordeonisty. Oddał Kati Straż chleb.

Każdy wpada w chlebową pułapkę. Ale z zajęczego chleba Kati Straż nikt nie ma prawa robić własnego chleba. Również to prawo należy do chlebowego sądu. Nauczyliśmy się w obozie uprzętać zmarłych, nie odczuwając grozy. Rozbieramy ich, zanim stężeją, potrzebujemy ich ubrań, żeby nie zamrznąć. I jemy ich zaoszczędzony chleb. Po ostatnim

technieniu śmierć jest dla nas zyskiem. Ale Kati Straż żyje, nawet jeśli nie wie, gdzie jest. My wiemy i traktujemy ją jak naszą własność. Opiekując się nią, możemy naprawić wszystko, co sobie nawzajem wyrządzamy. Dopóki żyje między nami, dopóty jesteśmy zdolni do wielu rzeczy, ale nie do wszystkiego. Ta okoliczność liczy się prawdopodobnie bardziej niż sama Kati Straż.

O węglu

Węgla jest tyle co ziemi, aż nadto. **TLUSTY WĘGIEL** pochodzi z Petrowki. Są to szare kamienie, ciężkie, mokre i klejące. Pachnie kwaśno pożarem, jego bryły są blaszkowate jak grafit. Po przemienieniu w molinie umyciu w moje zostaje dużo skały płonnej. **WĘGIEL ZASIARCZONY** przyjeżdża z Kramatorska, zazwyczaj koło południa. Koło jamy jest silos węglowy, wielka podziemna dziura przykryta kratą. Wagony jeden po drugim wjeżdżają na kratę. Każdy wagon to sześćdziesięcotonowiec typu Pullman. Pod spodem, na brzuchu, ma pięć klap. Otwiera się je młotami, pięć razy rozbrzmiewa gong jak w kinie, jeśli udaje się wszystkie otworzyć od razu. Jeśli operacja kończy się sukcesem, nie trzeba nawet wchodzić do wagonu, węgiel wysypuje się rachciach z grzechotem. Od pyłu robi się ciemno przed oczyma, słońce wisi na niebie szare jak blaszana miska. Oddychasz głęboko i połykasz więcej pyłu niż powietrza, trzeszczy ci w zębach. Przez kwadrans rozładowuje się sześćdziesiąt ton. Na jamie leży tylko kilka za grubych grud. Węgiel zasiarczony jest lekki, kruchy i suchy. Błyszczą krystalicznie jak mika, składa się z grudek i pyłu. Nie ma ziaren. Jego nazwa pochodzi od siarki, ale on sam nie pachnie. Siarkę z węgla widać dużo później, w postaci żółtego osadu w kałużach na fabrycznym dziedzińcu. Albo nocą na polu szlakobloków, gdy hałda ma żółte oczy i żarzy się, jakby skrył się w niej w niej księżyc w kawałkach. Węgiel o dużych ziarnach, **MARKAK**, przyjeżdża z pobliskiej rudnoj szachty. Nie jest ani tłusty, ani suchy, ani kamienisty, ani piaszczysty, ani ziarnisty. Jest wszystkim naraz, niczym z osobna, a tak czy inaczej jest marny. Z pewnością ma wiele antracytu, ale zero charakteru. Mówi się, że to najcenniejszy węgiel. Węgiel antracytowy nigdy nie był moim przyjacielem. Był podstępny, trudny do rozładunku, jakby uderzało się łopata w kłębek łachmanów lub korzenie.

Jama jest jak dworzec, do połowy zadaszona i tak samo hula po niej przeciąg. Zacinający wiatr, szczypiący mróz, dni krótkie, światło elektryczne już w południe. Pył węglowy przemieszany ze śnieżnym. Albo zacinający wiatr i deszcz prosto w twarz, a przez dach jeszcze większe krople. Albo palący gorąc i długie dni ze słońcem i węglem, aż do padnięcia. Tak ciężka jak rozładunek jest też nazwa tego węgla. MarkaK można tylko wyjąkać, nie da się tego wyszeptać tak jak nazwy węgla gazowego: hazowyj.

Węgiel gazowy jest zwinny. Pochodzi z Jasinowatej. Ukraiński naczelnik nazywa węgiel gazowy szeptem HAZOWYJ. Brzmi to jak boleść - Weh - zranionego zająca - Hase. Dlatego go lubię. W każdym wagonie leżą orzechy włoskie, laskowe, ziarna kukurydzy i groch. Pięć klap otwiera się łatwo, niemal za uderzeniem rękawiczki, zawsze się udaje. Pięć razy szumi hazowyj, luźny, szary jak łupek, tylko on sam, bez skały płonnej. Przyglądasz się i myślisz: hazowyj ma miękkie serce. Hazowyj jest rozładowany, krata czysta, jakby nic przez nią nie przeleciało. Stoimy w górze na kracie. W dole, w brzuchu jamy, ciągną się na pewno łańcuchy górskie i wąwozy z węgla. Tutaj jest również jego depozyt.

Ale i w głowie jest depozyt. Nad jamą letnie powietrze drży tak jak w domu i niebo jest jedwabiste jak w domu. Ale w domu nikt nie wie, że jeszcze żyję. W domu dziadek je teraz zimną sałatkę ogórkową na werandzie i myśli, że jestem martwy. Babcia zagania kury w stronę dużego jak pokój cienia obok szopki, sypie im ziarno i myśli, że jestem martwy. Mama i tato są może na Wench. Mama we własnoręcznie uszytym marynarskim ubraniu leży na górskiej łące w wysokiej trawie i myśli, że jestem już w niebie. A ja nie mogę nią potrząsnąć i powiedzieć: Kochasz mnie, przecież jeszcze żyję. Tato siedzi w kuchni przy stole i powoli napelnia naboje śrutem, małe ołowiane kuleczki na zające, na polowanie bliską już jesienią. Hazowyj.

Jak wleką się sekundy

Byłem na polowaniu.

Kobelan odszedł na chwilę, a ja w stepie, tej drugiej już nadchodzącej jesieni, zatłukłem łopatą ziemnego psa. Zagwizdał krótko jak lokomotywa. Jak wleką się sekundy, kiedy czoło nad mordą jest rozplątane. Hazowyj.

Chciałem go zjeść.

Tutaj jest tylko trawa. Trawą nie można niczego przygwoździć, a łopatą niczego oprawić. Nie miałem ani narzędzi, ani serca. Czasu też nie, Kobelan wrócił i wszystko zobaczył. Zostawiłem więc ziemnego psa tak, jak wleką się sekundy, kiedy czoło nad mordą jest rozplątane. Hazowyj.

Tato, chciałeś mnie kiedyś nauczyć, jak się odgwizduje, kiedy ktoś zbłądzi.

O żółtym piasku

Żółty piasek może mieć wszystkie odcienie, od tlenionego blondu do kanarkowej żółci, możliwy jest nawet odcień różowawy. Jest delikatny. Gdy dosypuje się go do szarego cementu, robi się człowiekowi przykro.

Późnym wieczorem Kobelan zabrał mnie i Karliego Halme - na prywatną rundkę z żółtym piaskiem. Tym razem powiedział: Jedziemy do mnie do domu. Niczego nie buduję,

ale nadchodzi święto, ma się w końcu kulturę.

Karli Halmen i ja zrozumieliśmy, żółty piasek jest kulturą. Nawet w obozie po wiosennych i jesiennych porządkach posypywano ścieżki żółtym piaskiem. Był wiosenną ozdobą na koniec wojny i jesienną ozdobą rewolucji październikowej. 9 maja po raz pierwszy mijał rok, odkąd zapanował pokój. Nam nie przydał się na nic, dla nas był drugim rokiem obozu. Przyszedł październik. Wiosenną ozdobę z żółtego piasku już dawno zmiotł wiatr suchych dni i wypłukały strugi deszczu. Teraz w obozie leżał świeży żółty piasek, jesienna ozdoba, jak kryształki cukru. Upiększał wielki październik, ale nie zwiastował powrotu do domu.

Nasze rundy robiliśmy jednak nie dla urody. Przywoziliśmy żółty piasek tonami, pożerały go budowy. Żwirownia nazywała się **KARIER**. Była niewyczerpana, co najmniej 300 metrów długości i 20 do 30 metrów głębokości, wszędzie tylko piasek. Arena z piasku w kopalni odkrywkowej z piasku. Tu zaopatrywała się cała okolica. Im więcej piasku wydobywano, tym wyższa stawała się arena, tym głębiej wżerała się w ziemię.

Kto był chitryj, wysyłał samochód pod samo zbocze, tak że nie trzeba było wrzucać piasku na pakę, tylko można było przesypywać go swobodnie z tej samej wysokości, na której była przyczepa, czasem nawet dawało się go wygodnie zrzucić.

Karier był tak ponętny jak odcisk na dużym palcu u nogi. Czysty piasek, ani okrucha ziemi. Proste jak drut, poziome, przemieszane ze sobą warstwy: woskowobiałe, blade jak skóra, wypłowiałe lub jaskrawożółte, w kolorze ochry lub rózu. Chłodny i wilgotny piasek. Podczas załadunku robił się puszysty, sechł w locie, w powietrzu. Łopata poruszała się sama z siebie. Samochód zapełniał się szybko. rozładowywał się sam, wywrotka. Czekaliśmy na Kobe - lana w żwirowni.

Nawet Kobelan kładł się na piasku, podczas gdy my ładowaliśmy. Zamykał oczy, może spał. Kiedy wywrotka była pełna, czubkiem łopaty stukaliśmy go delikatnie w but. Podnosił się i człapał jak manekin do kabiny. Na piasku zostawał odcisk jego ciała, jakby Kobelan był tu podwójnie, raz leżąc w odcisniętej formie i raz stojąc w wilgotnych spodniach koło kabiny. Zanim wsiadł do samochodu, spluwał dwa razy na piasek, jedną ręką chwycił kierownicę, drugą przecierał oczy. Potem ruszał.

Teraz my kładliśmy się na piasku i nasłuchiwaliliśmy, jak się przesypuje i dopasowuje do ciała, i nie robiliśmy nic. W górze wyginało się niebo. Między niebem a piaskiem przebiegała blizna trawy, jak linia zerowa. Czas cichy i gładki, wkoło mikroskopijne lśnienie. Dal wkraczała do głowy, jakbyśmy uciekli i należeli teraz do wszystkich piasków na świecie, a nie do pracy przymusowej tutaj. Była to ucieczka na le - żąco. Błądziłem wzrokiem po

okolicy, bez niebezpieczeństw przykrych następstw wymknąłem się pod horyzont. Piasek dawał oparcie plecom, niebo zabierało twarz do siebie, w górę. Wkrótce niebo ślepiło, moje oczy ściągały je w dół, gałki oczne i zatoki były wypełnione niebem, na wskroś nieruchomo niebieskie. Nikt nie wiedział, gdzie jestem, kiedy byłem przykryty niebem. Nawet tęsknota. W piasku niebo nie ożywiało czasu, nie mogło go też zawrócić, tak jak żółty piasek nie mógł zmienić niczego w pokoju, nawet w tym trzecim i czwartym. Po czwartym pokoju nadal byliśmy w obozie.

Karli Halmen leżał w swoim wgłębieniu twarzą do dołu. Zagojone blizny po kradzieży chleba prześwitywały jak woskowe szramy przez krótkie włosy. Na małżowinie usznej błyszczał czerwony jedwab żyłek. Pomyślałem o ostatnim rendezvous w olchowym parku i kąpielisku Neptuna z żonatym Rumunem dwa razy ode mnie starszym. Jak długo czekał, kiedy po raz pierwszy nie przyszedłem. I jak często. Kiedy zrozumiał, że następnym razem także nie przyjdę. Kobelan mógł wrócić najwcześniej za pół godziny. znowu podniosła mi się ręka, chciałem pogłaskać Karliego Halmena. Na szczęście uratował mnie przed pokusą. Podniósł twarz i wgryzł się w piasek. Jadł i chrzęściło mu w zębach, połykał. Zastygłem w bezruchu, a on po raz drugi napełnił usta piaskiem. Z policzków spadały mu ziarenka piasku, kiedy przeżuwał. Ich odcisk był sitem na policzkach, nosie i czole. A łyzy na obu policzkach jasnobrazowym sznurem.

W dzieciństwie nadgryzałem brzoskwinie i upuszczałem ją na ziemię, powiedział. Potem podnosiłem ją i jadłem ten kawałek z piaskiem, i znowu ją upuszczałem. Aż zostawała tylko pestka. Ojciec zaprowadził mnie do lekarza, twierdząc, że jestem nienormalny, bo smakuje mi piasek. Teraz mam piasku pod dostatkim, za to nie wiem już, jak wygląda brzoskwinia.

Powiedziałem: Żółta, z delikatnymi włoskami, odrobiną czerwonego jedwabiu wokół pestki.

Usłyszeliśmy nadjeżdżający samochód i podnieśliśmy się. Karli Halmen chwycił za łopatę. Kiedy nabierał piasku, łyzy spływały prosto w dół. Kiedy przyprawiał piaskowi skrzydeł, łyzy z lewej spływały do ust, a z prawej do ucha.

Rosjanie też mają swoje drogi

I znowu jechałem z Karlim Halmenem lanią przez step. Ziemne psy rozbiegały się we wszystkie strony. Wszędzie ślady kół, rozgniecione kępki trawy polakierowane na czerwono-brązowo zaschniętą krwią. Wszędzie procesje much na zgniecionym futrze z wyłazającymi wnętrzościami. Wiele zwłok błyszczało jeszcze całkiem świeżo, sinawobiałe, poskręcane jak stos sznurów pereł. Inne były niebieskokoczer - wone i na wpół zgniłe albo już

zaschnięte, jak suszone kwiaty. W pewnej odległości od kolein potracone ziemne psy leżały tak, jakby koła nic im nie zrobiły, jakby sobie spały. Karli Halmen powiedział: Martwe wyglądają jak żelazka. Za nic w świecie nie wyglądały jak żelazka. Że w ogóle to słowo przyszło mu do głowy, ja już dawno zapomniałem, że coś takiego istnieje.

Były dni, kiedy ziemne psy za mało bały się kół. Może w takie dni wiatr brzmiał jak silnik samochodu i to stępało ich instynkt. Kiedy koła zbliżały się do nich, biegły, ale jakby zamroczone i wcale nie o życie. Jestem pewien, że Kobelan nawet się nie wysiłał, żeby je omijać. I tak samo jestem pewien, że nigdy jeszcze nie przejechał ziemnego psa, jeszcze nigdy żaden nie zaskowyczał mu pod kołami. Chociaż i tak nie usłyszelibyśmy jego wysokiego gwizdu, lancia była za głośna.

Mimo to wiem, jak ziemny pies gwizdże pod samochodem, ponieważ słyszę to w głowie podczas każdej jazdy. Krótki, rozdzierający serce gwizd, trzy sylaby: Hazowyj. Dokładnie tak samo gwizdże, gdy zabija się go łopata. Dokładnie tak samo, ponieważ umiera równie szybko. I wiem, jak w tym miejscu przeraża się ziemia i rozchodzą kręgami wibracje, jakby wielki kamień wpadł do wody. Wiem też, jak zaraz potem pali warga, przygryziona w chwili, gdy trafiasz.

Odkąd zostawiłem go martwego w stepie, wmawiam sobie, że ziemnych psów nie można jeść, nawet jeśli dla żywych nie ma się cienia litości, a do martwych nie czuje odrobiny wstrętu. Gdybym odczuwał litość i wstręt, nie dotyczyłyby one ziemnych psów, tylko mnie. To byłby jedynie wstręt do mojego zwlekania z litości, nie do ziemnych psów.

Ale gdybyśmy następnym razem mieli czas, jeśli wolno byłoby nam wysiąść, podczas gdy Kobelan wypycha trzy worki młodą trawą dla swoich kóz, gdybyśmy mieli choć tyle czasu. Myślę, że Karli Halmen nie zechciałby ze względu na mnie. Musiałbym tracić czas i namawiać go, aż byłoby prawie za późno. Musiałbym mówić, że ziemnych psów nie trzeba się wstydzic, stepu również nie. Myślę że krępowałyby się przed samym sobą, w każdym razie bardziej niż ja przede mną. I bardziej niż ja przed Kobelanem. Musiałbym go zapewne spytać, dlaczego robi z Kobelana miarę dla nas. Jestem pewien, że gdyby Kobelan był tak daleko od domu jak my, jadłby ziemne psy, musiałbym tak powiedzieć.

Czasami z dnia na dzień zostawały w stepie tylko zdeptane polakierowane na brązowo kępki trawy. I wszystkie chmury topiły się z dnia na dzień. Zostawały tylko chude żurawie wysoko na niebie i dzikie tłuste muchy plujki na ziemi. Ale w trawie nie leżał ani jeden martwy ziemny pies.

Gdzie się podziały, spytałbym Karliego. Popatrz, Rosjanie, dlaczego tylu z nich idzie pieszo przez step, pochylając się co krok. Przez chwilę sterczą w jednym miejscu. Czy

myślisz, że wypoczywają, wszyscy są zmęczeni. Mają takie samo gniazdo w głowie jak my, tak samo pusty brzuch. Rosjanie też mają swoje drogi. I więcej czasu niż my, step jest ich domem. Kobelan nie ma nic przeciwko temu. Dlaczego w kabinie obok hamulca leży zawsze łopata o krótkim trzonku, trawę zrywa przecież ręką. Kiedy nas nie ma, wysiada nie tylko po trawę dla kóz, powiedziałbym Karliemu i nie musiałbym kłamać, ponieważ nie znałem prawdy. Nawet gdybym ją znał, byłaby to tylko jedna prawda, a jej przeciwieństwo byłoby drugą. Również my jesteśmy przy Kobelanie inni niż bez niego, powiedziałbym. Również ja jestem inny bez ciebie. Tylko ty wmawiasz sobie, że nigdy nie jesteś inny. Kiedy kradłeś chleb, byłeś przecież inny, i ja byłem inny, i wszyscy pozostali także - ale tego nigdy bym nie powiedział, ponieważ byłby to wyrzut.

Futro śmierdzi, kiedy się pali. Ja ściągnę skórę, ty rozpal ogień, powiedziałbym, gdyby Karli Halmen w końcu przyłączył się do mnie.

Nieustannie jeździliśmy z Kobelanem przez step. Tydzień później też staliśmy na pace lancii. Powietrze było blade, trawa pomarańczowa, słońce przekręcało step w stronę późnej jesieni. Przejechane ziemne psy były posypane cukrem nocnego szronu. Mijaliśmy starego mężczyznę. Stał w tumanie kurzu i machał nam łopatą. Miała krótki trzonek. Z ramienia zwisał mu worek, napęczniony w jednej czwartej i ciężki. Karli powiedział: On nie zbiera trawy. Gdybyśmy następnym razem mieli czas, jeśli wolno byłoby nam wysiąść. Kobelan nie miałby nic przeciwko temu, ale ty chcesz być przecież taki uczuciowy, ty nie zechciałbyś.

Nie bez przyczyny mawia się, że głód jest ślepy. Karli Halmen i ja nie wiedzieliśmy o sobie wiele. Za dużo przebywaliśmy razem. A Kobelan nie wiedział o nas nic, tak jak my o nim. Wszyscy byliśmy inni, niż jesteśmy.

O choinkach

Tuż przed Bożym Narodzeniem siedziałem z Kobelanem w kabinie. Ściemniało się, a my robiliśmy jeszcze na czarno rundkę do jego brata. Załadowaliśmy węgiel.

Miasteczko zaczynało się ruiną dworca i kocimi łbami. Skręciliśmy w wyboistą, krzywą uliczkę. Na niebie był jeszcze jeden jasny pas, za żeliwnym płotem rosły choinki - czarne jak noc, szczupłe i spiczaste, dobrze widoczne, górowały nad wszystkim. Trzy domy dalej Kobelan stanął.

Kiedy zacząłem rozładunek, pomachał mi zwiotczałą ręką, co miało znaczyć, nie tak szybko, mamy czas. Wszedł do domu, który zapewne był biały, ale w świetle reflektorów wydawał się żółty.

Położyłem płaszcz na dachu kabiny i szuflowałem tak wolno, jak się dało. Jednak to łopata była moją panią, dyktowała tempo, musiałem się dopasować. Tylko wtedy była ze

mnie dumna. Szuflowanie od lat było jedyną rzeczą, w której zachowała się resztką dumy. Wkrótce samochód stał pusty, a Kobelan nadal siedział w domu u brata.

Czasem plan dojrzewa powoli, ale elektryzująca jest tylko nagła decyzja. Zanim poczujemy się do niej zdolni, już działamy napędzani jej nagłością. Włożyłem płaszcz. Kiedy powiedziałem sobie, że kradzież grozi karcerem, moje nogi jeszcze szybciej ruszyły w stronę choinek. Brama nie była zamknięta. Musiał to być zdziczały park albo cmentarz. Odłamałem wszystkie dolne gałęzie i zawiązałem je w płaszcz. Bramę zostawiłem otwartą i pospieszyłem z powrotem. Dom brata Kobelana stał przyczajony i biały w ciemności, reflektory już zgasły, Kobelan zamknął też klapę. Mój tobołek pachniał mocno żywicą i ostro strachem, kiedy wrzucałem go na pakę. Kobelan siedział w kabinie i śmierdział wódką. Tak mówię dzisiaj, ale wtedy pomyślałem, że pachnie wódką. Nie jest przecież pijakiem, wódkę pije tylko do tłustego jedzenia, przyszło mi do głowy. Mógł pomyśleć i o mnie. Nigdy nie wiadomo, co zdarzy się nocą przy bramie obozu. Trzy psy szczekały. Strażnik kolbą karabinu wytrącił mi mój tobołek z rąk. Gałęzie leżały na ziemi, miejski płaszcz z aksamitnym ściągaczem pod nimi. Psy wachały gałęzie, potem tylko płaszcz. Najsilniejszy z nich, może przewodnik stada, przeciągnął płaszcz w pysku jak zwłoki przez pół dziedzińca na plac apelowy. Biegłem za nim i udało mi się nawet uratować płaszcz, ale tylko dlatego że sam go zostawił.

Dwa dni później mężczyzna od chleba mijał mnie ze swoim wózkiem. Na białym płótnie leżała nowa miotła, z trzonka od łopaty i moich gałęzi. Za trzy dni było Boże Narodzenie - słowo, które ustawia w pokojach zielone choinki. Miałem tylko podarte zielone rękawiczki od cioci Fini w walizce. Adwokat Paul Gast był od dwóch tygodni maszynistą w fabryce. Zamówiłem drut. Przyniósł mi pęczek długości ręki, związany na jednym końcu jak frędzla. Zbudowałem druciane drzewo, sprułem rękawiczki i poprzywiązywałem do niego zielone nitki tak gęsto jak igły do gałęzi.

Choinka stała na stoliku pod zegarem z kukułką. Adwokat Paul Gast powiesił na niej dwie brązowe kulki z chleba. Nie zastanawiałem się wtedy, skąd ma zbędny chleb na ozdoby, ponieważ byłem pewien, że następnego dnia zje chlebowe kulki, i ponieważ podczas ich ugniatania opowiadał o domu.

Gdy nadchodził adwent w naszym gimnazjum w Oberwis - chau codziennie przed pierwszą lekcją zapalaliśmy wieniec adwentowy. Wisiał nad katedrą. Nauczyciel geografii nazywał się Leonida i był łysy. Świecek paliły się, my śpiewaliśmy „O Tannenbaum, o Tannenbaum, wie griin sind deine Bla...”. nagle przestaliśmy śpiewać, ponieważ Leonida krzyknął AU. Na łysinę kapał mu różowy wosk. Leonida krzyczał, zgasić świecek. W podskokach dopadł do krzesła, wyciągnął z marynarki blaszany scyzoryk, była to srebrna

ryba. Chodź tu, krzyknął Leonida, otworzył scyzoryk i pochylił się. Zeskrobałem mu nożem włos z łysiny. Nie skaleczyłem go. Ale gdy tylko wróciłem na miejsce w ławce, podszedł do mnie zdecydowanym krokiem i wymierzył mi policzek. Kiedy chciałem otrzeć łzy, krzyknął, ręce na plecy.

io rubli

Bea Zakel wystarała się dla mnie u Tura Prikulicza o propusk na bazar. O widokach na przepustkę nie można opowiadać głodnym. Nikomu o tym nie powiedziałem. Wziąłem poszewkę na poduszkę i skórzane owijacze pana Carpa. Jak zawsze chodziło o manewr wymiany kalorii. O jedenastej wyruszyłem w drogę, wyruszyliśmy w drogę, głód i ja.

Było jeszcze parno od deszczu. W błocie stali handlarze z zardzewiałymi śrubami i kółkami zębatymi i pomarszczone babinki z blaszanymi naczyniami i odrobiną niebieskiej farby do malowania domów. Kałuże wokół farby były niebieskie. A obok leżały kupki cukru i soli, suszonych śliwek, mąki kukurydzianej, prosa, krup i grochu. Nawet placki kukurydziane z masą z buraków cukrowych na zielonych liściach chrzanu. Kobiety bez zębów, z gęstym kwaśnym mlekiem w blaszanych kanistrach, i jednonogi chłopak o kuli z wiadrzem czerwonego soku z malin. Zwinni włóczędzy kręcili się z pogiętymi nożami, widelcami, wędkami. W puszkach po amerykańskich konserwach śmigwały srebrzyste rybki jak żywe agrafki.

Z owijaczami w ręku przeciskałem się przez tłum. Przed starym mundurowym z łysymi plackami we włosach i pancerzem odznaczeń wojskowych na piersi leżały dwie książki, jedna o Popocatepetl, druga z dwiema wielkimi pchłami na okładce. Przekartkowałem książkę z pchłami, ponieważ miała dużo obrazków. Dwie pchły na huśtawce, obok ręka tresera z malutkim pejcem; pchła na oparciu fotela na biegunach; pchła zaprzęgnięta do weselnej dorożki z łupiny orzecha; pierś chłopca, na niej dwie pchły między sutkami, niżej symetrycznie aż do pępka dwa równej długości łańcuchy z pchlich ukąszeń.

Mundurowy wyciągnął mi spod pachy skórzane owijacze, przyłożył je do piersi, potem do ramion. Pokazałem mu, że są na nogi. Zaśmiał się głucho z brzucha, jak czasem śmiał się Tur Prikulicz podczas apelu, niczym wielki indyk. Górna warga zaczepiała mu o resztkę zęba. Podszedł do nas inny handlarz, potarł troczki owijaczy między palcami. Potem podszedł następny, z nożami w ręku, schował swój towar do kieszeni, przyłożył sobie owijacze do bioder, potem do tyłka, podskakując jak błazen. Mundurowy z resztką zęba naśladował odgłosy pierdzenia. Potem podszedł do nas mężczyzna z obwiązaną szyją i o kuli, której podłokietnik był zrobiony z odłamanej, owiniętej łachmanami kosy. Wsunął kulę w owijacz i wyrzucił go w powietrze. Podbiegłem i podniosłem go. Kawalek dalej wylądował

drugi. Gdy schylałem się po niego, zobaczyłem w błocie zmięty banknot.

Ktoś go zgubił, miejmy nadzieję, że jeszcze tego nie zauważył, pomyślałem. A może już go szuka, a może ktoś z tej zgrai dawno wypatrzył banknot, kiedy robili sobie ze mnie pośmiewisko, i teraz czeka, co zrobię. Zgraja śmiała się jeszcze ze mnie i z moich owijaczy, a ja już miałem pieniądze w garści.

Musiałem szybko zniknąć, wepchnąłem się w cizbę. Wcisnąłem owijacze pod pachę i rozprostowałem banknot, było to 10 rubli. 10 rubli to majątek. Nie liczyć, tylko jeść, pomyślałem, a czego nie dam rady zjeść, pójdzie do poszewki. Nie miałem czasu na owijacze, ten kłopotliwy towar z innej planety ściągał tylko na mnie uwagę. Upuściłem je dyskretnie na ziemię i śmignąłem jak srebrna rybka z moimi 10 rublami w inną stronę.

W gardle mi kołatało, byłem zlany potem, kupiłem sobie za ruble dwa kubki czerwonego soku z malin i wypilem je duszkiem. Potem kupiłem dwa kukurydziane placki z masą z buraków cukrowych, liście chrzanu też zjadłem, były gorzkie, z pewnością dobre na żołądek, jak lekarstwo. Potem kupiłem cztery rosyjskie naleśniki z serem. Dwa do poszewki, dwa zjadłem. Potem wypilem dzbanuszek gęstego zsiadłego mleka. Kupiłem dwa kawałki ciasta słonecznikowego i zjadłem oba. Potem natknąłem się raz jeszcze na jednonogiego chłopca i znowu wypilem kubek malinowego soku. Potem podliczyłem pieniądze, i rubel i 16 kopiejek. Za mało na cukier, nawet na sól. Kobieta z suszonymi śliwkami przyglądała się, jak liczę pieniądze. Jedno oko miała brązowe, drugie całkiem białe, bez źrenicy, niczym fasola. Pokazałem jej pieniądze na dłoni. Odrząciła je, pokręciła głową i zamachała rękami, jakby odganiała muchy. Stałem jak wrośnięty i nadal pokazywałem jej pieniądze. Zacząłem się trząść, przeżegnałem się i wymamrotałem jak modlitwę: Ojcze nasz, pomóż mi z tą wstrętną, przeklętą żółwicą. Wódz ją na pokuszenie, mój Panie, i wybaw mnie od złego, mamrotałem i myślałem o zimnej świętości Fenji, i powiedziałem na koniec mamrotania twarde, jasne AMEN, żeby nadać prośbie o wstawiennictwo odpowiednią formę. Kobieta była wzruszona i wpatrywała się we mnie fasolowym okiem. Potem wzięła pieniądze i napełniła starą kozacką czapkę suszonymi śliwkami. Połowę wsypałem do poszewki, resztę do mojej czapki, żeby je od razu zjeść. Kiedy w czapce skończyły się śliwki, zjadłem oba naleśniki z poszewki. Poza śliwkami nic już w niej nie było.

Ciepły wiatr szeleścił w akacjach, błoto schło i łuszczyło się w kałużach jak szare filizanki. Po ugorze obok drogi do obozu chodziła w kółko koza. Miała otartą skórę na szyi, ponieważ ciągle napinała postronek. Tak się już owinął wokół kołka, że nie dostawała do trawy. Miała podłużnie zielone, ześlizgujące się spojrzenie jak Bea Zakel i coś cierpiętniczego w wyrazie pyska jak Fenja. Chciała pójść za mną. Myślałem o niebieskich,

wysuszonych przez mróz i rozplątanych wzdłuż kozach, które spaliliśmy w bydłym wagonie. Byłem dopiero w połowie drogi, robiło się za późno, żeby stanąć przed bramą obozu z suszonymi śliwkami. Żeby nie dostały się w łapy strażników, sięgnąłem do poszewki i zjadłem je. Przez topole za ruską osadą widać już było wieżę chłodniczą fabryki. Nad jej białą chmurą słońce zrobiło się kwadratowe i wślizgnęło mi się do ust. Na podniebieniu urósł mur, głęboko zaczerpnąłem powietrza. Klucie w żołądku, jelita burczały i przekręcały się w brzuchu jak szable. Łzy stanęły mi w oczach, wieża chłodnicza zaczęła się kręcić. Oparłem się o morwę, a ziemia pod nią zawirowała. Ciężarówka podskakiwała na drodze. Na ścieżce trzy bezdomne psy zaczęły się ze sobą zlewać. Zwymiotowałem na drzewo i tak mi było szkoda tego całego drogiego jedzenia, że wymiotowałem i płakałem.

Potem wszystko leżało pod morwą i migotało.

Wszystko, wszystko, wszystko.

Oparłem głowę o pień i patrzyłem na drobno pogryzione migotanie, jakbym mógł wszystko zjeść ponownie oczyma. Pod pierwszą wieżą strażniczą szedłem w pustym wietrze, z pustą poszewką na poduszkę i pustym żołądkiem. Taki sam jak przedtem, tyle że bez skórzanych owijaczy. Życiowijaczy.

Strażnik na wieży wypluwał łupiny słonecznika, żeglowały w powietrzu niczym muchy. Pustka we mnie była gorzka jak piołun, było mi niedobrze. Jednak po kilku krokach w stronę dziedzińca zacząłem się zastanawiać, czy w stołówce jest jeszcze zupa. Ale stołówka była zamknięta. W takt stukotania chodaków powiedziałem sobie:

Istnieje chłodnicza matrona ze swoją białą chmurą. Istnieje moja łopata i miejsce w baraku, i na pewno istnieje też szczelina między głodem a zdychaniem. Muszę ją tylko znaleźć, ponieważ jedzenie jest silniejsze ode mnie. Zimna świętość chromej Fenji myśli słusznie. Jest sprawiedliwa i wydziela mi jedzenie. Po co chodzić na bazar, obóz trzyma mnie w zamknięciu dla mojego dobra, tu jest moje miejsce, na zewnątrz jestem tylko pośmiewiskiem. Obóz jest moim domem, strażnik z przedpołudnia rozpoznał mnie, kiwnął, żebym wchodził. Jego pies nie podniósł się nawet z ciepłego bruku, też mnie zna. I plac apelowy zna mnie, drogę do mojego baraku znajduję nawet z zamkniętymi oczami. Nie potrzebuję wychodzić, mam obóz, a obóz ma mnie. Potrzebuję tylko pryczy i chleba Fenji, i mojej blaszanej miski. Nie potrzebuję nawet Leo Auberga.

O aniele głodu

Głód jest przedmiotem.

Anioł wstąpił do mózgu.

Anioł głodu nie musi myśleć. Anioł głodu myśli słusznie. Nigdy nie jest nieobecny.

Zna moje granice i swoje cele.

Wie, skąd pochodzę, i zna skutki swego działania.

Wiedział to, zanim mnie spotkał, i zna moją przyszłość. Tkwi jak rtęć we wszystkich naczyniach włosowatych. Słodczyz na podniebieniu. Ciśnienie sprasowało żołądek i klatkę piersiową. Strach to zbyt wiele.

Wszystko zrobiło się lekkie.

Po jednej stronie, z widnym okiem, idzie anioł głodu. Zatacza wąskie koła i balansuje na huśtawce oddechu. Zna tęsknotę w mózgu i ciemne zaułki przestworzy.

Po drugiej stronie, o widnym głodzie, idzie napowietrzny anioł.

Szepcze sobie i mnie do ucha: Gdzie się ładuje, tam można i rozładować. Stał się ciałem, które okpiwa. Zapewne okpi.

Zna własny chleb i chleb białego zająca. Wysła go przodem.

Mówi, że wróci, a jednak zostaje.

Kiedy się zjawia, to z całą mocą. Panuje całkowita jasność: i ruch łopata = i gram chleba. Głód jest przedmiotem.

Łacińskie tajemnice

Gdy kończymy jeść stołówkowe ochłapy, przesuwamy długie drewniane stoły i ławki pod ścianę. W sobotę wolno nam tańczyć do za piętnaście dwunasta. Potem odstawiamy stoły i ławki na miejsce. Punktualnie o dwunastej z głośników rozbrzmiewa rosyjski hymn, wtedy wszyscy muszą być w barakach. W sobotę wódka z buraków cukrowych wprawia strażników w dobry humor, łatwo wtedy o kulkę. Kiedy w niedzielę rano ktoś leży na dziedzińcu, oznacza to: próba ucieczki. To, że biegł przez dziedziniec do latryny, ponieważ jego wypłukane jelita nie trawią już kapuśniaku, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Mimo to w stołówkową sobotę od czasu do czasu ruszamy w tango. Podczas tańca żyje się na koniuszkach palców, jak półksiężycowa Madonna z Café Martini, w świetle, z którego się pochodzi. W sali tanecznej z girlandami i lampionami, wieczorowymi sukniami, broszkami, krawatami, chusteczkami i spinkami do mankietów. Mama z dwoma spiralnymi lokami opadającymi na policzki i kokiem jak wiklinowy koszyk tańczy w jasnobrązowych sandałkach na obcasie, z cienkimi jak skórka gruszki rzemykami na piętach. Ma na sobie zieloną satynową suknię, a dokładnie na sercu broszkę z czterema szmaragdami, koniczynkę na szczęście. Tato ma piaskowoszary garnitur z białą chusteczką i białym goździkiem w butonierce.

Tańczę jako robotnik przymusowy i noszę wszy w kufajce i śmierdzące onuce w kaloszach. Kręci mi się w głowie od sali balowej w domu i od pustki w żołądku. Tańczę z

jedną z dwóch Zirri, z Zirri Kaunz, która ma jedwabisty meszek na rękach. Druga Zirri, z brodawką wielkości oliwki na serdecznym palcu, nazywa się Zirri Wandschneider. Zirri Kaunz zapewnia mnie podczas tańca, że pochodzi z Ka - stenholz, a nie tak jak ta druga z Wurmloch. I że jej matka wychowywała się w Agneteln, a ojciec w Wolkendorf. Że jej rodzice, zanim przyszła na świat, przeprowadzili się do Kastenholz, ponieważ ojciec kupił tam winnicę. Jest tam też wieś, która nazywa się Liebling, czyli Miła, i miasto, które nazywa się Grosscham, Wielki Wstyd, ale nie w Siedmiogrodzie, tylko w Banacie. O Banacie nie mam pojęcia, mówi Zirri, nie orientuję się tam wcale. Ja też nie, mówię i kręcę się wprzepoconej kufajce wokół Zirri, a jej przepocona kufajka kręci się wokół mnie. Cała kantyna się kręci. Nie ma nic do rozumienia, kiedy wszystko się kręci. Drewnianych domów za obozem też nie trzeba rozumieć, mówię, nazywają się fińskie domy, ale mieszkają w nich rosyjscy Ukraińcy.

Po przerwie grają tango. Tańczę z drugą Zirri. Nasza śpiewaczka Loni Mich stoi pół kroku przed muzykami. Przy *Palomie* przesuwa się jeszcze o pół kroku do przodu, ponieważ chce mieć piosenkę tylko dla siebie. Wypięza ręce i nogi, przewraca oczami, kołysze głową. Nasada jej wola drży, głos robi się chropawy jak wir głębokiej wody:

Szybko ginie okręt w toni, Za dzień, dwa i nam Dzwon zadzwoni, Za marynarzy, ahój!

Kiedyś musi to minąć, Kiedyś porwie nas fala I morze nie odda już Żadnego z nas.

Przy plisowanym tangu trzeba milczeć. Wszyscy tracą mowę i myślą o tym, o czym muszą, nawet jeśli nie chcą. Każdy przesuwa swoją tęsknotę jak ciężką skrzynkę. Zirri powłóczy nogami, wciskam jej rękę w krzyż, aż odnajduje takt. Już od jakiejś chwili głowę ma odwróconą, żebym nie widział twarzy. Jej plecy drżą, czuję, jak płacze. Szuranie jest głośnie, nie mówię nic. Co mógłbym powiedzieć poza tym, żeby nie płakała.

Ponieważ bez palców u nóg nie można tańczyć, Trudi Pelikan siedzi na brzegu ławki, a ja przysiadam się do niej. Palce odmroziła sobie pierwszej zimy. Latem zmiażdżył je wózek z wapnem. Jesienią zostały amputowane, ponieważ pod opatrunkiem pojawiły się robaki. Od tej pory Trudi Pelikan chodzi na piętach, ściąga ramiona do przodu i przechyla się do tyłu. Ma wtedy okrągły garb i ręce sztywne jak stylisko łopaty. Ponieważ nie była przydatna ani na budowie, ani w fabryce, ani do pomocy w warsztacie samochodowym, została drugiej zimy pomocnicą w baraku dla chorych.

Mówimy o baraku dla chorych, o tym, że jest tylko umieralnią. Trudi Pelikan mówi: Nie mamy żadnych leków poza ichtiolem. Felczerkajest Rosjanką i mówi, że Niemcy umierają falami. Fala zimowa jest największa, letnia, z epidemiami, jest na drugim miejscu.

Jesienią dojrzewa tytoń, wtedy nadchodzi fala jesienna. Trują się wywarem z tytoniu, jest tańszy niż węglówka. A kawałkiem szkła można sobie przeciąć żyły całkiem za darmo, podobnie jak odciąć rękę albo nogę. Też za darmo, tyle że trudniej, jest walić głową w ceglany mur tak długo, aż się padnie.

Większość znałem tylko z widzenia, z apelu lub ze stołówki. Wiedziałem, że wielu już nie ma. Ale jeśli nie padli na moich oczach, nie byli dla mnie martwi. Strzegłem się pytania o to, gdzie teraz są. Przy takiej ilości materiału pogładowego w postaci innych, którzy odchodzą szybciej od nas, strach potężnieje. Z czasem staje się przemożny, chwilami łudząco przypomina obojętność. Bo jak inaczej można sprawnie działać, gdy jest się pierwszym, który znajduje zmarłego. Trzeba go szybko rozebrać, póki nie zeszywnieje i póki ktoś inny nie zabierze ubrań. Trzeba zabrać jego chleb spod poduszki, zanim zrobi to ktoś inny. Uprzątnięcie rzeczy zmarłych jest naszą formą żałoby. Kiedy mary dotrą do baraku, dla kierownictwa obozu nie może zostać nic poza zwłokami.

Jeśli zmarły nie jest znajomym, widzi się tylko korzyści. Uprzątnięcie nie jest niczym złym, gdyby było odwrotnie, gdyby samemu było się trupem, zwłoki zrobiłyby z nami to samo i nikt nie miałby im tego za złe. Obóz jest praktycznym światem. Nie można sobie pozwolić na wstyd i dreszcz strachu. Działa się w stabilnej obojętności, może w przygnębionym zadowoleniu. Nie ma to nic wspólnego z radością z cudzego nieszczęścia. Myślę, że im mniej boimy się zmarłych, tym bardziej zależy nam na życiu. I tym łatwiej żywić złudzenia. Można sobie wmówić, że nieobecni zostali przeniesieni do innego obozu. To, co się wie, nie obowiązuje, wierzy się w przeciwieństwo tego. Uprzątnięcie, podobnie jak chlebowy sąd, bierze pod uwagę tylko teraźniejszość, nie jest jednak brutalne. Przebiega rzeczowo i łagodnie.

Przed mym rodzinnym domem lipa rośnie, Przed mym rodzinnym domem ławka stoi,
Gdy je odnajdę w którejś wiosnie, Serce w radości się ukoj.

Tak śpiewa nasza śpiewaczka Loni Mich, krople potu perlą się jej na czole. Lommer Cytra ma na kolanach instrument, na kciuku metalowy pierścień. Po każdym wersie piosenki wyszarpuje z cytry miękkie echo i podśpiewuje. Kowatsch Anton tak długo przesuwają bęben do przodu, aż w końcu może między pałeczkami zerkać Loni w twarz. Pary tańczą w śpiewie i podskakują co kilka kroków jak ptaki lądujące przy ostrym wietrze. Trudi Pelikan mówi, że i tak nie potrafimy już chodzić, umiemy tylko tańczyć, jesteśmy grubą watą z rozhuśtaną wodą i klekoczącymi kośćmi, słabsi niż uderzenia w bęben. Na dowód wylicza mi swoje łacińskie tajemnice z baraku dla chorych.

Polyarthritis. Miocarditis. Dermatitis. Hepatitis. Encephalitis. Pelagra. Dystrofia ze

szparkowatym pyskiem, nazywana twarzą martwej małpki. Dystrofia ze sztywnymi zimnymi rękami, nazwana kurzym pazurem. Demencja. Tetanus. Tyfus. Egzema. Ischias. Tuberkuloza. Dalej dyzenteria z jasną krwią w stolcu, czyraki, wrzody, zanik mięśni, sucha skóra i świerzb, obkurczanie dziąseł i wypadanie zębów, próchnica. O odmrożeniach Trudi Pelikan nie wspomina. Również o tych na twarzy, o ceglanoczerwonych plackach z nie - foremnymi białymi cętkami, które w pierwszym wiosennym słońcu zrobią się ciemnobrązowe i już teraz barwią twarze tańczących. I ponieważ nic nie mówię i o nic nie pytam, zupełnie o nic, Trudi Pelikan szczypie mnie mocno w rękę i mówi:

Leo, to nie żarty, nie umieraj zimą.

A bębniarz śpiewa z Loni na dwa głosy:

Marynarzu, porzuć marzenia, Nie myśl o domu.

Z tą piosenką w tle Trudi mówi, że zmarli przez całą zimę są gromadzeni na tylnym dziedzińcu i przysypywani śniegiem, leżą tak parę nocy, aż zamrzną. Że grabarze to leniwi łajdacy, że rąbią zwłoki na kawałki, żeby nie musieć kopać grobu, żeby upchnąć je w dziurze.

Uważnie słucham Trudi Pelikan i czuję w sobie coś z tych wszystkich łacińskich tajemnic. Muzyka ośmiela śmierć, która zaczyna kołysać się w takt.

Uciekam z muzyki do mojego baraku. Na obu wieżach po stronie obozowego dziedzińca stoją strażnicy, szczupli i sztywni, jakby zeszli z księżycy. Z obozowych latarni spływa mleko, z wartowni przy wejściu do obozu dolatuje śmiech, znowu piją buraczaną wódkę. Na obozowym korso siedzi pies. Ma zielony żar w oczach, między jego łapami leży kość. Myślę, że to kurza kość, zazdrozczę mu. Wyczuł to i warczy. Muszę coś zrobić, żeby nie rzucił się na mnie, mówię: Wania.

Na pewno się tak nie nazywa, ale patrzy na mnie, jakby i on mógł wypowiedzieć moje imię, gdyby tylko chciał. Muszę odejść, zanim to się stanie, stawiam duże kroki i parę razy się oglądam, czy przypadkiem nie idzie za mną. Docieram do drzwi baraku i widzę, że nadal nie pochylił się nad kością. Wciąż jeszcze patrzy za mną albo za moim głosem i Wanią. Również od psa pamięć odchodzi i wraca. A głód nie odchodzi, lecz mimo to wraca. Podobnie samotność. Może rosyjska samotność nazywa się Wania.

W ubraniu wczołguję się na pryczę. Nad drewnianym stolikiem jak zawsze pali się światło. Jak zawsze, gdy nie mogę zasnąć, wpatruję się w rurę od pieca, w jej czarne kolana i w dwie żelazne szyszki zegara z kukułką. Potem widzę siebie jako dziecko.

Stoję w domu w drzwiach werandy, mam czarne loki i nie sięgam nawet do klamki. Trzymam w ramionach pluszową zabawkę, brązowego psa. Nazywa się Mopi. Rodzice wracają z miasta, są już na drewnianym krużganku. Mama owinęła wokół dłoni łańcuszek

czerwonej lakierowanej torebki, żeby nie brzęczał, gdy będzie wchodziła po schodach. Tato trzyma w ręku biały słomkowy kapelusz. Idzie do pokoju. Mama zatrzymuje się, odgarnia mi włosy z czoła i zabiera mi przytulankę. Kładzie ją na stole na werandzie, łańcuszek torebki brzęczy, a ja mówię:

Daj mi Mopiego, nie chcę być sam.

Ona śmieje się: Masz przecież mnie.

Mówię: Ty możesz przecież umrzeć, Mopi nie.

W cichym chrapaniu wycieńczonych sąsiadów, którzy nie chodzą już tańczyć, słyszę mój dziecięcy głos. Jest tak aksamitny, że przechodzi mnie dreszcz, **KUSCHELTIER** - przytulanka - co za słowo na określenie gałgankowego pieska wypchanego trocinami. A teraz w obozie nic tylko podtulanie ogona, czy jak tam to nazwać, kiedy się milknie ze strachu: **KUSCHEN. A KUSZAT'** znaczy po rosyjsku jeść. Nie chcę teraz myśleć o jedzeniu. Zanurzam się we śnie i śnię:

Jadę na białej świni po niebie do domu. Z góry rozpoznaję kraj, zarysy się zgadzają, jest nawet ogrodzony. Ale w kraju wszędzie stoją bezpieczeństwa walizki, a między nimi pasą się bezpieczeństwa owce. Na szyjach mają szyszki, które dzwonią jak dzwonki. Mówię:

To jest wielka owczarnia z walizkami albo wielki dworzec z owcami. Tutaj nikt już przecież nie mieszka, co mam teraz zrobić.

Anioł głodu przygląda mi się z nieba i mówi: Wracaj.

Ja na to: Przecież wtedy umrę.

Jeśli umrzesz, pomaluję wszystko na pomarańczowo i nie będzie bolało, mówi.

Wracam, a on dotrzymuje słowa. Gdy umieram, niebo nad wieżami strażniczymi robi się pomarańczowe. Rzeczywiście nie boli.

Potem budzę się i ocieram poduszką kąci ust. To miejsce lubią nocą pluskwy.

Szlakobloki

Szlakobloki są to pustaki szlakowe robione ze żwiru, cementu i mleka wapiennego. Mieszało się wszystko w betoniarce, prasowało w prasie tłokowej z dźwignią ręczną. Cegielnia znajdowała się za koksownią, po drugiej stronie jamy, przy hałdach. Tam było wystarczająco dużo miejsca, żeby suszyć tysiące sprasowanych pustaków. Leżały obok siebie w szeregach na ziemi jak nagrobki na cmentarzu bohaterów. Tam, gdzie na placu były wybrzuszenia i dziury, szeregi falowały. Poza tym każdy kładł swój pustak trochę inaczej. Pustaki nosiło się na deseczkach. Od wielu mokrych cegieł również deseczki były napuchnięte, popękane i dziurawe.

Noszenie było długim aktem balansowania, czterdzieści metrów od prasy do suszarni.

Ponieważ każdy balansował inaczej, szeregi były krzywe. Krzywe były też dlatego, że droga zmieniała się z każdą położoną cegłą, przesuwała do przodu lub do tyłu albo prowadziła do środka szeregu, gdy trzeba było wymienić nieudany pustak lub zapełnić miejsce zmarnowane w szeregu poprzedniego dnia.

Świeżo odcisnięty pustak ważył dziesięć kilo i rozpadał się jak mokry piasek. Niosło się deseczkę przed sobą, na brzuchu, drobiąc nogami, a język, ramiona, łokcie, biodra i kolana trzeba było skoordynować ze zginaniem palców u nóg. Te dziesięć kilo nie było jeszcze pustakiem, nie mogło zauważyć, że je przemieszczamy. Trzeba było je przechytrzyć, kołysać równomiernie, żeby się nie zachwiało, a na miejscu zepchnąć z deseczki jednym ruchem. Szybko i stanowczo, żeby w gładkim i śliskim przestrachu, bez wstrząsów, dziesięć kilo spadło na ziemię. Trzeba było przykucnąć na sprężystych kolanach, aż deseczka znalazła się na wysokości brody, potem rozstawić łokcie jak skrzydła i pozwolić pustakowi ześlizgnąć się na dół. Tylko tak można było umiejscowić go tuż obok innych, nie uszkadzając ani jego brzegów, ani sąsiedniej cegły. Jeden fałszywy ruch i pustak się rozsypywał.

Od noszenia, a zwłaszcza od układania, napinała się również twarz. Język musiał być prosty, oczy nieruchome. Kiedy coś nie wyszło, nie można było nawet zakląć ze złości. Po każdej szlakoblokowej zmianie nasze oczy i wargi były od bezruchu czworokątne jak pustaki. Również tu cement miał pole do popisu. Szukał dali, unosił się w powietrzu. Na nas, na betoniarce i na prasie było więcej cementu niż w pustakach. Podczas prasowania kładło się najpierw deseczkę do formy, formę napelniało mieszanką i przyciskało dźwignię. Po sprasowaniu pustak z deseczką był wypierany w górę. Trzeba było złapać deseczkę z obu stron i wyjąć ją z formy, potem drobiło się nogami i balansowało aż do suszarni. Szlakobloki były odciskane dniem i nocą. W godzinach rannych forma była jeszcze chłodna i pokryta rosą, stopy jeszcze lekkie, plac nie leżał jeszcze w słońcu. Ale na wierzchołkach hałd paliło już ogniem. W południe upał był nie do wytrzymania. Nogi wypadały z miarowego kroku, w łydkach mrowił każdy nerw, kolana się trzęsły. Palce nie miały czucia. Przy układaniu pustaków nie dało się trzymać języka prosto. Było wiele uszkodzonych pustaków i wiele razy na plecach. Wieczorem reflektory rzucały na tę scenę stożek światła. Mieszarka i prasa stały w jaskrawym świetle jak futrzaste maszyny, wokół nich wirowały ćmy. Szukały nie tylko światła, wilgotny zapach mieszanki wabił je jak nocne kwiaty. Siadały, ryjkami i nitkowatymi nóżkami macały prostopadłością, chociaż suszarnia leżała na pół w ciemności. Siadały też na pustaku, który właśnie się niosło, i odwracały uwagę od balansowania. Było widać włoski na ich łebkach, ozdobne obręcze wokół brzucha i słyszeć szelest skrzydeł, jakby pustak żył. Czasem przylatywały dwie, trzy naraz, siedziały, jakby wykluły się z pustaka.

Jakby wilgotna mieszanka na deseczce nie powstała ze żwiru, cementu i mleka wapiennego, tylko była sprasowaną w czworokąt bryłą larw, z której lęły się ćmy. Podróżowały na pustaku od prasy do suszarni, ze światła reflektorów w wielowarstwowe cienie. Cienie były krzywe i niebezpieczne, zniekształcały zarysy pustaków i przesuwały miarę w szeregach. Pustak na deseczce sam już nie wiedział, jak wygląda. Narastała niepewność, nie wolno było pomylić jego brzegów z brzegami cieni. Również od hałd nadciągało zwodnicze chaotyczne drganie. Żarzyły się w niezliczonych punktach i miały żółte oczy, jak nocne zwierzęta, które wytwarzają własne światło, aby oświetlić lub spalić swoją bezsenność. Płomienne oczy hałd pachniały ostro siarką.

Nad ranem robiło się chłodno, niebo z mlecznego szkła. Nogi były lżejsze, przynajmniej w głowie, ponieważ nadchodził koniec zmiany i chciało się zapomnieć o zmęczeniu. Nawet reflektor był zmęczony, zaciągnięty światłem dziennym i blady. Nad naszym nierzeczywistym cmentarzem bohaterów kładło się niebieskie powietrze, na wszystkie szeregi po równo, na wszystkie kamienie. Rozciągała się cicha sprawiedliwość, jedyna, jaka tu istniała.

Szlakobloki miały dobrze, nasi zmarli nie mieli ani szeregów, ani kamieni. O tym nie wolno było myśleć, w przeciwnym razie nie dało się przez kolejne dni drobić nogami i balansować z deseczką. Kiedy choć trochę się o tym pomyślało, było dużo uszkodzonych pustaków i dużo razów na plecach.

Prostoduszny i sceptyczny flakonik

Był czas skóry i kości, wieczność kapuśniaka. Kapusta rano po przebudzeniu, kapusta wieczorem po apelu. W rosyjskim kapuśniaku często nie ma kapusty. Kapusta bez rosyjskiego i bez zupy składa się z dwóch słów, które nie mają ze sobą nic wspólnego poza słowem kapusta, **CAP** jest rumuńską głową, **PUSTA** prawie węgierską niziną. Myśli się o tym po niemiecku, a obóz jest rosyjski jak kapuśniak. Te bezsensowne gierki mają świadczyć o sprycie. Ale rozebrane na części słowo **KAPUSTA** nie nadaje się na słowo głodu. Słowa głodu są mapą, zamiast nazw państw powtarza się bezgłośnie nazwy jedzenia. Zupa weselna, mielone, żeberka, golonka, pieczeń z zająca, klopsik z wątróbki, udziec z sarny, zając na kwaśno itd.

Każde słowo głodu jest słowem jedzenia, masz obraz jedzenia przed oczami i jego smak na podniebieniu. Słowa głodu i słowa jedzenia karmią fantazję. Ze smakiem jedzą same siebie. Nie można zaspokoić głodu, ale przynajmniej asystuje się przy jedzeniu. Każdy chronicznie głodny ma własne preferencje, rzadkie, częste i stałe słowa jedzenia. Każdemu smakuje inne słowo. Tak jak kapusta, również łoboda nie nadawała się na słowo jedzenia,

ponieważ rzeczywiście była jedzona. Musiała być.

Myszę, że w głodzie ślepotą i widzenie są tym samym, ślepy głód najlepiej widzi jedzenie. Istnieją nieme i głośnie słowa głodu, tak jak w samym głodzie skrytość łączy się z jawnością. Słowa głodu, a więc słowa jedzenia, opanowują rozmowy, a mimo to każdy z rozmówców pozostaje sam. Każdy sam je swoje słowa. Inni, którzy też jedzą, robią to również dla siebie. Współczucie i zaangażowanie w cudzy głód są równe zeru, nie można współgłodować. Kapuśniak jako podstawowe jedzenie był powodem utraty mięsa w ciele i rozumu w głowie. Anioł głodu biegał histerycznie w kółko. Tracił wszelki umiar, w ciągu jednego dnia rósł tyle, ile nie rosła trawa w ciągu całego lata ani śnieg w ciągu całej zimy. Może tyle, ile w ciągu całego swojego życia rosło wysokie, strzeliste drzewo. Wydaje mi się, że anioł głodu nie tylko rósł, ale i się rozmnażał. Dla każdego z nas wystarczył się o osobistą mękę, chociaż wszyscy byliśmy do siebie podobni. W Trójcy Świętej skóry, kości i wody wypełniającej ciało mężczyźni i kobiety są nie do odróżnienia, płciowo w stanie spoczynku. Nadal mówi się wprawdzie **TEN** lub **TA**, tak jak mówi się barak lub miska. I tak jak one, na wpół zagłodzeni ludzie nie są rodzaju męskiego czy żeńskiego, tylko obiektywnie neutralni jak obiekty - prawdopodobnie nijacy.

Niezależnie od tego, gdzie byłem, na pryczy, między barakami, na dziennej lub nocnej zmianie w jamie, z Kobela - nem w stepie, czy też przy wieży chłodniczej, po zmianie w łaźni albo zebrząc w obcych domach, wszystko, co robiłem, odczuwało głód. Każdy przedmiot przypominał głód długością, szerokością, wysokością i kolorem. Między sufitem nieba a pyłem ziemi każde miejsce pachniało innym jedzeniem. Obozowe korso pachniało karmelem, wejście do obozu świeżo upieczonym chlebem, przekraczanie drogi z obozu do fabryki ciepłymi morelami, drewniany fabryczny płot kandyzowanymi orzechami, wejście do fabryki jajecznicą, jama duszoną papryką, żużel hałd zupą pomidorową, wieża chłodnicza pieczonymi bakłażanami, labirynt parujących rur struclą waniliową. Bryły smoły w zielsku pachniały kompotem z pigwy, a baterie koksownicze melonem. Były to czary i męka. Nawet wiatr karmił głód, tkał jak najbardziej widoczne i wcale nieabstrakcyjne jedzenie.

Odkąd jako samce i samice ze skóry i kości staliśmy się dla siebie bezpłciowi, anioł głodu parzył się ze wszystkimi, okpi - wał również ciało, które już nam ukradł, i przynosił coraz więcej wszy i pluskiew do naszych łóżek. Czas skóry i kości był po pracy czasem cotygodniowych parad odwszawiania na obozowym dziedzińcu. Wszyscy, a wraz z nimi wszystkie przedmioty, musieli znaleźć się na zewnątrz do odwszawie - nia - walizki, ubrania, prycze i my.

Było to trzeciego lata, kwitły akacje, wieczorny wiatr pachniał ciepłą kawą z mlekiem.

Wystawiłem wszystko na zewnątrz. Wtedy przyszedł Tur Prikulicz z zielonozębnym towarzyszem Szysztwanionowem. Szysztwanionow niósł świeżo ociosany wierzbowy kij długości dwóch fletów, był giętki do bicia i zastrzony na końcu do grzebania. Przepelniony odrazą do naszej nędzy, nadziewał rzeczy z walizek na kij i rzucał je na ziemię.

Postarałem się stanąć w miarę pośrodku parady odwszawiania, ponieważ przeszukiwanie na początku i pod koniec było nieubłagane. Jednak tym razem ochota na sumienność nasza Szysztwanionowa pośrodku. Wiercił patykiem w mojej walizce i natknął się pod ubraniami na kosmetyczkę. Odłożył patyk, otworzył kosmetyczkę i odkrył mój tajemny kapuśniak. Od dwóch tygodni miałem kapuśniak w dwóch pięknych flakonikach, których nie potrafiłem wyrzucić, tylko dlatego że były już puste. Ponieważ były puste, napelniłem je kapuśniakiem. Jeden flakonik był ze żłobkowanego szkła, z okrągłym brzuszkiem i zakrętką, drugi miał płaski brzuch i szeroką szyjkę, do której wystrugałem korek z drewna. Żeby kapuśniak się nie zepsuł, zamknąłem flakoniki hermetycznie, jak w domu przetwory z owoców. Nakapałem stearyny wokół korka, Trudi Pelikan pożyczyła mi świeczkę z baraku dla chorych.

Szto eto, spytał Szysztwanionow.

Kapuśniak.

Po co.

Potrząsnął flakonikiem, aż zupa się spieniła.

Pamjat', powiedziałem.

Pamięć, jak nauczyłem się od Kobelana, jest u Rosjan dobrym słowem, dlatego go użyłem. Lecz Szysztwanionow zadał sobie zapewne pytanie, dla kogo potrzebuję tej pamiątki. Kto jest tak głupi, że potrzebuje zupy we flakonikach, żeby tutaj, gdzie dwa razy dziennie dostaje się kapuśniak, przypomnieć sobie o kapuśniaku.

Do domu, spytał.

Skinąłem głową. To, że chciałem zabrać do domu kapuśniak we flakonikach, było najgorsze. Bicie zniósłbym jakoś, ale on był dopiero w środku swojej parady i nie chciał tracić czasu. Skonfiskował moje flakoniki i wezwał mnie do siebie. Następnego ranka Tur Prikulicz wyprowadził mnie ze stołówki do izby oficerskiej. Szedł przez korso jakby go ktoś popędzał, a ja za nim jak skazaniec. Spytałem go, co mam powiedzieć. Nie oglądając się, machnął ręką, jakby mówił, nie mieszam się do tego. Szysztwanionow wrzeszczał. Tur mógł sobie darować tłumaczenie, znałem to wszystko na pamięć. Że jestem faszystą, szpiegiem, sabotażystą i szkodnikiem, że nie mam za grosz kultury i ukradzionym kapuśniakiem zdradzam obóz, władzę radziecką i naród radziecki.

W obozie kapuśniak był cienki, ale we flakonikach, ponieważ miały taką wąską szyjkę, był zupełnie pusty. Kilka skrawków kapusty we flakonikach było dla Szysztwanionowa jawną denuncjacją. Znalazłem się w niełatwej sytuacji. Ale wtedy Tur wystawił mały palec i wpadł na pomysł: lekarstwo. Lekarstwo było u Rosjan tylko na wpół dobrym słowem. Tur zauważył to w porę, pokręcił więc palcem wskazującym po czole, jakby chciał w nim wywiercić dziurę, i powiedział złośliwie: Obskurantizm.

To trafiło do przekonania. Dopiero trzy lata byłem w obozie i moja reedukacja nie została jeszcze zakończona, jeszcze wierzyłem w czarodziejskie napitki przeciw chorobom. Tur wyjaśnił, że flakonik z zakrętką mam na biegunkę, a ten z drewnianym korkiem na zaparcie. Szysztwanionow zamyślił się, wierzył nie tylko w to, co mu powiedział Tur, lecz także w to, że obskurantizm nie jest wprawdzie dobry w obozie, ale w życiu wcale nie taki najgorszy. Jeszcze raz przyjrzał się obu flakonikom, potrząsnął nimi, aż piana stanęła w szyjkach, potem ten z zakrętką przesunął trochę na prawo, ten z drewnianym korkiem dokładnie o tyle samo na lewo, tak że flakoniki stały tuż obok siebie i stykały się brzegami. Od flakoników Szysztwanionowowi usta zrobiły się miękkie, a spojrzenie łagodne. Tur znowu miał wycucie i powiedział:

Teraz idź, znikaj.

Prawdopodobnie Szysztwanionow z niezrozumiałych, albo nawet zrozumiałych powodów, nie wyrzucił flakoników. Czymże są powody. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego napelniłem flakoniki kapuśniakiem. Czy miało to coś wspólnego ze zdaniem babci: Wiem, że wrócisz. Czy byłem rzeczywiście tak prostoduszny, żeby wierzyć, że wrócę i zaprezentuję rodzinie w domu mój kapuśniak jak dwie buteleczki przywiezionego ze sobą obozowego życia. Czy też, mimo anioła głodu, tak silnie trzymało mi się w głowie przekonanie, że z podróży przywozi się upominki. Babcia przywiozła mi ze swojej jedynej podróży statkiem do Konstantynopola niebieski jak niebo, mały jak kciuk turecki pantofel. To była inna babcia, która nic nie mówiła opowrocie, która mieszkała w innym domu i nie była przy pożegnaniu. Czy flakoniki miały być w domu moimi świadkami. A może już wtedy miałem jeden flakonik prostoduszny, a drugi sceptyczny. Może pod zakrętką była podróż do domu, a pod hermetycznie zapieczętowanym drewnianym korkiem wieczne pozostanie tutaj. Być może było to takie samo przeciwieństwo jak biegunka i zaparcie. Czy Tur Prikulicz wiedział o mnie za dużo. Korzystał może z moich rozmów z Beą Zakel.

Czy powrót do domu i pozostanie tutaj były jeszcze w ogóle przeciwieństwami. Prawdopodobnie chciałem sprostac obu możliwościom. Prawdopodobnie nie chciałem uzależniać życia tutaj, życia w ogóle, od codziennego pragnienia powrotu do domu i

świadomości, że to niemożliwe. Im bardziej chciałem do domu, tym bardziej próbowałem nie chcieć za mocno, żeby móc żyć dalej, jeśli nigdy nie wrócę. Pragnienia powrotu nie można się pozbyć, ale trzeba mieć jeszcze coś poza nim, mówiłem sobie, jeśli zatrzymają nas tutaj na zawsze, to będzie przecież moje życie. Rosjanie też tu żyją. Nie chcę sprzeciwiać się pozostaniu tutaj, wystarczy, że pozostanę taki, jaki już w połowie jestem, z moim hermetycznie zapieczętowanym flakonikiem. Mogę się reedu - kować, wprawdzie nie wiem jeszcze jak, ale step już jakoś to urządzi. Anioł głodu tak wziął mnie w posiadanie, że skóra mojej głowy łopotała, zostałem właśnie ogolony na łyso z powodu wszy.

Ubiegłego lata Kobelan rozpiął koszulę pod szerokim niebem i kiedy łopotała, powiedział coś o trawiastej duszy stepu i swoim uralskim sercu. I w mojej piersi może ono zabić, pomyślałem sobie.

O zatruciu światłem dziennym

Tego ranka słońce weszło bardzo wcześnie, jak czerwony balon, tak nadmuchane, że niebo nad koksownią zrobiło się zbyt płaskie.

Zmianę zaczęliśmy nocą. Staliśmy w świetle reflektorów w wysmołowanym dole głębokim na dwa metry, długim i szerokim na dwa baraki. Był wylany na metr starą, skamieniałą warstwą smoły. Mieliliśmy go oczyścić za pomocą łomów i kilofów. Odłupywaliśmy smołę i ładowaliśmy ją na taczki. Potem trzeba było wypchnąć taczkę z dołu po chybrotliwej kładce, doprowadzić do szyn, znowu po desce w górę do wagonu i tam ją opróżnić.

Łupaliśmy czarne szkło, prążkowane, wypukłe i ząbkowane grudki latały nam wokół głowy. Kurzu nie było widać. Dopiero gdy wracałem z pustą tacją po chwiejnej kładce z ciemnej nocy w biały lejek światła, organzowa peleryna szklanego kurzu połyskiwała w powietrzu. Kiedy reflektor kołysał się na wietrze, peleryna znikwała, a za chwilę znowu kołysała się w tym samym miejscu jak chromowana woliera.

Oszóstej był koniec zmiany i od godziny jasny dzień. Słońce się skurczyło, ale świeciło rozjuszony, krępe jak dynia. W moich oczach swędział ogień, wszystkie szwy na głowie pulsowały. W drodze do domu, do obozu, wszystko było jaskrawe. Żyłki na szyi tykały, prawie pękały, gałki oczne gotowały się w czaszce, serce waliło w piersi, w uszach trzaskało. Szyja puchła jak gorące ciasto i sztywniała. Głowa i szyja zlewały się w jedno. Obrzmienie przenosiło się na ramiona, szyja i tułów zlewały się w jedno. Światło przewiercało mnie na wylot, musiałem schować się szybko w ciemności baraku. Ale musiałoby tam być ciemno jak w worku - nawet światło z okna było mordercze. Naciągałem sobie poduszkę na głowę. Wieczór przynosił ulgę, ale i nocną zmianę. Kiedy zrobiło się już

ciemno, musiałem wracać pod reflektory do wysmołowanego dołu. Podczas drugiej nocnej zmiany przyszedł naczelnik z wiadrem, w którym była kluskowata, szaroróżowa pasta. Zanim weszliśmy do zbiornika, smarowaliśmy sobie nią twarz i szyję. Od razu wysychała i odpadała płatami.

Następnego ranka kiedy weszło słońce, smoła w mojej głowie szalała coraz bardziej. Człapałem do obozu jak dogorywający kot, tym razem prosto do baraku dla chorych. Trudi Pelikan pogłaskała mnie po czole. Felczerka narysowała rękami w powietrzu jeszcze większą głowę i powiedziała **SOLNCE** i **SWIET**, i **BOLIT**. Trudi Pelikan płakała i mówiła o fotochemicznych reakcjach błony śluzowej.

Co to jest.

Zatrucie światłem dziennym, powiedziała.

Dała mi na liściu chrzanu grudkę własnoręcznie sporządzonej maści z nagietka i smalcu, do nacierania, żeby podrażniona skóra nie popękała. Felczerka powiedziała, że jestem zbyt wrażliwy do pracy w wysmołowanym dole, da mi zwolnienie na trzy dni i porozmawia z Turem Prikuliczem. Zostałem trzy dni w łóżku. W pół śnie, pół jawie fale gorączki niosły mnie do domu, na lotnisko na Wench. Za choinkami słońce wschodzi bardzo wcześnie, jak czerwony balon. Zaglądam przez uchylone drzwi, rodzice jeszcze śpią. Idę do kuchni, na stole kuchennym lusterko do golenia opiera się o dzbanek na mleko. Ciocia Fini, koścista jak dziadek do orzechów, chodzi z żelazkiem do włosów od kuchenki gazowej do lusterka. W białej sukni z organzy kręci sobie loki. Potem przeczesuje moje włosy palcami i poskramia je śliną, tam gdzie nadal sterczą. Bierze mnie za rękę, idziemy nazbierać stokrotek na śniadaniowy stół.

Mokra od rosy trawa sięga mi do pach, wszędzie coś szeleści i brzęczy, łąka jest usiana białymi frędzlami stokrotek i niebieskimi dzwonkami. Ja zbierałem tylko babki, nazywane biczykami, ponieważ kiedy strzelało się z ich łodyg jak z bicza, pałki z nasionami leciały daleko, daleko. Strzelam w jaskrawobiałą sukienkę z organzy. Ale nagle między organzą a równie białą halką na podbrzuszu cioci Fini pojawia się brązowy wąż ze szczepionych koników polnych. Ciocia upuszcza bukiet stokrotek, wyciąga ręce przed siebie i zamiera. Ja wślizguję się pod jej sukienkę i wygarniam rękami jak szuflą koniki, coraz szybciej. Są zimne i ciężkie jak mokre śruby. Szczypią, robi mi się nieswojo. Nade mną nie ma już cioci Fini z ondulowanymi włosami, tylko kolos z koników polnych na dwóch chudych nogach.

Pod sukienką z organzy po raz pierwszy w życiu musiałem rozpaczliwie szufłować. Teraz leżałem w baraku i trzy dni nacierałem się maścią z nagietka. Pozostali nadal chodzili do wysmołowanego dołu. Tylko mnie, ponieważ byłem zbyt wrażliwy, Tur Prikulicz wysłał

do żuźlowej piwnicy.

Tam już zostałem.

Każda zmiana jest dziełem sztuki

My dwaj, Albert Gion i ja, jesteśmy piwnicznymi ludźmi pod kotłami parowymi fabryki. W baraku Albert Gion jest popędliwy. W ciemnej piwiicy jest rozważny i powolny, ale stanowczy, jak często melancholicy. Może nie zawsze był taki i dopiero w piwnicy upodobił się do niej. Pracuje już tutaj długo. Nie mówimy dużo, tylko tyle, ile konieczne.

Albert Gion mówi: Wysypię trzy wagony, potem ty trzy.

Ja mówię: Potem uprzątnę górę.

On: Tak, a potem pójdziesz pchać.

Tak upływa zmiana między wysypywaniem a pchaniem, aż minie połowa, aż Albert Gion powie:

Prześpiemy się pół godziny pod deską, pod siódemką, tam jest spokojnie.

Potem zaczyna się druga połowa.

Albert Gion mówi: Wysypię trzy wagony, potem ty trzy.

Ja mówię: Potem uprzątnę górę.

On: Tak, a potem pójdziesz pchać.

Ja: Kiedy dziewiątka będzie pełna, pójdę pchać.

On: Nie, ty wysypujesz, ja idę pchać, bunkier też jest pełny.

Pod koniec zmiany mówi on lub ja: Chodź sprzątać, trzeba przekazać czystą piwnicę.

Po tygodniu w piwnicy Tur Prikulicz znowu stał za mną w lustrze u golibrody. Byłem do połowy ogolony, on podniósł oleisty wzrok i czysty palec i spytał:

Jak tam u was w piwnicy.

Miło, powiedziałem, każda zmiana jest dziełem sztuki. Uśmiechnął się ponad ramieniem golibrody, choć nie miał pojęcia, że tak jest istotnie. Słysząc było chudą nienawiść w jego tonie, nozdrza połyskiwały mu różem, na skroniach marmurowe żyłki.

Wczoraj miałeś brudną twarz, powiedział, i z wszystkich dziur czapki zwisały ci wnętrzności.

Nie szkodzi, powiedziałem, pył węglowy jest futrzasty i gruby na palec. Ale po każdej zmianie piwnica jest czysta, ponieważ każda zmiana jest dziełem sztuki.

Kiedy łabędź śpiewa

Po moim pierwszym dniu w piwnicy Trudi powiedziała w stołówce: Teraz skończył się twój pech, czyż pod ziemią nie jest piękniej.

Potem opowiedziała, jak często pierwszego obozowego roku na budowie, ciągnąc

wózek z wapnem, zamykała oczy i marzyła. I jak teraz wynosi nagie ciała zmarłych z umieralni na tylny dziedziniec i kładzie na ziemi niczym świeżo okorowane drewno. Powiedziała, że również teraz, wynosząc zmarłych przez drzwi, często zamyka oczy i marzy, jak wtedy przy wózku z wapnem w końskiej uprzęży. czym, pytam.

Że bogaty, piękny, młody - piękny i młody nie musi być - amerykański fabrykant konserw wieprzowych zakochuje się we mnie - nie musi być zakochany - powiedziała, ale musi być tak bogaty, żeby mnie wykupić, ożenić się ze mną zabrać mnie stąd. To byłoby prawdziwe szczęście, powiedziała. I gdyby jeszcze dla ciebie miał siostrę.

Piękna i młoda nie musi być, zakochana też nie, powtórzyłem. Trudi Pelikan roześmiała się nienaturalnie. Lewy kącik ust zatrzepotał i ściągnął jej twarz w dół, jakby tam, gdzie śmiech jest przywiązany do skóry, zerwała się nić.

Dlatego tylko pokrótce opowiedziałem Trudi Pelikan mój powracający sen o jeździe do domu na białej świni. Tylko jednym zdaniem i bez świni:

Wyobraź sobie, powiedziałem, często śni mi się, że jadę na szarym psie po niebie do domu.

Spytała: Czy to jeden z obozowych psów.

Nie, wiejski pies, powiedziałem.

Trudi na to: Dlaczego jedziesz, szybciej byłoby, gdybyś leciał. Ja śnię tylko na jawie. Kiedy układam zwłoki na dziedzińcu, chciałabym odlecieć stąd jak łabędź, aż do Ameryki. Czyżby i ona знаła łabędzia na owalnym szyldzie kąpieliska Neptuna. Nie spytałem jej o to, ale powiedziałem: Kiedy łabędź śpiewa, jest zawsze ochrypły, słyhać jego napuch - nięty jęczyczek.

O żużlu

Latem zobaczyłem pośrodku stepu wał z białego żużlu i pomyślałem o ośnieżonych wierzchołkach Karpat. Kobelan powiedział, że z tego wału ma z czasem powstać droga. Biały żużel był zwarty, ziarnisty, jak pęcherzyki wapna i piasek muszlowy. W porozrzuconych plamach biel farbowała się na różowo, często tak silnie, że na brzegach robiła się szara. Nie wiem, dlaczego róż postarzały do szarości jest tak przymilnie i zawłaszczająco piękny, już nie mineralny, tylko smutno zmęczony, jak ludzie. Czy tęsknota za domem ma kolor.

Inny biały żużel leżał obok jamy w kupkach wysokości człowieka. Nie był zwarty, na brzegach hałd rosła trawa. Kiedy podczas szuflowania węgla mocno padało, szukaliśmy w nim schronienia. Wydrążaliśmy dziury w białym żużlu. Osypywał się i opakowywał nas. Zimą parował z niego śnieg, grzaliśmy się w dziurach i byliśmy potrójnie schowani: w śnieżnej pokrywie, w żużlu i w kufajkach. Pachniało swojsko siarką, para wydobywała się

zawszad. Siedzieliśmy po szyję w dziurach, z nosami nad ziemią, jak cebulki kwiatów, które przedwcześnie wykiełkowały, i z topniejącą warstwą śniegu przy ustach. Kiedy wypełzaliśmy z żużlu, nasze ubrania były podziurawione od żaru, wszędzie wystawała wata.

Z załadunku i rozładunku znam ciemnoczerwony zmielony żużel wielkopiecowy. On nie ma nic wspólnego z białym żużlem, jest z czerwobrazowego pyłu, który przy każdym ruchu łopata unosi się w powietrze i opada powoli jak draperia. Ponieważ jest suchy jak gorące lato i na wskroś aseptyczny, ciemnoczerwony żużel nie przemawia do tęsknoty za domem.

Jest też zielonobrazowy żużel na dzikiej łące, na nieużytkach za fabryką. Leżał pod zielskiem jak oblizane grudki soli. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, pozwalał mi przejść obok i nie podsuwał żadnych myśli.

Moim oczkiem w głowie, moim codziennym żużlem, żużlem zmiany dziennej i nocnej był żużel z kotłów parowych opalanych węglem, gorący i zimny żużel piwniczny. Piece stały w górnym świecie, pięć, jeden za drugim, wysokie jak piętrowe domy. Opalały pięć kotłów, produkowały parę dla całego zakładu, a dla nas w piwnicy gorący i zimny żużel. I całą pracę, gorącą i zimną fazę każdej zmiany.

Zimny żużel powstaje z gorącego, jest zimnym pyłem gorącego żużlu. Zimny żużel musi być opróżniany tylko raz podczas zmiany, gorący natomiast nieustannie. W takt pieców trzeba nim napełniać niezliczone wagoniki, wpychać je pod górę i opróżniać na końcu szyn.

Gorący żużel każdego dnia może być inny. To, jaki będzie, zależy od mieszanki węgla. Można mówić o łasce lub zdradliwości mieszanki. Jeśli mieszanka węglowa jest dobra, dociera do nas na transportowej kratce cztery, pięć rozżarzonych płyt. Oddały swoje ciepło, są kruche i łamią się sucho na kawałki, które wypadają z klapy jak podpieczony chleb. Anioł głodu dziwi się: chociaż siły nikną podczas szufłowania, wagonik napełnia się szybko. Jeśli jednak mieszanka jest zła, żużel dociera do nas ciągliwy jak lawa, rozżarzony do białości i lepki. Nie spada sam z siebie przez kratę, piętury się między drzwiczkami pieca. Bryły trzeba odrywać drągiem, ciągną się jak ciasto. Piec nie chce się opróżnić, wagonik napełnić. Jest to męcząca, czasochłonna praca.

Jeśli mieszanka jest fatalna, piec dostaje prawdziwej biegunki. Biegunkowy żużel nie czeka na otwarcie klapy, wylewa się przez uchylone drzwiczki jak wysrane ziarna kukurydzy. Jest czerwony i rozgrzany do białości, nikt nie ma ochoty na niego patrzeć. Jest niebezpieczny, wpływa w każdą dziurę w ubraniu. Ponieważ nie można go powstrzymać, wagonik się przepelnia i zostaje pogrzebany pod żużlem. Trzeba zamknąć klapę, diabli wiedzą jak, strzec nóg, kaloszy i onuc przed zalaniem żarem, gasić żar szlauchem, wy dostać

wagonik spod żużlu, wciągnąć go na górę i posprzątać - wszystko naraz. To jedna wielka katastrofa, zwłaszcza pod koniec zmiany. Traci się czas bez końca, a pozostałe cztery piece nie czekają, już dawno powinny być opróżnione.

Tempo robi się szalone, oczy pływają, ręce latają, nogi się płczą. Do dziś nienawidzę biegunkowego żużlu.

Ale żużelraznamię, zimny żużel, po prostu kocham. Jest przyzwoity, cierpliwy i obliczalny. Albert Gion i ja byliśmy sobie potrzebni tylko przy gorącym żużlu. Zimny żużel każdy chciał mieć dla siebie. Zimny żużel jest potulny i ufny, wręcz przylepny - fioletowy piaszczysty pył, z którym spokojnie można zostać sam na sam. Był w ostatnim szeregu pieców w piwnicy, miał własne klapy i własny wagonik z blaszanym brzuchem, bez krat.

Anioł głodu wiedział, jak chętnie zostawałem sam na sam z zimnym żużlem. Że wcale nie był zimny, tylko letni i pachniał odrobinę bzem albo włochatymi górskimi brzoskwiniami i morelami z późnego lata. Ale najbardziej pachniał fajrantem, ponieważ za kwadrans miała się skończyć zmiana i nie mogła się już wydarzyć żadna katastrofa. Pachniał drogą z piwnicy do domu, stołówkową zupą i odpoczynkiem. Pachniał nawet cywilnym życiem i rozzuchwalał mnie. Wyobrażałem sobie, że nie idę w kufajce z piwnicy do baraku, tylko wyelegantowany, w kapeluszu borsalino, w płaszczu z wielbłądziej wełny i z bordowym jedwabnym szalem wokół szyi wybieram się do kawiarni w Bukareszcie lub Wiedniu i siadam przy marmurowym stoliku. Tak swobodny był zimny żużel, dawał w prezencie samooszustwo, dzięki któremu mogłeś wkraść się z powrotem w życie. Upojony trucizną, uszczęśliwiałeś się zimnym żużlem, byłeś śmiertelnie szczęśliwy.

Nie bez przyczyny Tur Prikulicz oczekiwał, że będę się skarżył. Tylko dlatego pytał co kilka dni u golibrody:

No i co słyhać u was w piwnicy.

Jak leci w piwnicy.

Co tam z piwnicą.

Wszystko w porządku w piwnicy.

Albo tylko: A w piwnicy.

Nie chciałem dać się zastraszyć, dlatego pozostawałem zawsze przy tej samej odpowiedzi: Każda zmiana jest dziełem sztuki.

Gdyby miał choć odrobinę pojęcia o tym, co powstaje z mieszanki gazów węglowych i głodu, musiałby spytać, gdzie się pałętam w piwnicy. A ja mógłbym powiedzieć, że tam, gdzie popiół lotny. Ponieważ również popiół lotny jest rodzajem zimnego żużlu, pałęta się wszędzie i powleka całą piwnicę futrem. Również lotnym popiołem można się uszczęśliwić.

Nie jest trujący i kołysze się zwodniczo w powietrzu. Jest szary jak mysz, aksamitny i nie pachnie, składa się z płytek, z maleńkich łusek. Nieustannie wiruje i wiesza się na wszystkim jak kryształki szronu. Każda powierzchnia pokrywa się futrem. Gdy wpada w światło, lotny popiół robi z drucianej siatki przy żarówce cyrkową klatkę wypełnioną wszami, pluskwami, pchłami i termitami. W szkole uczyłem się, że termity mają godowe skrzydła. Uczyłem się nawet, że żyją w obozach. Mają króla, królową i żołnierzy. Żołnierze mają wielkie głowy. Są żołnierze szczękowi, nosowi i gruczołowi. I wszystkich karmią robotnicy. A królowa jest trzydzieści razy większa od robotników. Myślę, że taka jest też różnica między aniołem głodu i mną lub Beą Zakel i mną. Albo Turem Prikuliczem i mną.

Gdy lotny popiół łączy się z wodą, płynie nie woda, tylko lotny popiół pijący wodę. Rozdyma się, przypominając nacieki skalne, a gdy jeszcze bardziej urośnie - betonowe dzieci jedzące szare jabłka. W połączeniu z wodą lotny popiół potrafi czarować.

Bez światła i wody leży martwy. Na ścianach piwnicy jak prawdziwe futro, na waciaku jak futro sztuczne, w dziurkach nosa jak gumowy korek. Twarzy Alberta Giona, czarnej jak piwnica, nie widać, tylko białko oczu płynie przez powietrze, i zęby. Nigdy nie wiem, czy Albert Gion jest tylko skryty, czy może smutny. Kiedy pytam go, mówi: Nie zastanawiam się nad tym. My dwaj jesteśmy prosiakami piwnicznymi, nie żartuję.

Po zmianie bierzemy prysznic w łaźni koło bramy fabryki. Głowa, szyja, ręce zostają trzykrotnie namydlone, ale lotny popiół nadal jest szary, a zimny żużel fioletowy. Kolory piwnicy wżarły się w skórę. Mnie to nie przeszkadzało, a nawet napełniało trochę dumą, były to również kolory samooszustwa.

Bei Zakel było mnie żal, przez chwilę zastanawiała się, jak to oględnie ująć, i od razu wiedziała, że zabrzmiało obraźliwie, kiedy powiedziała: Jesteś jak z filmu niemego, przypominasz Valentino.

Umyła właśnie włosy, jedwabisty warkocz był gładko zapleciony i jeszcze wilgotny. Jej policzki były dobrze odżywione i rumieniły się jak truskawki.

Jako dziecko biegałem po ogrodzie, gdy mama i ciocia Fini piły kawę. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wielką dojrzałą truskawkę i zawołałem: Chodźcie tu, żaba się pali i świeci.

Kawałeczek paląco gorącego piwnicznego żużlu przywiozłem z obozu do domu na prawym piszczelu, od zewnątrz. Wystygł we mnie i zamienił się z zimny żużel. Prześwituje przez skórę jak tatuaż.

Bordowy jedwabny szal

Mój piwniczny kompan Albert Gion powiedział w drodze z nocnej zmiany do domu:

Teraz, kiedy robi się ciepło, można przynajmniej wygrzać głód w słońcu, skoro nie ma nic do jedzenia. Nie miałem nic do jedzenia, więc poszedłem na dziedziniec wygrzać głód. Trawa była jeszcze brązowa, wygnieciona, spalona mrozem. Marcowe słońce miało blade frędzle. Unosiło się na wzburzonej wodzie, którą było niebo nad ruską osadą. A mnie anioł głodu poniósł do odpadków za stołówką. Możliwe, że leżały tam łupiny kartofli, jeśli nikt nie zajrzał tam przede mną, a większość jeszcze pracowała. Kiedy zobaczyłem koło kantyny Fenję rozmawiającą z Beą Zakel, wyjąłem ręce z kieszeni i zmieniłem krok na spacerowy. Nie mogłem teraz podejść do odpadków. Fenja miała na sobie liliowy sweter, a mnie przyszedł na myśl bordowy jedwabny szal. Po fiasku z owijaczami nie miałem ochoty na bazar. Kto potrafił mówić tak dobrze jak Bea Zakel, potrafił też dobrze handlować i mógł wymienić mój szal na cukier i sól. Fenja pokuśtykała cierpiętniczo do stołówki do swojego chleba. Ledwo stanąłem przed Beą, spytałem: Kiedy idziesz na bazar. Powiedziała: Może jutro.

Bea mogła wyjść, kiedy chciała, przepustki dostawała przecież od Tura, jeśli w ogóle musiała je mieć. Czekala na ławce na obozowym korso, a ja poszedłem po szal. Leżał na samym spodzie walizki, obok białej chusteczki z batystu. Od miesięcy go nie dotykałem, był delikatny jak skóra. Ciarki mnie przeszły, wstydziłem się przed jego połyskującymi kwadracikami, ponieważ ja byłem tak zaniedbany, a on nadal tak mięciutki, naprzemiennie błyszczący i matowy. Nie zmienił się w obozie, w kratce zachował spokojny porządek z wcześniej. Nie był już dla mnie, a więc i ja nie byłem dla niego.

Kiedy przekazałem go Bei, jej oczy ześlizgnęły się znowu z wahaniem w powłóczyście spojrzenie bliskie zezowaniu. Miała enigmatyczne oczy, jedyna piękna rzecz w niej. Owinęła szyję szalem, nie mogła się oprzeć, skrzyżowała ramiona i głaskała go obiema rękami. Miała szczupłe ramiona, ręce cienkie jak patyki. Ale biodra i tyłek potężne, fundament z topornych kości. Bea Zakel, z delikatnym korpusem i masywna od pasa w dół, była złożona z dwóch postaci.

Bea wzięła bordowy szal na wymianę. Ale następnego dnia podczas apelu Tur Prikulicz miał go wokół szyi. Nosił go też przez cały następny tydzień. Z mojego bordowego jedwabnego szala zrobił obozowy gałgan. Od tej pory każdy apel był również pantomimą szala. Dobrze w nim wyglądał. Moje kości były ciężkie jak ołów, nie dawałem rady wdychać i wydychać za jednym zamachem, wywracać oczu ku górze i szukać haka na skraju chmury. Nie dopuszczał do tego mój szal na szyi Tura Prikulicza.

Wziąłem się w garść i po apelu spytałem Tura Prikulicza, skąd go ma. Powiedział bez wahania: Z domu, zawsze go miałem.

Nie wspomniał Bei, minęły dwa tygodnie. Nie dostałem od niej jeszcze ani kryształka

cukru lub soli. Czy tych dwoje obzartych miało pojęcie, jak poważnie okpili mój głód.

Pozwolili, abym zmarniał tak, że mój własny szal przestał do mnie pasować. Czy nie wiedzieli, że jest moją własnością, dopóki czegoś za niego nie dostanę. Minął miesiąc, słońce nie było już nijakie. Łoboda rosła znowu srebrnozielona, dziki koper pierzasty. Wychodziłem z piwnicy i zrywałem do poszewki. Przy skłonach wylewało mi się światło, widziałem tylko czarne słońce. Gotowałem łobodę, smakowała błotem, nadal nie miałem soli. A Tur Prikulicz nadal nosił mój szal, ja nadal chodziłem na nocną zmianę do piwnicy, a potem przez puste popołudnie za stołówkę do odpadków, które smakowały lepiej niż mój oszukany szpinak czy zupa z łobody bez soli.

W drodze do odpadków znowu spotkałem Beę Zakel, a ona tym razem zaczęła po prostu mówić o Beskidach, które przechodzą w Beskid Lesisty. Kiedy ze swojej małej wsi Ługi przyjechała do Pragi, a Tur przerzucił się w końcu z misjo - narstwa na handel, wpadłem jej w słowo i spytałem:

Bea, dałaś Turowi mój szal.

Powiedziała: Po prostu go wziął. Taki już jest.

Jaki, spytałem.

No taki, powiedziała. Na pewno coś ci za niego da, może wolny dzień.

W jej oczach skrzyło się nie słońce, lecz strach. Ale nie przede mną, tylko przed Turem.

Bea, co mi po wolnym dniu, powiedziałem. Potrzebuję cukru i soli.

O substancjach chemicznych

Z substancjami chemicznymi jest jak z żuzłem. Kto wie, co dokładnie wydzielają hałdy, gnijące drewno, rdzewiejące żelazo i ceglany gruz. Nie chodzi tylko o zapachy. Kiedy przyjechaliśmy do obozu, nasze oczy się przestraszyły, koksownia była całkowicie zniszczona. Trudno sobie wyobrazić, że zawiniła tu tylko wojna. Gnicie, rdzewienie, pleśnienie, odpadanie były starsze od wojny. Tak stare jak obojętność ludzi i trucizna substancji chemicznych. Widać było, że to same substancje chemiczne sprzysięgły się i doprowadziły fabrykę do ruiny. Musiało dojść do awarii i eksplozji w żelazie rur i maszyn. Fabryka była kiedyś supernowoczesna, najnowsza technika lat dwudziestych i trzydziestych, niemiecki przemysł. Na złomie widniały jeszcze nazwy **FOER - STER** czy **MANNESMANN**.

Trzeba było szukać nazw w złomie i przyjemnych słów w głowie przeciwko truciznie, ponieważ czuliśmy, że te substancje kontynuują atak i swój spisek kierują również przeciw nam, internowanym. I przeciwko naszej pracy przymusowej. Dla pracy przymusowej Rosjanie i Rumuni już w domu, na liście, znaleźli przyjemne słowo: **ODBUDOWA**. To słowo

było odtrute. Jeśli już **BUDOWA**, to powinna się nazywać **BUDOWA**

PRZYMUSOWA.

Ponieważ nie mogłem uniknąć substancji chemicznych, byłem zdany na ich łaskę i niełaskę - przeżerały nasze buty, ubrania, ręce i słuzówki - postanowiłem nadać im inne znaczenie, korzystne dla mnie. Wymyśliłem drogi zapachów i stworzyłem dla każdej drogi na terenie obozu jakąś pokusę: naftalina, pasta do butów, wosk do mebli, chryzantemy, mydło glicerynowe, kamfora, żywica jodłowa, ałun, kwiaty cytryny. Udało mi się przyjemnie uzależnić, ponieważ nie chciałem pozwolić, by substancje rozporządzały mną trującą. Przyjemne uzależnienie nie oznacza, że pojednałem się z nimi. Przyjemne było to, że tak jak istniały słowa głodu i jedzenia, istniały również słowa ucieczki od substancji chemicznych. Że również te słowa były dla mnie substancjonalnie konieczne. Były konieczne i były torturą, ponieważ wierzyłem im, chociaż wiedziałem, do czego ich potrzebuję.

Po jednej ze ścian czworokątnej wieży chłodniczej w drodze do jamy spływała woda, była to ciekająca wieża. Nazwałem ją **PAGODA**. Na dole wokół niej leżał zbiornik, który nawet latem pachniał zimowymi płaszczami, naftaliną. Okrągły biały zapach, jak w domu kulki na mole porozkładane w szafie. Tutaj, przy pagodzie, naftalina miała kanciastą czarną woń. Kiedy mijalem wieżę, woń naftaliny stawała się znowu okrągła i biała. Jestem dzieckiem. Jedziemy koleją na wakacje na Wench. Koło Kleinkopisch z okna pociągu widzę płonący szyb gazowy. Ma ryży płomień, a ja dziwię się, że tak mały płomień sprawia, że w całej dolinie usychają pola kukurydzy, szarzeją jak popiół, jakby była już późna jesień. Były to starcze pola w pełni lata. Z gazet wynikało jasno: szyb. Straszne słowo, oznaczało, że szyb znowu płonie i nikt nie może go ugasić. Mama mówi, że chcą teraz przywieźć z rzeźni bawolą krew, pięć tysięcy litrów.

Mają nadzieję, że szybko zakrzepnie i stworzy osłonę. Szyb pachnie jak nasze zimowe płaszcze w szafie, mówię. Mama mówi: Tak, naftalina.

Ropa naftowa, Rosjanie nazywają ją **NIEFT**. Czasem można to słowo przeczytać na cysternach. To ropa, a ja natychmiast myślę o naftalinie. Nigdzie słońce nie pali tak jak tutaj, na końcu mojki, ośmiopiętrowej ruiny zakładu obróbki węgla. Słońce wysysa ropę z asfaltu, pachnie pikantnie i tłusto, gorzko i słono, jak wielkie pudełko pasty do butów. W gorące dni tato ucinał sobie w południe drzemkę na kanapie, a mama czyściła w tym czasie jego buty. Ilekroć przechodzę obok ośmiopiętrowej ruiny mojki, bez względu na porę dnia w domu jest właśnie południe.

Pięćdziesiąt osiem baterii koksowniczych jest ponumerowanych i stoi pionowo niczym otwarte trumny w długim szeregu. Na zewnątrz cegły, w środku podszewka z szamo -

tówki, która kruszy się po kawałku. Myślę o **SZAMOCĄCYCH SIĘ NA PODSZEWCIE MOLACH**. Na podłodze lśnią kałuże ropy, pokruszony szamot pokrywa się kryształami jak żółtym strupem. Pachnie żółtymi chryzantemami z podwórka pana Carpa. Ale tutaj rośnie jedynie trująco blada trawa. Południe leży w gorącym wietrze, ta odrobina trawy jest równie niedożywiona jak my, ledwo dźwiga swój ciężar ma pofalowane źdźbła.

Mam nocną zmianę z Albertem Gionem. Wieczorem idę do piwnicy, mijam rury, niektóre opakowane w wełnę szklaną, inne nagie i zardzewiałe. Niektóre na wysokości kolan, inne nad głową. Powinienem choć raz przejść wzdłuż jakiejś rury od początku do końca, w obie strony. Przynajmniej o jednej rurze powinienem wiedzieć, skąd biegnie dokąd prowadzi. Nadal nie wiedziałbym, co transportuje, czy w ogóle coś. Przynajmniej raz powinienem przejść wzdłuż rury, z której wydobywa się biała para, ponieważ ta rura transportuje przynajmniej białą parę, parę naftalinową. Ktoś powinien przynajmniej raz wyjaśnić mi całą koksownię. Z jednej strony chętnie dowiedziałbym się, co się tutaj dzieje. Z drugiej nie wiem, czy procesy technologiczne, które też mają swoje słowa, nie przeszkadzałyby moim słowom ucieczki. Czy w ogóle mógłbym zapamiętać nazwy tych wszystkich szkieletów w przesiekach i na polanach. Z wentylów syczy biała para, pod ziemią wszystko wibruje. Po drugiej stronie odzywa się dzwon kwadransowy pierwszej baterii i wkrótce rozbrzmiewa także drugi. To, co zostało po bramach budynku, pokazuje żelazne żebra schodów i drabin. A za tym, co zostało po bramach, księżyc wędruje po stepie. W takie noce widzę małomiasteczkową zabudowę w domu, Most Kłamstw, uliczka Fin - gerlingstiege, a obok lombard **SKRZYŃIA SKARBÓW**. Widzę też Muspillego, nauczyciela chemii.

Wentyle w gąszczu rur są **NAFTALINOWYMI FONTANNAMI**, kapie z nich. Nocą widać, jak białe są krany zaworów. Inaczej niż śnieg, płynnie białe. A wieże są inaczej czarne niż noc. A księżyc ma swoje życie tutaj i jeszcze jedno w domu, nad dachami małego miasteczka. Tu i tam ma podwórko, na którym całą noc pali się światło oświetlające prastary inwentarz - pluszowy fotel i maszynę do szycia. Pluszowy fotel pachnie kwiatami cytryny, maszyna woskiem do mebli. Szczery podziw wzbudzała we mnie **MATRONA**, wspaniała wieża chłodnicza o parabolicznym kształcie, wysoka co najmniej na sto metrów. Jej zaimpregnowany na czarno gorset pachniał żywicą jodłową. Jej biała, zawsze taka sama chłodnicza chmura była z pary wodnej. Para wodna nie pachnie, ożywia jednak śluzówki nosa i wzmacnia wszystkie zapachy, a z nimi popęd do wynajdowania słów ucieczki. Zwodzić tak dobrze jak matrona potrafił jedynie anioł głodu. Obok wieży leżała kupa nawozu sztucznego, przedwojennego nawozu. Nawóz sztuczny, powiedział Kobelan, też jest derywatem węgla, **DERYWAT** brzmiał pocieszająco. Przedwojenny nawóz sztuczny błyszczał z daleka jak mydło

glicerynowe w celofanie. Widziałem siebie jako jedenastolatka w letnim Bukareszcie w 1938, na Calea Victoriei, po raz pierwszy w nowoczesnym domu towarowym, w dziale słodczy, długim jak ulica. Słodki oddech w nosie, celofan szeleści w palcach. Przechodzą mnie zimne dreszcze i zalewa fala ciepła od zewnątrz i wewnątrz. Miałem pierwszą erekcję. Dom towarowy nazywał się do tego Sora - siostra. Przedwojenny nawóz był sprasowany warstwami, przezroczyście żółty, musztardowozielony i szary. Z bliska pachniał gorzko jak ałun. Ałunowemu kamieniowi musiałem ufać, tamował przecież krew. Niektóre rośliny rosły tutaj i jadły tylko ałun, kwitły liliowo jak zatamowana krew, a później miały pola - kierowane na brązowo j agody, jak zaschnięta krew ziemnych psów na stepowej trawie.

Do substancji chemicznych należy również antracen. Leżał na wszystkich drogach i zżerał kalosze. Antracen jest oleistym piaskiem lub skryształizowanym do piasku olejem. Kiedy się na niego nastąpi, natychmiast znowu zamienia się w olej, atramentowoniebieski, srebrzyściezielony, jak rozdeptane grzyby. Antracen pachniał kamforą.

Czasem mimo wszystkich dróg zapachów i słów ucieczki czułem, jak pachnie wysmołowany dół. Od czasu mojego zatrucia światłem dziennym bałem się go i byłem szczęśliwy, że istnieje piwnica.

W piwnicy muszą być jednak substancje, których nie da się zobaczyć, wywąchać ani dotknąć. One są najpodstęp - niejsze. Ponieważ ich nie zauważam, nie mogę nazwać ich słowem ucieczki. Chowają się przede mną i posyłają przodem zdrowe mleko. Raz w miesiącu Albert Gion i ja dostajemy po zmianie zdrowe mleko przeciwko niewidocznym substancjom, żebyśmy truli się wolniej niż Jurij, Rosjanin, z którym Albert Gion pracował w piwnicy przed moim zatruciem światłem dziennym. Żebyśmy wytrzymali dłużej, raz w miesiącu dostajemy w stróżówce fabryki pół litra zdrowego mleka do blaszanego garnka. Jest to dar z innego świata. Pachnie tym, kim można byłoby być nadal, gdyby nie było się więźniem anioła głodu. Wierzę, że pomoże moim płucom. Że każdy łyk tępi truciznę jak czysty śnieg, górujący nad wszystkimi porównaniami.

Wszystkimi, wszystkimi, wszystkimi.

Codziennie mam nadzieję, że będzie działało cały miesiąc strzegło mnie. Nie odważam się, a mimo to mówię: Mam nadzieję, że świeże mleko jest nieznanym rodzeństwem białej chusteczki. I płynnym życzeniem babci. Wiem, że wrócisz.

Kto podmienił kraj

Przez trzy kolejne noce nawiedzał mnie ten sam sen. Znowu jechałem na białej świni przez chmury do domu. Ale tym razem kraj miał inny kształt. Przy brzegu nie było morza. A w środku nie było gór, zniknęły Karpaty. Płaski kraj, a w nim ani jednej wioski. Wszędzie

tylko dziki owies, już jesiennożółty.

Kto podmienił kraj, spytałem.

Anioł głodu popatrzył na mnie z nieba i powiedział: Ameryka.

A gdzie jest Siedmiogród, spytałem.

Powiedział: W Ameryce.

A gdzie się podzieli ludzie, spytałem.

Nie powiedział nic więcej.

Również drugiej nocy nie powiedział, gdzie się podzieli ludzie. Trzeciej też nie. Cały dzień nie dawało mi to spokoju. Albert Gion wysłał mnie po zmianie do drugiego męskiego baraku do Lommera Cytry. Słyszał z objaśniania snów. Potrzęsnał trzynastoma białymi fasolami w mojej watowanej czapce, wysypał je na pokrywę walizki i studiował trzynaście odległości między nimi. Potem dziury po robakach, wgłębienia i zadrapania na każdej fasoli. Między trzecią a dziewiątą fasolą jest droga, a siódemka to moja mama, powiedział.

Dwójka, czwórka, szóstka i ósemka to koła, ale małe. Wehikuł to wózek. Biały dziecięcy wózek. Zaprotestowałem, że nie możemy mieć w domu wózka, ponieważ tato, jak tylko nauczyłem się chodzić, przerobił go na wózek na zakupy. Lommer Cytra spytał, czy przebudowany wózek był biały, i pokazał mi na dziewiątce, że w wózku leży nawet główka w niebieskim czepeczku, prawdopodobnie chłopak. Włożyłem czapkę i spytałem, co jeszcze widzi. Odpowiedział: Nic więcej. W kurtce miałem kawałek zaoszczędzonego chleba. Nie żąda ode mnie zapłaty, ponieważ jestem u niego pierwszy raz, powiedział. Myślę, że powiedział to, ponieważ byłem tak przygnębiony.

Wróciłem do baraku. Nie dowiedziałem się niczego o Siedmiogrodzie i Ameryce ani o tym, gdzie podzieli się ludzie. Ani niczego o sobie. Pomyślałem, szkoda fasoli, może zużyła się już od wielu snów tutaj, w obozie. Można było ugotować z niej dobrą zupę.

Wciąż sobie wmawiam, że mało mam uczuć. Kiedy biorę sobie coś do serca, porusza mnie to tylko umiarkowanie. Prawie nigdy nie płaczę. Ale nie jestem silniejszy od tych z mokrymi oczyma, jestem słabszy. Oni nie boją się płaczu. Kiedy jest się tylko skórą i kośćmi, uczucia stają się odważne. Ja wolę być tchórzliwy. Różnica jest minimalna, ja zużywam swoją siłę na to, by nie płakać. Kiedy pozwalam sobie na uczucia, owijam mój czuły punkt wokół historii, która sucho obsta je przy braku tęsknoty za domem. Na przykład przy zapachu kasztanów, a więc jednak tęsknocie. Ale robi z nich jedynie cesarskokrólewskie kasztany pachnące świeżą skórą, o których opowiadał dziadek. Jako marynarz w porcie w Puli obierał i jadł kasztany, zanim ruszył w rejs dookoła świata na żaglowcu Donau. A zatem mój brak tęsknoty za domem jest opowiedzianą tęsknotą dziadka, za pomocą której poskrwiam

tutejszą tęsknotę. A więc jeśli pojawia się we mnie jakieś uczucie, jest to zapach. Zapach słowa kasztany lub słowa marynarz. Z czasem każdy zapach słowa robi się suchy jak fasole Lommeria Cytry. Bez płaczu można się stać potworem. O ile jeszcze się nim nie stałem. Powstrzymuje mnie przed tym bardzo niewiele, najwyżej jedno zdanie: Wiem, że wrócisz.

Moją tęsknotę za domem już dawno nauczyłem suchych oczu. A teraz chciałbym jeszcze, żeby stała się bezpańska. Wtedy nie będzie widzieć mojego stanu i przestanie pytać odomowników. Wtedy również moja głowa nie będzie domem dla osób, tylko dla przedmiotów. Wtedy będę je przesuwał tam i z powrotem po czułym punkcie, tak jak przesuwa się nogi przy *Palomie*. Przedmioty są małe lub duże, niektóre może za ciężkie, ale zachowują miarę.

Jeśli i to mi się uda, moja tęsknota za domem nie będzie tęsknotą. Stanie się jedynie głodem miejsca, w którym byłem kiedyś syty.

Człowiek kartofel

Przez dwa miesiące jako dodatek do stołówkowych ochłapów jadłem w obozie kartofle. Przez dwa miesiące surowo racjonowane gotowane kartofle, jednego dnia jako przekąskę, drugiego jako obiad, trzeciego jako deser. Przekąską były obrane kartofle ugotowane z solą i posypane dzikim koprem. Obierki zachowywałem, ponieważ następnego dnia na obiad były kartofle pokrojone w kostkę, serwowane z kluskami. Obierki z dnia poprzedniego razem ze świeżymi obierkami były moimi kluskami. Na deser trzeciego dnia były kartofle w łupinach pokrojone w plasterki i opiekane na ogniu. Na koniec posypywałem je podsmażonymi ziarnami dzikiego owsa i cukrem.

Pożyczyłem od Trudi Pelikan pół miarki cukru i pół miarki soli. Po trzecim pokoju Trudi Pelikan myślała tak jak wszyscy, że wkrótce puszczą nas do domu. Rozkloszowany płaszcz z pięknymi futrzanymi mankietami Bea Zakel wymieniła jej na bazarze na pięć miarek cukru i pięć miarek soli. Interes z płaszczem damskim udał się lepiej niż wymiana mojego jedwabnego szala. Tur Prikulicz nosił go nadal podczas apeli. Nie zawsze. W czasie letnich upałów nie nosił go wcale, od jesieni znowu co kilka dni. A ja co kilka dni pytałem Beę Zakel, kiedy dostanę coś w zamian od niej lub od Tura.

Po pewnym wieczornym apelu bez jedwabnego szala Tur Prikulicz wezwał mnie, mojego towarzysza z piwnicy Alberta Giona i adwokata Paula Gasta do swojego biura. Tur śmierdział wódką z buraków cukrowych. Nie tylko jego oczy, również język był jak naoliwiony. Przekreślił jakieś rubryki na liście, wpisał nasze nazwiska w inne i oznajmił, że Albert Gion nie musi jutro do piwnicy, ja także nie muszę do piwnicy, a adwokat nie musi do fabryki. Właśnie wpisał do rubryk coś innego. Wszyscy byliśmy zbici z tropu. Tur Prikulicz

zaczął od początku i wyjaśnił, że Albert Gion jutro tak jak zawsze musi do piwnicy, ale nie ze mną, tylko z adwokatem. Kiedy spytałem, dlaczego nie ze mną, opuścił do połowy powieki i powiedział: Ponieważ ty jutro punkt szósta idziesz do kołchozu. Bez bagażu, wieczorem wrócisz. Kiedy spytałem jak, odpowiedział: Jak to jak, na piechotę. Po prawej będą trzy hałdy, trzymaj się ich. Po lewej będzie kołchoz.

Byłem pewien, że nie skończy się na jednym dniu. W kołchozie ludzie umierali jeszcze szybciej, mieszkali w dziurach, pięć, sześć stopni w głąb ziemi, dach z chrustu i trawy. Od góry przeciekał deszcz, od dołu zalewała woda gruntowa. Przysługiwał litr wody na dzień do picia i mycia się. Ludzie nie umierali z głodu, umierali z pragnienia w upale, od brudu i robactwa mieli ropiejące rany zakażone tężcem. Wszyscy w obozie bali się kołchozu. Byłem pewien, że Tur Prikulicz zamiast zapłacić mi za szal, wysłała mnie do kołchozu, żebym zdechł, wtedy odziedziczy po mnie szal. Ruszyłem o szóstej z poszewką na poduszkę pod kurtką, na wypadek gdyby w kołchozie można było coś ukraść. Wiatr gwizdał nad polami kapusty i buraków, trawy kołysały się pomarańczowo, rosa lśniła falami. W trawie rosła ognista ło - boda. Wiatr nadciągał od przodu, cały step wpadał we mnie i chciał mnie złamać, ponieważ byłem chudy, a on zachłanny. Za polem kapusty i wąskim kawałkiem lasu akacyjowego pojawiła się pierwsza hałda, potem zielone użytki, potem pole kukurydzy. Potem była druga hałda. Ziemne psy wyglądały z trawy, brązowe futerkowe plecy z ogonami długości palca i bladymi brzuchami z przodu stały na tylnych łapach. Głowy się kiwały, przednie łapy były złożone jak ludzkie ręce do modlitwy. Również ich uszy były przyrośnięte do głowy po bokach jak u ludzi. Jeszcze przez sekundę kiwały się głowy, potem kołysała się pusta trawa nad dziurami w ziemi, ale całkiem inaczej niż na wietrze.

Dopiero teraz rzuciło mi się w oczy, że ziemne psy czują, że idę przez step sam i niepilnowany. Ziemne psy mają wyczulony instynkt, modlą się za ucieczkę, pomyślałem. Ucieczka byłaby teraz możliwa, ale dokąd. Może chcą mnie ostrzec, zapewne już od dawna uciekam. Obejrzałem się, czy nikt mnie nie śledzi. Daleko z tyłu majaczyły dwie postaci, wyglądały jak mężczyzna z dzieckiem, niosły dwie łopaty z krótkimi trzonkami, nie miały broni. Niebo było rozciągnięte nad stepem jak niebieska sieć, w oddali przyrośnięte do ziemi bez żadnej dziury.

W obozie doszło już do trzech prób ucieczki. Wszyscy trzej śmiałkowie byli z Zakarpacia, krajanie Tura Prikulicza. Mówili dobrze po rosyjsku, a mimo to wszyscy trzej zostali złapani i oglądaliśmy ich skatowanych podczas apelu. Potem nikt ich już nie widział, zostali wysłani do specjalnego obozu albo do grobu.

Teraz po lewej zobaczyłem budę z desek i wartownika z pistoletem przy pasie,

chudego młodego chłopaka o pół głowy niższego ode mnie. Czekał na mnie, przywołał mnie skinieniem. Nie zdążyłem się nawet zatrzymać, śpieszyło mu się, szliśmy wzdłuż pól kapusty. Jadł pestki słonecznika, wrzucał po dwie do ust, rozgryzał za jednym zamachem, jednym kącikiem ust wypluwał łupiny, drugim pochłaniał jednocześnie kolejne ziarna i znowu leciały łupiny. Szliśmy tak szybko, jak szybko gryzł pestki. Myślałem, że może jest niemy. Nie mówił, nie pocił się, nie wypadał z rytmu w akrobacji kącików ust. Szedł, jakby wiatr ciągnął go na kółkach. Milczał i jadł jak wyluskiwarka. Potem pociągnął mnie za rękę, zatrzymaliśmy się. Ze dwadzieścia kobiet stało rozproszonych po polu. Nie miały narzędzi, wygrzebywały kartofle rękami. Strażnik przydzielił mi rządę. Słońce wisiało pośrodku nieba jak kawałek żaru. Szuflowałem rękami, ziemia była twarda. Skóra pękała, w ranach palił brud. Kiedy podnosiłem głowę, przed oczami latały mi roje migoczących plamek. W mózgu krzepła krew. Na polu młody typ z pistoletem był nie tylko strażnikiem, lecz także naczelnikiem, brygadzystą, majstrem, ekonomem, wszystkim naraz. Kiedy przyłapywał kobiety na pogawędce, bił je po twarzy łętami albo wpychał im do ust zgniłe bulwy. I nie był niemy. Nie rozumiałem, co krzyczał. Nie były to węglowe przekleństwa ani rozkazy z budowy, ani słowa z piwnicy.

Powoli rozumiałem coś innego, że Tur Prikulicz umówił się z nim, że będę pracował cały dzień i że ma mnie zastrzelić dopiero wieczorem, w trakcie ucieczki. Albo wepchnąć do dziury w ziemi, prywatnej, ponieważ byłem jedynym mężczyzną. Albo nie tylko tego wieczoru, lecz od dzisiaj każdego, żebym już nigdy więcej nie wrócił do obozu.

Kiedy nastał wieczór, ten typ był nie tylko strażnikiem, naczelnikiem, brygadzystą, majstrem i ekonomem, lecz także komendantem obozu. Kobiety ustawiły się do odliczania w szeregu, wymieniały nazwiska i numery, wywracały na lewą stronę kieszenie kufajek i pokazywały w każdej ręce po dwa kartofle. Cztery średnie wolno im było zachować. Jeśli jakiś był za duży, wymieniano go. Stałem jako ostatni w szeregu i pokazałem moją poszewkę. Była wypełniona 27 kartoflami, 7 średnimi i 20 dużymi. Również ja mogłem zatrzymać cztery średnie kartofle, pozostałe musiałem wysypać. Mężczyzna od pistoletu spytał, jak się nazywam. Powiedziałem: Leopold Auberg. Wziął średni kartofel, jakby miał coś wspólnego z moim nazwiskiem, i kopnął go tak, że przeleciał mi nad barkiem. Schowałem głowę. Następnego kartofla nie kopnie, tylko rzuci mi nim w głowę, strzeli do niego w locie i rozwali go na kawałki razem z moim mózgiem. Kiedy o tym myślałem, on przyglądał się, jak wpycham poszewkę do kieszeni. Potem wyciągnął mnie za rękę z szeregu i wskazał, jakby znowu oniemiał, w stronę wieczoru, stepu, tam, skąd przyszedłem rano. Tak mnie zostawił. Kobietom wydał rozkaz wymarszu i poszedł za brygadą w przeciwnym kierunku. Stałem na

brzegu pola, widziałem, jak oddała się z kobietami, i byłem pewien, że zaraz zostawi brygadę i wróci. Bez świadków padnie jeden strzał, a w papierach pojawi się zdanie: Zastrzelony podczas próby ucieczki.

Brygada maszerowała jak brązowy wąż i znikwała, coraz mniejsza, w oddali. Stałem jak wryty przed wielkim stosem kartofli i zaczynałem wierzyć, że nie było żadnej umowy między Turem Prikuliczem a strażnikiem, tylko między Turem Prikuliczem a mną. Że ten stos kartofli jest umową. Że Tur chce mi zapłacić za szal kartoflami.

Wypchałem się aż po czapkę kartoflami każdej wielkości. Naliczyłem 273 kartofli. Anioł głodu pomagał mi, był przecież notorycznym złodziejem. Jednak pomógłszy mi, stał się znowu notorycznym dręczycielem i zostawił mnie sam na sam z długą drogą do domu.

Ruszyłem. Wkrótce swędziało mnie wszędzie, wesz głowowa, szyjna i karkowa, wesz pachowa, piersiowa, we włosach łonowych wesz filcowa. Między palcami w onucach kaloszy swędziało i tak. Żeby się podrapać, musiałbym podnieść rękę, na co nie mogłem sobie pozwolić z wypchanymi rękawami. Idąc, musiałem zginać kolana, co nie było łatwe z wypchanymi nogawkami. Przeczłapałem koło pierwszej hałdy. Druga nie nadchodziła i nie nadchodziła albo ją przegapiłem. Kartofle były cięższe ode mnie. Na trzecią hałdę było już za ciemno. We wszystkich częściach nieba były nanizane gwiazdy. Droga Mleczna biegnie z południa na północ, powiedział golibroda Oswald Enyeter, kiedy drugi z jego krajanów po nieudanej ucieczce ponosił karę na placu obozowym. Żeby dostać się na zachód, powiedział, trzeba przeciąć Drogę Mleczną i skręcić w prawo, potem cały czas iść prosto, czyli trzymać się lewej strony Wielkiego Wozu. Ja jednak nie znalazłem nawet drugiej i trzeciej hałdy, które w drodze powrotnej powinienem minąć po lewej. Lepiej być nieustannie strzeżonym niż nieustannie zgubionym. Akacje, kukurydza, nawet moje kroki nosiły czarną pelerynę. Głowy kapusty patrzyły za mną jak ludzkie głowy, miały rozmaite fryzury i czapki. Tylko księżyc miał biały czepek i dotykał mojej twarzy jak pielęgniarka. Pomyślałem, że może już wcale nie potrzebuję kartofli, może jestem śmiertelnie chory, zatruty piwnicą, tylko jeszcze o tym nie wiem. Słyszałem urywane krzyki ptaków z drzew i pełen skargi bełkot w oddali. Nocne sylwetki potrafiły pływać. Nie wolno mi się bać, pomyślałem, inaczej utonę. Mówiłem sam z sobą, żeby się nie modlić:

Trwałe rzeczy się nie marnotrawią, nie potrzebują nic ponad jednym jedynym, wiecznie takim samym stosunkiem do świata. Stosunkiem stepu do świata jest przyczajenie, stosunkiem księżyca - świecenie, stosunkiem ziemnych psów - ucieczka, stosunkiem traw - kołysanie. A moim stosunkiem do świata jest jedzenie.

Wiatr gwizdał, słyszałem głos mamy. Ostatniego lata w domu przy stole nie powinna

była powiedzieć, nie nakłuwaj kartofla widelcem, rozpadnie się, widelca używa się do mięsa. Mama nie mogła sobie wyobrazić, że step zna jej głos, że pewnej nocy kartofle w stepie będą mnie wciągały w ziemię, a gwiazdy kłuły z nieba. Tego, że będę się telepał jak szafa przez pola i łąki do bramy obozu, wtedy przy stole nie przeczuwał nikt. Że trzy lata później będę nocą człowiekiem kartoflem, a drogę ppwrotną do obozu będę nazywał drogą do domu.

Przy bramie obozu psy czekały sopranowym nocnym głosem, który zawsze przypomina płacz. Może Tur Prikulicz umówił się również ze strażnikami, ponieważ skinęli mi tylko, żebym szedł dalej, nie przeszukali mnie. Słyszałem, jak śmieją się za moimi plecami, buty człapały po ziemi. Tak wypchany, jak byłem tej nocy, nie mogłem się odwrócić, pewnie któryś z nich naśladował mój sztywny krok. Następnego dnia wziąłem ze sobą na nocną zmianę trzy średnie kartofle dla Alberta Giona. Może zechce je upiec w spokoju z tyłu na ogniu, w otwartym żelaznym koszu. Nie chce. Przygląda się każdemu z osobna i wkłada je do czapki. Pyta: Dlaczego właśnie 273 kartofli.

Ponieważ -273° Celsjusza to zero bezwzględne, mówię, zimniej być już nie może.

Jesteś dzisiaj w naukowym nastroju, stwierdził, na pewno źle policzyłeś.

Nie mogłem się pomylić, mówię, liczba 273 uważa sama na siebie, jest postulatem.

Postulat, mówi Albert Gion, powinieneś był pomyśleć oczymś innym. Leo, człowieku, mogłeś przecież uciec. Trudi Pelikan dałem 20 kartofli, płacąc w ten sposób za cukier i sól. Dwa miesiące później, tuż przed Bożym Narodzeniem, z 273 kartofli nie został ani jeden. Ostatnie miały już niebieskozielone ześlizgujące się oczy jak Bea Zakel. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć jej kiedyś o tym.

Niebo w dole, ziemia w górze

W letnim domu na Wench głęboko w sadzie stała drewniana ławka bez oparcia. Nazywała się Hermann Wujek. Nosiła to imię, ponieważ nie znaleźmy nikogo, kto by się tak nazywał. Hermann Wujek miał w ziemi dwie okrągłe nogi z pniaków. Siedzisko było gładko zheblowane tylko od góry, od spodu została na drewnie kora. W prażącym słońcu Hermann Wujek pocił się kroplami żywicy. Oderwane odrastały już następnego dnia.

Wyżej, na porośniętym trawą pagórku, stała Ciocia Luia. Miała oparcie i cztery nogi, była mniejsza i szczuplejsza niż Hermann Wujek, i starsza od niego. Herman Wujek przyszedł później. Wspinałem się do Cioci Lui i turlałem z górki. Niebo w dole, ziemia w górze, a między nimi trawa. Trawa zawsze trzymała mnie za nogi, żebym nie spadł do nieba. Zawsze widziałem szare podbrzusze Cioci Lui.

Pewnego wieczoru mama siedziała na Cioci Lui, a ja leżałem wyciągnięty na plecach u jej stóp, w trawie. Patrzyliśmy w górę, wszystkie gwiazdy były na swoim miejscu. Mama

naciągnęła sobie kołnierz swetra na brodę, aż kołnierz zaczął mieć usta. Wtedy kołnierz, nie ona, powiedział:

Niebo i ziemia są światem. Niebo jest tak duże, ponieważ dla każdego człowieka wisi w nim jeden płaszcz. A ziemia jest tak duża z powodu odległości do palców u nóg świata. Jest do nich tak daleko, że trzeba przestać myśleć, ponieważ ta odległość przyprawia o puste mdłości w żołądku.

Spytałem: Gdzie jest najdalej na świecie.

Tam, gdzie świat się kończy.

Przy palcach u nóg.

Tak.

Też ma ich dziesięć.

Myślę, że tak.

Czy wiesz, który płaszcz jest twój.

Dowiem się dopiero, kiedy będę w górze, w niebie.

Tam są przecież zmarli.

Tak.

Jak się tam dostają.

Wędrują z duszą.

Czy dusza też ma palce u nóg.

Nie, skrzydła.

Czy płaszcze mają skrzydła.

Tak.

Czy rękawy są ich skrzydłami.

Tak.

Czy Hermann Wujek i Ciocia Luia są małżeństwem.

Jeśli drewno może brać ślub, to tak.

Potem mama wstała i poszła do domu. A ja usiadłem na Cioci Lui, dokładnie tam, gdzie przed chwilą siedziała mama. Drewno było ciepłe. W sadzie drżał czarny wiatr.

O nudach

Dzisiaj nie mam ani rannej, ani popołudniowej, ani nocnej zmiany. Po ostatniej nocnej zmianie nadchodzi zawsze długa środa. Jest moją niedzielą i kończy się dopiero w czwartek od drugiej po południu. Mam za dużo wolnego powietrza wokoło. Powinienem obciąć sobie paznokcie, ale ostatnio miałem wrażenie, jakbym obcinał je na moich palcach komu innemu. Nie wiem komu.

Przez okno baraku widać korso aż do stołówki. Nadchodzą dwie Zirri, niosą wiadro, jest w nim pewnie węgiel, jest ciężkie. Pierwszą ławkę mijają, na drugiej siadają, ponieważ ma oparcie. Mógłbym otworzyć okno i pomachać im albo wyjść do nich. Już wkładam kalosze i siedzę w kaloszach na łóżku.

Istnieje nudna mania wielkości gumowego robaka w zegarze z kukułką i czarne kolano przy rurze od pieca. Na podłodze leży cień podniszczonego drewnianego stolika. Z każdym przesunięciem słońca cień się odnawia. Istnieje nuda lustra wody w wiadrze i wody w moich napompowanych nogach. Istnieje nuda własnego rozerwanego szwu w koszuli, nuda pożyczonej igły i drżąca nuda szycia, podczas którego mózg ześlizguje się na oczy, i istnieje nuda przegryzionej nitki.

Mężczyźni znają nudę ukrytych depresji podczas mrukliwej gry w karty, bez pasji. Z dobrą kartą człowiek musi przecież chcieć wygrać, ale mężczyźni przerywają grę, zanim ktokolwiek zwycięży lub przegra. Kobiety znają nudę śpiewu, tęskne piosenki podczas odwszawiania w nudzie solidnych grzebieni z rogu i bakelitu. I istnieje też nuda wyszczerbionych blaszanych grzebieni nienadających się do niczego. Istnieje nuda golenia na lyso i nuda czaszek jak porcelanowe puzderka, udekorowanych kwiatuśkami ropy i girlandami świeżych i znikających ukąszeń wszy. Istnieje również niema nuda Kati Straż. Kati Straż nigdy nie śpiewa. Spytałem ją: Kati, nie potrafisz śpiewać. Powiedziała: Już się uczesałam. Widzisz, bez włosów grzebień drapie.

Dziedziniec obozowy jest pustą wsią w słońcu, szpice chmur są ogniem. Ciocia Fini wskazywała na górską łąkę w wieczornym słońcu. Powiew wiatru podniósł jej włosy jak ptasie gniazdo i przeciął potylicę białym przedziałkiem. Powiedziała: Skrzaty pieką adwentowe ciasteczka. Spytałem: Już teraz. Już teraz, powiedziała.

Istnieje nuda zmarnotrawionych rozmów, żeby nie powiedzieć okazji. Na proste życzenie zużywa się wiele słów i może żadne z nich nie przetrwa. Często unikam rozmów, a jeśli ich szukam, napawają mnie lękiem, najbardziej te z Beą Zakel. Być może wcale niczego nie chcę od Bei Za - kel, kiedy z nią rozmawiam. Może nurkuję w jej podłużnych oczach, ponieważ zebrzę o łaskę Tura. W gruncie rzeczy ze wszystkimi rozmawiam więcej, niż chcę, żeby mniej być samemu. Jakby w obozie w ogóle można było być samemu. Nie można, nawet wtedy, kiedy obóz jest pustą wsią w słońcu.

Zawsze jest tak samo: kładę się, ponieważ tak spokojnie jak teraz nie będzie już później, kiedy inni wrócą z pracy.

Nocna zmiana nie śpi długo, po czterech godzinach obowiązkowego snu budzę się. Mógłbym wyliczyć, ile czasu zostało jeszcze do następnej nudnej wiosny w obozie z

kolejnym bezsensownym pokojem i plotkami, że wkrótce wrócimy do domu. Leżę w tym kolejnym pokoju, na nowej trawie i przypiąłem sobie do pleców całą ziemię. Przenoszą nas jednak stąd do innego obozu, jeszcze dalej na wschód, do obozu drwali. Pakuję moje piwniczne rzeczy do walizki z pudełka od gramofonu, pakuję i pakuję, i nie mogę skończyć. Inni już czekają. Lokomotywa gwizdże, w ostatniej chwili wskakuję na stopień. Jedziemy od jednego jodłowego lasu do drugiego. Jodły odskakują na bok, uciekają przed szynami, a za pociągiem w podskokach wracają na swoje miejsce. Dojeżdżamy i wysiadamy, najpierw komendant Szysztwanionow. Nie śpieszę się i mam nadzieję, że nikt nie zauważy, że w gramofonowej walizce nie mam ani piły, ani siekiery, tylko piwniczne rzeczy i moją białą chusteczkę. Komendant przebrał się od razu, ma na mundurze rogowe guziki, a na pagonach dębowe liście, chociaż jesteśmy w le - sie jodłowym. Zaczyna się niecierpliwic, dawaj, mówi, pił i siekier mamy aż nadto. Wysiadam, a on daje mi brązowy papierowy worek. Znowu cement, myślę. Ale w jednym rogu worek jest naddarty i sypie się z niego biała mąka. Dziękuję za prezent, biorę worek pod lewą pachę, a prawą salutuję. Szysztwanionow woła: Rozluźnić nogi, tutaj, w górach, trzeba też wysadzać w powietrze. Teraz rozumiem, biała mąka to dynamit.

Zamiast snuć takie myśli, mógłbym poczytać. Ale straszego *Zaratustrę*, grubego *Fausta* i Weinhebera wydrukowanego na biblijnym papierze już dawno sprzedałem na bibułkę do skrętów w zamian za chwilę ukojenia głodu. W poprzednią wolną środę wyobrażałem sobie, że wcale nie wsiadamy do pociągu. Że barak bez kół jedzie z nami na wschód i rozciąga się podczas jazdy jak harmonia. Że wcale nie trzęsie, że na zewnątrz przebiegają koło nas akacje i drapią gałęziami w okno, a ja siedzę obok Kobelana i pytam: Jak to możliwe, że jedziemy, nie mamy przecież kół. Kobelan mówi: Jedzie - my na łożysku kulkowym.

Jestem zmęczony i nie mam ochoty strasznie za czymś tęsknić. Istnieje co niemiara nud, jedne wybiegają szybko naprzód, inne utykają daleko z tyłu. Jeśli dobrze je traktuję, nie robią mi krzywdy i codziennie są moją własnością. Przez cały rok istnieje nad ruską osadą nuda cienkiego księżycy, jego szyja udaje kwiat ogórka albo trąbkę z szarymi klapami. Kilka dni później widać już połówkę księżycy jak zawieszony na niebie kaszkiet. A jeszcze później z nieba spogląda nuda całej kuli, tak pełnej, że aż się przelewa. Codziennie istnieje nuda drutu kolczastego na obozowym murze, nuda strażników w wieżach, lśniących czubków butów Tura Prikulicza i nuda własnych rozerwanych kaloszy. Istnieje nuda białej chmury z wieży chłodniczej, jak również nuda białych chlebowych płócien. I istnieje nuda pofalowanych płyt azbestowych, kłębow smoły i starych kałuż oleju.

Istnieje nuda słońca, kiedy drewno wysycha, a ziemia staje się cieńsza niż rozum w głowie, kiedy psy drzemią, zamiast szczeleć. Zanim trawa całkiem umrze z pragnienia, niebo się zaciąga i wtedy istnieje nuda na dolnym końcu deszczowych sznurów, aż drewno napęcznieje, buty przykleją się do błota, a ubrania do skóry. Lato męczy swoje listowie, jesień swoje kolory, zima nas.

Istnieje nuda świeżego śniegu z węglowym pyłem i starego śniegu z węglowym pyłem, nuda starego śniegu z obierkami kartofli i świeżego bez obierek. Nuda śniegu z cementowymi zmarszczkami i plamami od smoły, mączysta wełna na psach i ich blaszane niskie lub sopranowo wysokie ujadanie. Istnieje nuda kapiących rur, ich sople jak szkliste białe rzodkiewki, i nuda śniegu, jak pluszowe obicie mebli, na schodach do piwnicy. Istnieją również lodowe nici i ich topnienie w sieć włosów na okruchach szamotówek z baterii koksowniczych. Istnieje również nuda lepkiego, żądnego ludzi śniegu, który szklił nam wzrok i pali policzki.

Na szerokich rosyjskich szynach leży śnieg drewnianych podkładów kolejowych i rdzawy wieniec śrub powkręca - nych tuż obok siebie, po dwie, trzy albo nawet pięć, jak pagony różnych rang. Na nasypie kolejowym istnieje, jeśli ktoś się przewróci, nuda śniegu ze zwłokami i ich łopata. Zaraz po uprzątnięciu zapomina się o nich, ponieważ w gęstym śniegu nie widać konturów chudych ciał. Tylko nudę opuszczonej łopaty. Nie powinno się przebywać w pobliżu łopaty. Kiedy podnosi się lekki wiatr, leci dusza ozdobiona piórami. Kiedy wiatr jest silny, niosą ją fale. Nie tylko ją, z każdymi zwłokami zwalnia się zapewne jeden anioł głodu i szuka sobie nowego gospodarza. Ale dwojga aniołów głodu nie wyżywi żaden z nas.

Trudi Pelikan opowiedziała mi, że pojechała z felczerką i Kobelanem na nasyp, żeby załadować na samochód zamrożoną Corinę Marcu. Że Trudi weszła na pakę, żeby rozebrać zwłoki, zanim trafią do grobu, ale felczerką powiedziała: Zrobimy to później. Że felczerką siedziała z Kobelanem w kabinie, a Trudi ze zwłokami na górze. Że Kobelan nie pojechał na cmentarz, tylko do obozu, gdzie w baraku dla chorych czekała Bea Zakel i gdy usłyszała warkot samochodu, wyszła przed drzwi z jakimś dzieckiem na rękach. Że Kobelan wziął martwą Corinę Marcu na ramię i na polecenie felczerki nie zaniósł jej ani do umieralni, ani do gabinetu zabiegowego, tylko do prywatnego pokoju felczerki. Że tam nie wiedział co dalej, bo felczerka powiedziała: Poczekaj. Że zmarła na ramieniu zrobiła się za ciężka, więc ją opuścił i postawił na podłodze. Że stała tak oparta o niego, aż felczerka włożyła puszki do wiadra i stół był wolny. Że Kobelan bez słowa położył zmarłą na stole. Że Trudi Pelikan zaczęła rozpinąć zmarłej kurtkę, ponieważ myślała, że Bea Zakel czeka na ubrania. Że

felczerka powiedziała: Najpierw włosy. Że Bea Zakel odstawiła dziecko za drewniane przepierzenie do innych dzieci. Że dziecko tak długo kopało w ścianę i krzyczało, aż inne dzieci też zaczęły jeszcze przeraźliwiej krzyzczeć, tak jakpsy szczekają przeraźliwiej, jeśli jeden zacznie. Że Bea Zakel przyciągnęła zmarłą za głowę na brzeg stołu, aż opadły jej włosy. Że Corina Marcu jakimś cudem jeszcze nigdy nie została ogolona na łyso i że felczerka ogoliła ją teraz. Że Bea Zakel ułożyła włosy porządnie w drewnianym pudełku. Że Trudi chciała wiedzieć, na co mogą się przydać, a felczerka powiedziała: Do poduszki na parapet. Że Trudi spytała: Dla kogo, a Bea Zakel powiedziała: Dla zakładu krawieckiego, pan Reusch uszyje nam poduszkę na parapet, włosy zatrzymują przeciąg. Że felczerka umyła ręce mydłem i powiedziała: Boję się, że człowiek nudzi się, kiedy umrze. Że Bea Zakel odpowiedziała dziwnie wysokim głosem: I słusznie. Że Bea Zakel wyrwała dwie puste kartki z rejestru chorych i przykryła pudełko. Że z pudełkiem pod pachą wyglądała, jakby w sklepie u Rosjan kupiła łatwo psujący się towar. Że nie czekała na ubrania, tylko zniknęła z pudełkiem, zanim zmarłą rozebrano. Że Kobelan poszedł do samochodu. Że rozebranie zmarłej do naga trwało długo, ponieważ Trudi nie chciała rozcinać dobrego kufajkowego kombinezonu. Że podczas szarpaniny z kieszeni kurtki zmarłej wypadła broszka w kształcie kota i wylądowała koło wiadra. Że Trudi Pelikan schyliła się po broszkę i w wiadrze na jednej z błyszczących puszek przeliterowała: **CORNED BEEF**. Że nie wierzyła własnym oczom. Że felczerka, podczas gdy ona literowała, podniosła broszkę. Że na zewnątrz samochód cały czas warczał, ale nie odjeżdżał. Że felczerka wyszła z broszką w ręku i wróciła z pustymi rękoma i powiedziała: Kobelan siedzi za kierownicą, powtarza cały czas, wielki Boże, i zanosí się płaczem.

Nuda jest cierpliwością strachu. Nie chce przesadzić. Tylko czasem, i o to chodzi jej szczególnie, chce wiedzieć, co ze mną jest.

Mógłbym zjeść kawałek zaoszczędzonego chleba spod poduszki z odrobiną cukru albo soli. Albo wysuszyć mokre onuce na oparciu krzesła koło pieca. Drewniany stolik rzuca dłuższy cień, słońce się przesunęło. Wiosną, następną wiosną, zorganizuję sobie dwa kawałki gumy z przenośnika taśmowego z fabryki albo z opony z warsztatu. I zaniósę je do szewca.

Jako pierwsza baletki w obozie nosiła Bea żakel, już poprzedniego lata. Przyszedłem do niej do magazynu, potrzebowałem nowych drewniaków. Grzebałem w stosie butów, a Bea żakel powiedziała: Mam tylko za duże albo za małe, napařtki albo statki, średnich już nie ma. Przymierzyłem wiele par, żeby dłużej zostać. Najpierw zdecydowałem się na małe, potem spytałem, kiedy przyjdą średnie. Potem wziąłem dwa duże. Bea żakel powiedziała: Włóż je od razu, stare zostaw tutaj. Zobacz, co mam, baletki.

Spytałem: Skąd.

Powiedziała: Od szewca. Zobacz, zginają się tak, jakbym była na bosaka.

Ile kosztują, spytałem.

Powiedziała: Musiałbyś spytać Tura.

Kawałki gumy Kobelan da mi może za darmo. Muszą być długie jak dwie konchy szufli. Dla szewca potrzebuję pieniędzy. Musiałbym sprzedać trochę węgla, póki jeszcze zimno. Latem, następnego lata, nuda zdejmie może onuce i włoży baletki. Będzie chodziła na bosaka.

Zastępczy brat

Na początku listopada Tur Prikulicz woła mnie do swojego biura.

Dostałem list z domu.

Z radości tyka mi podniebienie, nie mogę zamknąć ust. Tur grzebie w półotwartej szafie w pudełku. Na zamkniętych drzwiach szafy wisi portret Stalina, wysokie, szare kości policzkowe jak dwie hałdy, nos, imponujący jak most kolejowy, wąsy jak jaskółka. Obok stołu trzaska piec węglowy, na nim bulgoce blaszany garnek z czarną herbatą. Obok pieca stoi wiadro z węglem antracytowym. Tur mówi: Dołóż trochę węgla, zanim znajdę twoją pocztę.

Szukam w wiadrze trzech odpowiednich grudek, płomień skacze jak biały zając przez żółtego zająca. Potem żółty skacze przez białego, zające rozrywają się nawzajem i gwizdzą na dwa głosy: Hazowyj. Ogień dmucha mi żarem w twarz, a czekanie strachem. Zamykam drzwiczki pieca, a Tur zamyka szafę. Przekazuje mi pocztówkę z Czerwonego Krzyża.

Do pocztówki przyszyte jest białą nicią zdjęcie, starannie przystębnowane na maszynie. Na zdjęciu jest dziecko. Tur patrzy mi w twarz, ja patrzę na pocztówkę, przyszyte dziecko z pocztówki patrzy mi w twarz, a z drzwi szafy Stalin patrzy w twarz nam wszystkim.

Pod zdjęciem widnieje podpis:

Robert, ur. 17 kwietnia 1947.

Jest to pismo mojej mamy. Dziecko na zdjęciu ma wydzier - gany na szydełku czepek i kokardę pod brodą. Czytam jeszcze raz: Robert, ur. 17 kwietnia 1947. Nic więcej nie jest napisane. Odręczne pismo mamy kłuje jak szpilka, jej praktyczne myślenie, oszczędzanie miejsca przez skrót ur. dla urodzony. Moje tętno pulsuje w kartce, nie w ręce, w której ją trzymam. Tur kładzie rejestr listów i ołówek na stole, mam poszukać swojego nazwiska i podpisać. Idzie do pieca, wyciąga ręce i słucha, jak bulgoce herbata i gwizdzą w ogniu zające. Najpierw rozmywają mi się przed oczami rubryki, potem litery. Potem klękam przy stole, kładę na nim ręce, chowam w nich twarz i łkam.

Chcesz herbaty, pyta Tur. Chcesz wódki. Myślałem, że się ucieszysz.

Tak, mówię, cieszę się, ponieważ w domu jest jeszcze stara maszyna do szycia.

Piję z Turem Prikuliczem kieliszek wódki i jeszcze jeden. Dla ludzi składających się tylko ze skóry i kości to za dużo. Wódka pali w żołądku, łązy na twarzy. Całą wieczność nie płakałem, nauczyłem moją tęsknotę za domem suchych oczu. Moja tęsknota za domem stała się już nawet bezpańska. Tur wciska mi ołówek w rękę i wskazuje odpowiednią rubrykę. Piszę drżącą dłonią: Leopold. Potrzebuję pełnego nazwiska, mówi Tur. Napisz sam, mówię, ja nie mogę.

Potem z przyszytym dzieckiem schowanym w kufajce wychodzę na zewnątrz, w śnieg. Od zewnątrz widzę w oknie biura parapetową poduszkę przeciw przeciągom, o której opowiadała Trudi Pelikan. Jest starannie uszyta i wypchana. Włosy Coriny Marcu na pewno by nie wystarczyły, muszą być w niej jeszcze inne. Z żarówek wypływają białe lejki, tylna wieża strażnicza kołysze się w niebie. Po całym śnieżnym dziedzińcu rozsypana jest biała fasola Lommerera Cytry. Śnieg przesuwają się coraz dalej razem z obozowym murem. Ale na obozowym korso, po którym idę, wznosi się aż do szyi. Wiatr ma ostrą kosę. Nie mam nóg, idę na policzkach, które też wkrótce stracę. Mam tylko przyszyte dziecko, jest moim zastępczym bratem. Rodzice zrobili sobie dziecko, ponieważ nie liczą już na mnie. Tak jak mama skróciła urodzony do **ur.**, skróciłaby zmarł do **zm.** Już to zrobiła. Czy mama ze swoją staranną stębnówką z białej nici nie wstydzi się, że czytam pod tą linijką:

Dla mnie możesz umrzeć tam, gdzie jesteś, zaoszczędzi to miejsca w domu.

W bieli pod linijką

Czerwonokrzyżowa kartka od mamy przyszła do obozu w listopadzie. Była w drodze siedem miesięcy. Z domu wysłana została w kwietniu. Przyszyte dziecko było już wtedy od dziewięciu miesięcy na świecie.

Pocztówkę z zastępczym bratem włożyłem do białej chusteczki na sam spód walizki. Na pocztówce widniała tylko jedna linijka, a ja nie pojawiłem się w żadnym ze słów. Nie było mnie nawet w bieli pod linijką.

W ruskiej osadzie nauczyłem się żebrać o jedzenie. Nie chciałem żebrać o to, żeby mama mnie wspomniała. Przez dwa pozostałe lata zmuszałem się, by nie odpowiedzieć na pocztówkę. Żebrać nauczyłem się w dwóch minionych latach od anioła głodu. W dwóch pozostałych uczyłem się od anioła głodu surowej dumy. Była tak surowa, jak nieugię - tość wobec chleba. Męczyła mnie okrutnie. Anioł głodu pokazywał mi codziennie mamę, jak karmi swoje zastępcze dziecko, ignorując moje życie. Radosna i syta jeździła po mojej głowie białym wózkiem. A ja przyglądałem się jej z każdego miejsca, w którym mnie nie było, również z bieli pod linijką.

Drut Minkowskiego

Każdy tutaj ma swoją terazniejszość. Każdy dotyka kaloszami albo drewniakami ziemi, nawet jeśli w piwnicy, dwanaście metrów pod ziemią, nawet jeśli na desce milczenia. Kiedy Albert Gion i ja nie pracujemy, siedzimy na ławce z dwóch kamieni i deski. W klatce z drutu pali się żarówka, w otwartym żelaznym koszu koksowy ogień. Odpoczywamy i milczymy. Często zastanawiam się, czy potrafię jeszcze liczyć. Jeśli mamy teraz czwarty rok i trzeci rok pokoju, to tutaj, w piwnicy, musiał panować też pierwszy i drugi pokój, tak jak i czas przed pokojem, tyle że beze mnie. Tutaj w piwnicy musi być tyle nocnych i dziennych zmian, ile jest warstw ziemi. Powinienem policzyć moje zmiany z Albertem Gionem, ale czy potrafię jeszcze liczyć.

Czy potrafię jeszcze czytać. Na Gwiazdkę dostałem od taty książkę: *Ty i fizyka*. Było tam napisane, że każdy człowiek i każde zdarzenie mają własne miejsce i czas. Takie jest prawo przyrody. I dlatego każdy człowiek i każda rzecz mają własną rację bytu. I ze wszystkim, co istnieje, łączy nas własny drut, **drut minkowskiego**. Gdy tak tutaj siedzę, drut Minkowskiego jest dokładnie nad moją głową i prowadzi do góry. Kiedy się ruszam, wygina się tak jak ja i rusza razem ze mną. Nie jestem więc sam. Również każdy kąt w piwnicy ma swój drut, i wszyscy w obozie. I żaden drut nie dotyka drugiego drutu. Jest to pedantycznie uporządkowany las drutów nad naszymi głowami. Każdy oddycha na swoim miejscu ze swoim drutem. Wieża chłodnicza oddycha nawet podwójnie, ponieważ chmura wieży chłodniczej ma prawdopodobnie swój własny drut. Książka nie orientuje się jednak zbyt dobrze w obozie. Również anioł głodu ma swój drut Minkowskiego. Ale w książce nie było mowy o tym, czy anioł głodu za każdym razem zostawia swój drut przy nas i dlatego wcale nie odchodzi, kiedy mówi, że wróci. Może anioł głodu czułby respekt przed książką, powinienem był wziąć ją ze sobą.

Na piwnicznej ławce prawie zawsze milczę i zaglądam sobie do głowy jak do pokoju przez jasną szczelinę w drzwiach. W książce było również napisane, że każdy zawsze i wszędzie ogląda swój własny film. W każdej głowie rolka przesuwana szesnastą obrazów na sekundę, **PRAWDOPODOBIENSTWO POBYTU** też było pojęciem z *Ty i fizyka*. Jakby wcale nie było pewne, że jestem tutaj, i jakbym wcale nie musiał chcieć się stąd wydostać, żeby tutaj nie być. A jest tak, ponieważ w jednym miejscu, a więc w piwnicy, jestem jako ciało cząstką, ale poprzez mój drut Minkowskiego jestem jednocześnie falą. I jako fala mogę być również gdzie indziej, a ktoś, kogo tutaj nie ma, może być przy mnie. Mogę sobie kogoś wyszukać. Lepiej nie osobę, lepiej przedmiot, który pasuje do warstw ziemi w piwnicy. Na przykład SAURER. Elegancki autobus, ciemnoczerwony, z chromowanymi poręczami, który jeździł

między Hermannstadt a Salzburgiem, nazywał się Saurer. Saurerem mama z ciotką Fini jeździły latem do wód do Ocna - - Bai, dziesięć kilometrów za Hermannstadt. Kiedy wracały, lizałem ich nagie ręce, żeby poczuć, jak słona jest tam woda. A one opowiadały o perłowych łuskach z płytek soli między źdźbłami trawy na łące. Przez jasną szczelinę w drzwiach, którą miałem w głowie, rozpędzałem autobus Saurer między mną a piwnicą. On też ma swoją jasną szczelinę w drzwiach i swój drut Minkowskiego. Nasze druty również nigdy się nie dotykają, ale nasze jasne szczeliny w drzwiach spotykają się pod żarówką, gdzie wiruje lotny popiół ze swoim drutem Minkowskiego. A obok mnie na ławce milczy Albert Gion ze swoim drutem Minkowskiego. A ławka jest deską milczenia, ponieważ Albert Gion nie może mi powiedzieć, w którym filmie właśnie przebywa, tak jak ja nie mogę mu powiedzieć, że mam tutaj w piwnicy ciemnoczerwony autobus z chromowanymi poręczami. Każda zmiana jest dziełem sztuki. Ale jej drut Minkowskiego jest jedynie stalową liną z kursującymi w kółko wagonikami. A każdy wagonik ze swoim drutem jest tylko furą żużlu dwanaście metrów pod ziemią.

Czasem wydaje mi się, że umarłem sto lat temu i podeszwy moich stóp są przezroczyste. Kiedy przez jasną szczelinę w drzwiach zaglądam sobie do głowy, chodzi mi w zasadzie jedynie o tę upartą, płochliwą nadzieję, że ktoś gdzieś kiedyś omnie myśli. Nawet jeśli nie może wiedzieć, gdzie właśnie jestem. Być może jestem starym mężczyzną ze szczerbą między zębami w górnym lewym rogu ślubnego zdjęcia, którego wcale nie ma, a jednocześnie chudym dzieckiem na szkolnym podwórku, którego też nie ma. I tak samo jestem rywalem i bratem zastępczego brata, który jest moim rywalem, ponieważ istniejemy równocześnie. Ale też nie - równocześnie, ponieważ jeszcze nigdy, a więc w żadnym czasie, nie widzieliśmy się.

A jednocześnie wiem, że to, co anioł głodu rozumie przez moją śmierć, jak dotąd jeszcze mi się nie przytrafiło.

Czarne psy

Wychodzę z piwnicy na poranny śnieg, śnieg oślepia. Na wieżach strażniczych stoją cztery posągi z czarnego żużlu. Te posągi to nie żołnierze, tylko cztery czarne psy. Pierwszy i trzeci posąg ruszają głowami, drugi i czwarty stoją nieruchomo. Potem pierwszy pies porusza nogami, a czwarty karabinem, a drugi i trzeci stoją nieruchomo.

Śnieg na dachu kantyny jest białym płótnem. Dlaczego Fenja położyła chlebowe płótno na dachu. Chmura wieży chłodniczej jest białym dziecięcym wózkiem, jedzie do ruskiej osady, do białych brzoź. Kiedy moja biała chusteczka z batystu już trzecią zimę leżała w walizce, zapukałem pewnego dnia, zebrząc, do drzwi starej Rosjanki. Otworzył mężczyzna

w moim wieku. Spytałem, czy nazywa się Borys. Powiedział NIET. Czy mieszka tutaj stara kobieta, spytałem. Powiedział NIET.

W stołówce będzie zaraz chleb. Pewnego razu, gdy będę sam przy chlebowym okienku, zbiorę się na odwagę i spytam Fenję: Kiedy pojedę do domu. Jestem już prawie posągiem z czarnej szlaki. Fenja powie: Masz w piwnicy szyny i górę. Wagoniki jeżdżą przecież ciągle do domu, zabierz się z nimi. Dawniej chętnie jeździłeś pociągiem w góry. Ale wtedy byłem jeszcze w domu, powiem. No widzisz, powie Fenja, i znowu tak będzie.

Teraz jednak przechodzę przez drzwi stołówki i ustawiam się w kolejce do okienka. Chleb jest przykryty białym śniegiem z dachu. Mógłbym stanąć na końcu kolejki, żeby być sam na sam z Fenją, kiedy dostanę chleb. Ale brak mi odwagi, ponieważ Fenja jak co dzień w swojej zimnej świętości ma na twarzy trzy nosy, dwa z nich to dzioby wagi.

Łyżka mniej, łyżka więcej

I znowu był adwent. W osłupienie wprawiło mnie moje druciane drzewko z zieloną choinkową wełną, które pojawiło się na stoliku w baraku. Adwokat Paul Gast przechował je w walizce i ozdobił tym razem trzema bombkami z chleba. Ponieważ jesteśmy w trzecim roku, powiedział. Myślał, że nikt nie wie, że może fundować chlebowe bombki, ponieważ kradnie chleb żonie.

Jego żona, Heidrun Gast, mieszkała w baraku dla kobiet, małżeństwa nie mogły mieszkać razem. Heidrun Gast miała już twarz martwej małpki, szparkowaty pysk od ucha do ucha, białego zająca we wgłębieniach policzków i zapuch - nięte oczy. Od lata pracowała w warsztacie, napelniała akumulatory. Od kwasu siarkowego jej twarz była podziurawiona bardziej niż kufajka.

W kantynie codziennie było widać, co anioł głodu robi z małżeństwa. Adwokat szukał swojej żony jak strażnik. Jeżeli siedziała już między innymi przy stole, ciągnął ją za rękę i stawiał jej zupę obok swojej. Kiedy na chwilę odwracała wzrok, zanurzał łyżkę w jej talerzu. Jeśli zauważyła, mówił: Łyżka mniej, łyżka więcej.

Drzewko z chlebowymi bombkami stało jeszcze na stole w baraku, a Heidrun Gast umarła w tym ledwo rozpoczętym styczniu. Chlebowe bombki wisiały jeszcze na drzewku, a Paul Gast nosił już płaszcz żony z okrągłym kołnierzykiem i wytartymi klapami kieszeni z zajęczego futra. I częściej niż dotąd chodził się golić.

W połowie stycznia płaszcz nosiła nasza śpiewaczka Ilona Mich. I adwokat bywał u niej za kocem. Golibroda spytał pewnego dnia: Macie w domu dzieci.

Adwokat powiedział: Ja mam.

Ile, spytał golibroda.

Trójkę, powiedział adwokat.

Jego zamrożone oczy wpatrywały się spod piany w drzwi. Tam na haku wisiała moja watowana czapka z nausznikami, jak ustrzelona kaczka. Adwokat westchnął głęboko, aż kawał piany z grzbietu ręki golibrody zleciał na podłogę. Tam, gdzie spadł, między nogami krzesła, kalosze adwokata stały prawie na palcach. Były przywiązane pod podeszwą i do kostek błyszczącym, nowym miedzianym drutem.

Anioł głodu był raz moim adwokatem

Nie opowiadajcie tego nigdy mojemu mężowi, powiedziała Heidrun Gast. Było to tego dnia, kiedy siedziała między Trudi Pelikan a mną, ponieważ adwokat Paul Gast nie przyszedł jeść. Ropiały mu zęby. Tego dnia Heidrun Gast mogła mówić.

Opowiedziała, że w suficie między warsztatem samochodowym a zniszczoną przez bomby halą fabryczną jest dziura wielka jak korona drzewa. W hali fabrycznej na górze sprzątają gruz. Czasem w dole, w warsztacie, leży na podłodze kartofel, zrzuca go dla Heidrun Gast pewien mężczyzna. Zawsze ten sam. Heidrun Gast spogląda na niego w górę, a on patrzy na nią w dół. Nie mogą rozmawiać, on jest na górze tak samo pilnowany jak ona w warsztacie. Mężczyzna ma na sobie kufajkę w paski, jest niemieckim jeńcem wojennym. Ostatnio między skrzynkami z narzędziami leżał bardzo mały kartofel. Być może Heidrun Gast nie znalazła go od razu i leżał tam już jeden czy dwa dni. Albo mężczyzna zrzucił go szybciej niż zazwyczaj, albo kartofel potoczył się dalej niż zazwyczaj, ponieważ był tak mały. A może mężczyzna chciał go celowo rzucić gdzie indziej. W pierwszej chwili Heidrun Gast nie była pewna, czy kartofel jest rzeczywiście od mężczyzny z góry, czy też został podłożony przez naczelnika, żeby wciągnąć ją w pułapkę. Przesunęła kartofel czubkiem buta pod schody, tak że mógł go zobaczyć tylko ktoś, kto wiedział, że tam leży. Chciała się upewnić, czy naczelnik jej nie śledzi. Dopiero tuż przed fajrantem wzięła kartofel i poczuła, podnosząc go, że był obwiązany nitką. Tego dnia Heidrun Gast spoglądała jak zawsze przez dziurę do góry tak często, jak tylko mogła, nie zobaczyła jednak mężczyzny. Kiedy wieczorem przyszła do baraku, przegryzła nitkę. Kartofel był przecięty. Między połówkami kartofla leżał strzep materiału. Było na nim napisane: **ELFRIEDE RO, UL. ER, ENSBU** i na samym dole **EUTSCHLA**. Pozostałe litery były wyżarte przez skrobię. Kiedy adwokat po stołkówym żarciu poszedł do swojego baraku, Heidrun Gast wrzuciła strzepy do późnego ogniska na dziedzińcu i upiekła dwie połówki kartofla. Wiem, powiedziała, że zjadłam wiadomość, było to sześćdziesiąt jeden dni temu. Na pewno nie puścili go do domu, w żadnym wypadku też nie umarł, był jeszcze zdrowy. Zniknął z powierzchni ziemi, powiedziała, jak ten kartofel w moich ustach. Brakuje mi go.

W jej oczach drgała cienka lodowa skóra. Wgłębienia policzków kleiły się białowłosiście do kości. Nie mogło być tajemnicą dla jej anioła głodu, że nic z niej już nie wyciśnie. Było mi nieswojo, jakby anioł głodu miał ją tym szybciej opuścić, im więcej mi ona powierzy. Jakby wprowadzał się do mnie.

Tylko anioł głodu mógł zabronić Paulowi Gastowi kraść żonie jedzenie. Ale anioł głodu sam jest przecież złodziejem. Wszystkie anioły głodu znają się między sobą, pomyślałem, tak jak my się znamy. Wszystkie wykonują nasze zawody. Anioł głodu Paula Gasta jest adwokatem, tak jak on. A ten od Heidrun Gast jest tylko jego wyrobnikiem. Również mój jest tylko wyrobnikiem, kto wie czym.

Powiedziałem: Heidrun, jedz zupę.

Nie mogę, powiedziała.

Sięgnąłem po jej zupę. Również Trudi Pelikan zerknęła na nią. Również Albert Gion po drugiej stronie stołu. Łyżkę po łyżce podnosiłem zupę do ust, nie liczyłem łyżek. Nie siorbałem nawet, bo trwałoby to dłużej. Jadłem wyłącznie dla siebie, bez Heidrun Gast i Trudi Pelikan, i Alberta Giona. Zapomniałem o wszystkim wokół mnie, o całej stołówce. Wciągałem zupę do serca. Nad tym talerzem mój anioł głodu nie był wyrobnikiem, tylko adwokatem.

Pusty talerz przesunąłem w stronę Heidrun Gast, do jej lewej ręki, aż dotknął jej małego palca. Oblizwała swoją nieużywaną łyżkę i wytarła ją do sucha o kurtkę, jakby to ona jadła, nie ja. Albo jakby nie wiedziała już, czyje, czy się przygląda. Albo jakby chciała udawać, że to ona jadła. Tak czy inaczej widać było jej anioła głodu wyciągniętego w szparkowatym pysku, na zewnątrz łaskawie bladego, w środku ciemnoniebieskiego. Nie można było wykluczyć, że potrafił stać nawet poziomo. I było pewne, że w farfoclastej wodzie kapuśniaka liczył jej dni. Może być jednak i tak, że zapomniał o Heidrun Gast i surowiej ustawił wagę na moim jęczyczku. Że podczas jedzenia liczył, ile i kiedy zdoła ze mnie wycisnąć.

Mam plan

Okpię wagę, kiedy anioł głodu będzie mnie ważył.

Będę tak lekki jak mój zaoszczędzony chleb. I równie trudny do ugryzienia.

Zobaczysz, mówię sam do siebie, to jest krótki plan, który długo przetrwa.

Błaszany pocałunek

Po kolacji poszedłem na nocną zmianę do piwnicy. Niebo się przejaśniało. Od ruskiej osady nadleciało nad obóz stado ptaków jak szary łańcuszek. Nie wiem, czy ptaki piszczą w górze w przejaśnieniu, czy też w moich ustach na podniebieniu. Nie wiem również, czy

piszcza dziobami, czy też pocierają nogami, a może mają w skrzydłach stare kości bez chrząstek.

Nagle kawałek łańcuszka oderwał się, tworząc wąsy. Trzy z nich wleciały żołnierzowi z tylnej wieży strażniczej pod czapkę, prosto w czoło. Długo tam zostały. Dopiero kiedy przy bramie fabrycznej obejrzałem się ponownie, wyleciały spod czapki, z potylicy. Karabin się chygotał, strażnik zamarł w bezruchu. Pomyślałem, że jest zbudowany z drewna, a jego karabin z mięsa.

Nie chciałem się zamienić ani ze strażnikiem z wieży, ani z łańcuszkiem ptaków. Nie chciałem też być żuźlowym robotnikiem, który co wieczór schodzi sześćdziesiąt cztery stopnie w dół do piwnicy. Ale zamienić się chciałem. Myślę, że chciałem być karabinem.

Na nocnej zmianie wysypywałem jak zawsze wagonik po wagoniku, a Albert Gion szedł pchać. Potem się zamienialiśmy. Gorący żużel okrywał nas zasłoną dymną. Rozżarzone kawałki pachniały żywicą jodłową, a moja przepocona szyja herbatą z miodem. Albertowi Gionowi białka huštały się jak dwa obrane jajka, a zęby jak grzebień od wszy. Jego czarna twarz nie towarzyszyła mu w piwnicy.

W przerwie na ławce milczenia mały koksowy ogień oświetlał nasze buty do kolan. Albert Gion rozpiął kurtkę i spytał: Czy Heidrun Gast bardziej brakuje Niemca, czy kartofli. Na pewno już częściej przegryzała nitkę, kto wie, co było napisane na innych strzępkach. Adwokat ma rację, że kradnie jej jedzenie. Stare małżeństwo budzi głód, niewierność syci. Albert Gion lekko dotknął mojego kolana. Na znak, że minęła przerwa, pomyślałam. Ale on powiedział: Jutro ja dostanę zupę, co na to twój drut Minkowskiego. Mój drut Minkowskiego milczał. Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Mojej czarnej ręki nie było widać na ławce. Jego też nie.

Następnego dnia Paul Gast mimo ropiejących zębów siedział obok żony w kantynie. Mógł znowu jeść, a Heidrun Gast mogła znowu milczeć. Mój drut Minkowskiego mógł tylko powiedzieć, że byłem rozczarowany, co nie było rzadkością. I że Albert Gion był tak napastliwy jak nigdy. Chciał zepsuć adwokatowi jedzenie i szukał zwady. Zarzucał mu głośnie chrapanie. Wtedy ja zrobiłem się napastliwy i zapewniłem Alberta Giona, że on chrapie głośniejsz niż adwokat. Albert Gion wściekł się, ponieważ zepsułem mu kłótnię. Podniósł na mnie rękę, a jego koścista twarz przypominała głowę konia. A gdy myśmy się jeszcze kłócili, adwokat już dawno zanurzył łyżkę w talerzu żony. Jej łyżka zanurzała się coraz rzadziej, jego coraz częściej. On siorbał, a ona zaczęła kaszleć, żeby zająć czymś usta. Kaszląc, zasłaniała usta, odchylając jak dama mały palec, który był tak przeżarty kwasem siarkowym i tak brudny od smaru, jak wszystkie palce w kantynie. Czyste ręce miał tylko golibroda Oswald

Enyeter, ale były one równie ciemne jak nasze, brudne: porastały je włosy tak gęste, jakby pożyczył je od ziemnego psa. Również Trudi Pelikan miała czyste ręce, odkąd została pielęgniarką. Czyste, ale zabarwione żółtobrązowo od nacierania chorych ichtiolem.

Gdy zastanawiałem się nad odchylonym małym palcem Heidrun Gast i stanem naszych rąk, przyszedł Karli Halmen i chciał się ze mną zamienić na chleb. Nie miałem głowy do wymiany, odmówiłem i pozostałem przy własnym chlebie. Zamienił się z Albertem Gionem. Wtedy zrobiło mi się żal, chleb, który gryzł właśnie Albert Gion, wydał mi się o jedną trzecią większy od mojego.

Wkoło przy wszystkich stołach pobrzękiwała blacha. Każda łyżka zupy to blaszany pocałunek, pomyślałem. A własny głód jest dla każdego obcą mocą. Jak dobrze wiedziałem to w tej chwili, jak szybko znowu o tym zapomniałem.

Bieg rzeczy

Nagą prawdą jest, że adwokat Paul Gast kradł swojej żonie Heidrun Gast zupę z talerza, aż któregoś dnia nie wstała i umarła, ponieważ nie mogła inaczej, tak jak i on kradł jej zupę, ponieważ jego głód nie mógł inaczej, i nosił jej płaszcz z okrągłym kołnierzem i wytartymi klapami z zajęczego futra i nie mógł nic poradzić na to, że umarła, tak jak i ona nie mogła poradzić na to, że kiedyś nie wstała, tak jak nasza śpiewaczka Loni Mich nosiła płaszcz i nic nie mogła poradzić na to, że przez śmierć żony adwokata zwolnił się płaszcz, tak jak adwokat nic nie mógł poradzić na to, że również on był wolny poprzez śmierć żony i że chciał ją zastąpić Loni Mich, tak jak i Loni Mich nic nie mogła poradzić na to, że chciała mieć mężczyznę za parawanem z koca albo płaszcz, albo że nie dało się tego rozdzielić, tak jak i zima nic nie mogła poradzić na to, że była lodowato zimna, a płaszcz nie mógł nic poradzić na to, że dobrze ogrzewał, tak jak dni nie mogły nic poradzić na to, że były łańcuchem przyczyn i skutków, tak jak przyczyny i skutki nic nie mogły poradzić na to, że były nagą prawdą, chociaż chodziło o płaszcz.

Taki był bieg rzeczy: Ponieważ nikt z nas nie mógł na to nic poradzić, nikt nie mógł poradzić nic na nic.

Biały zajac

Tato, biały zajac wygania nas z życia. Na coraz liczniejszych twarzach rośnie w zagłębieniach policzków.

Jeszcze niewyrośnięty, przygląda się mojemu mięsu od wewnątrz, ponieważ należy ono również do niego. Hazo - wyj...

Jego oczy to węgielki, jego pyszczek - blaszany talerz, jego nogi - pogrzebacze, jego brzuch - wagonik w piwnicy, jego droga - stromo pod górę.

Jeszcze siedzi we mnie, sprawiony i różowy, i czeka ze swoim własnym nożem, który jest także chlebowym nożem Fenji.

Tęsknota za domem. Jakbym jej potrzebował

Siedem lat od powrotu do domu to siedem lat bez tęsknoty za nim: bez **heim weh**. Kiedy na wystawie księgarni na Grosser Ring zobaczyłem *Słońce też wschodzi* Hemingwaya, przeczytałem: *Słońce też wschodzi* Heimweha. Dlatego kupiłem książkę i udałem się w tęsknotę za domem, w drogę do domu.

Są słowa, które robią ze mną, co chcą. Są zupełnie inne niż ja i myślą inaczej, niż można by się po nich spodziewać. Przychodzą mi do głowy, żebym pomyślał, że istnieją rzeczy pierwsze, które chcą czegoś drugiego, czegoś wykraczającego poza nie, nawet jeśli ja tego nie chcę. Tęsknota za domem. Jakbym jej potrzebował.

Są słowa, które celują we mnie, jakby były zrobione tylko po to, żeby umożliwić nawrót obozu, poza samym słowem **nawrót**. To słowo jest bezużyteczne, kiedy zdarzy się nawrót. Bezużyteczne jest też słowo **wspomnienie**. Również słowo **okaleczenie** na nic się nie zdaje przy nawrocie. Słowo **doświadczenie** także nie. Kiedy mam do czynienia z tymi bezużytecznymi słowami, muszę udawać głupszego, niż jestem. One zaś są po każdym spotkaniu ze mną jeszcze twardsze, niż były.

Masz wszy na głowie, w brwiach, na karku, pod pachami, we włosach łonowych. Masz pluskwy na pryczy, jesteś głodny.

Nie mówisz jednak: Mam wszy i pluskwy i jestem głodny. Mówisz: Tęsknię za domem. Jakbyś tej tęsknoty potrzebował.

Niektórzy mówią i śpiewają, i milczą, i chodzą, i siedzą, i śpią swoją tęsknotę za domem, tak długo i tak nadaremnie. Niektórzy mówią, tęsknota za domem traci z czasem swą treść, tli się i pożera, ponieważ nie dotyczy już konkretnego domu. Należę do tych, którzy tak mówią.

Wiem już, że w zakresie wszy istnieją trzy rodzaje tęsknoty za domem: wesz głowowa, łonowa i odzieżowa. Wesz głowowa pełza i swędzi na skórze głowy, za uszami, w brwiach, u nasady włosów na karku. Kiedy swędzi na karku, może to być również wesz odzieżowa na kołnierzu koszuli.

Wesz odzieżowa nie pełza. Siedzi w szwach ubrania. Nazywa się odzieżowa, ale nie żyje niemi. Wesz łonowa pełza i swędzi we włosach łonowych. Słów włosy łonowe nigdy nie wypowiedzieliśmy. Mówiło się: Swędzi mnie na dole.

Wszy są różnej wielkości, ale wszystkie są białe i wyglądają jak małe raki. Kiedy rozgniata się je między paznokciami kciuków, trzaskają sucho. Na jednym paznokciu zostaje

wodnista plama po wszy, a na drugim lepka plama krwi. Jajeczka wszy są bezbarwne, nanizane jedno za drugim jak szklany różaniec lub przezroczysty groszek w strączku. Wszy są niebezpieczne tylko wtedy, kiedy mają dur plamisty lub tyfus. Poza tym da się z nimi żyć. Można się przyzwyczać do tego, że wszędzie swędzi. Mogłoby się здаwać, że wszy przechodziły po grzebieniu w golarni z jednej głowy na drugą. Wcale nie było to konieczne, pełzały w baraku od łóżka do łóżka. Nogi łóżek wstawialiśmy do puszek z wodą, żeby odciąć wszom drogę. Ale były tak głodne jak my i zawsze sobie radziły. W trakcie apelu, w kolejce po jedzenie, przydługich stołach w kantynie, podczas pracy przy za - i rozładunku, w przerwie na papierosa, również tańcząc tango, dzieliliśmy się wszami.

Golono nas na łyso, mężczyzn w golarni Oswalda Enyetera. Kobietami zajmowała się rosyjska felczerka w komórce z desek obok baraku dla chorych. Po pierwszym goleniu kobietom pozwolono zabrać warkocze i schować je w walizkach na pamiątkę.

Nie wiem, dlaczego mężczyźni nie iskali się nawzajem. Kobiety codziennie pochylały ku sobie głowy, snuły opowieści, śpiewały i wybierały wszy z włosów.

Lommer Cytra już pierwszej zimy wiedział, jak pozbyć się wszy z wełnianego swetra. O zmierzchu przy lekkim mrozie trzeba wygrzebać trzydziestocentymetrową dziurę w ziemi, wepchnąć do niej sweter, tak żeby wystawał tylko rożek długości palca, a potem zasypać dziurę. W nocy wszystkie wszy wylażą ze swetra. O świcie siedzą zbite w białą bryłkę na rożku. Wtedy można rozdeptać wszystkie naraz.

Kiedy nadszedł marzec i ziemia nie była już zamrznięta na metr, kopaliśmy dziury między barakami. Rożki swetrów wystawały codziennie z ziemi jak wydziergany na drutach ogród. O świcie zakwitał białą pianą jak kalafior. Rozdeptywaliśmy wszy i wyciągaliśmy swetry z ziemi. Znowu nas ogrzewały, a Lommer Cytra mówił: Ubrania nie umierają, nawet jeśli się je pogrzebie.

Siedem lat po powrocie do domu od siedmiu lat nie miałem wszy. Ale kiedy na talerzu widzę kalafior, od sześćdziesięciu lat jem wszy z rożka swetra o świcie. Również bita śmietana do dziś nie jest dla mnie puszystym ukoronowaniem deseru.

Od drugiego roku co sobota do odwszawiania służyła oprócz pryszniców ETUBA - komora z powietrzem rozgrzanym do ponad stu stopni Celsjusza. Wieszaliśmy ubrania na żelaznych hakach, krążyły w kółko na rolkach jak wózki suwnicowe w rzeźniczej chłodni. Prażenie ubrań trwało dłużej niż nasza kąpiel pod prysznicem - mniej więcej półtorej godziny. Po prysznicu staliśmy nadzy w przedsiönku i czekaliśmy. Powykrzywiane, pokryte strupami postaci, nago wyglądaliśmy jak wybrakowane bydło robocze. Nikt się nie wstydził. Nie było się czego wstydzić, skoro nie miało się ciała. Chociaż to z jego powodu byliśmy w obozie,

aby wykonywać pracę fizyczną. Im mniej się miało ciała, tym bardziej było się z jego powodu karanym. Ta powłoka należała do Rosjan. Przed innymi nigdy się nie wstydzilem, tylko przed sobą. Przed takim sobą, jakiego znałem kiedyś, z gładką skórą w kąpielisku Neptuna, gdzie lawendowa para i łapczywe szczęście wprawiały mnie w zmieszanie. Gdzie nigdy nie myślałem o wybrakowanym bydle roboczym na dwóch nogach.

Kiedy ubrania opuszczały etubę, śmierdziały gorąco i słono. Materiał był osmalony i kruchy. Po dwóch, trzech od - wszawianiach przeszmurowane buraki cukrowe zamieniały się w etubie w kandyzowane owoce. Ja nigdy nie miałem buraków w etubie. Miałem serdeczną łopatę, węgiel, cement, piasek, szlakobloki i piwniczne worki. Miałem dzień zgrozy przy kartoflach, ale ani jednego dnia na polu przy burakach. Tylko mężczyźni, którzy ładowali i rozładowywali w kolchozie buraki, mieli w etubie kandyzowane owoce. Kandyzowane owoce znałem z domu: szkliscie zielone, malinowoczerwone, cytrynowożółte. Jak ozdobne kamyczki tkwiły w keksie i między zębami, kiedy się je jadło. Kandyzowane buraki były ziemiście brązowe, obrane wyglądały jak polukrowane pięści. Kiedy widziałem, jak inni je jedli, tęsknota za domem jadła keks, a żołądek się kurczył.

W noc sylwestrową czwartego roku jadłem w żeńskim baraku kandyzowane buraki - tort. Nie został upieczony, zbudowała go Trudi Pelikan. Zamiast kandyzowanych owoców - kandyzowane buraki, zamiast orzechów - pestki słonecznika, zamiast mąki - śruta kukurydziana, zamiast na talerzykach do ciasta - na fajansowych kafelkach z umieralni baraku dla chorych. Każdy dostał też po jednym papierosie z bazaru - LUCKY STRIKE. Pociągnąłem dwa razy i byłem pijany. Głowa unosiła mi się przed ramionami i zlewała z twarzami innych, pryce wirowały. Śpiewaliśmy bluesa bydlęcych wagonów kołysaliśmy się w takt muzyki:

W lesie kwitnie wawrzynek, W rowie leży śnieg, Wczoraj do mnie napisałeś, Twój liścik rani mnie.

Kati Straż siedziała nad swoim kawałkiem tortu przy stoliku pod służbową żarówką. Patrzyła na nas apatycznie. Jednak kiedy piosenka dobiegła końca, Kati zakołysała się na krześle i zabuczała: uuu, uuu.

Było to głębokie uuu, głuchy ton deportacyjnej lokomotywy z ostatniego postoju podczas śnieżnej nocy cztery lata temu. Zamarłem, niektórzy płakali. Również Trudi Pelikan usunęła się ziemia spod nóg. A Kati Straż przyglądała się łzom jadła tort. Widać było, że jej smakował.

Są słowa, które robią ze mną, co chcą. Nie wiem, czy rosyjskie słowo wosz oznacza pluskwę, czy wesz. Ja mówiąc wosz, mam na myśli zarówno pluskwy, jak i wszy. Może słowo wcale nie zna swoich zwierząt. Ale ja je znam.

Pluskwy wspinają się po ścianach i w ciemności spadają z sufitu na łóżka. Nie wiem, czy kiedy jest jasno nie spadają, czy też wtedy tylko ich nie widać. Również dla ochrony przed pluskwami światło świeci się w barakach całą noc.

Nasze prycze są z żelaza. Zardzewiałe drągi z chropowatymi spoinami. W nich pluskwy mogą się rozmnażać, tak jak w nieheblowanych deskach pod workami ze słomą. Kiedy pluskwy są górami, musimy, zazwyczaj w sobotę lub niedzielę, wynosić łóżka na zewnątrz. Mężczyźni z fabryki sporządzili druciane szczotki. Stelaże i deski robią się pod szczotkami czerwonobrazowe od krwi zgniecionych pluskiew. Ambitnie uczestniczymy w odgórnie zarządzonym tępieniu pluskiew. Chcemy wyczyścić łóżka i mieć spokój w nocy. Chętnie patrzymy na krew pluskiew, ponieważ jest to nasza krew. Im więcej krwi, tym więcej przyjemności sprawia szczotkowanie. Cała nienawiść zostaje z nas wywabiona. Szczotkujemy pluskwy na śmierć i jesteśmy przy tym tak dumni, jakby to byli Rosjanie.

Potem jak cios w głowę spada na nas zmęczenie. Zmęczona duma zasmuca. Skurczyła się podczas szczotkowania, do następnego razu. Z wiedzą o daremności tego wszystkiego wnosimy odpluskwione łóżka do baraków. Z nędzną skromnością w najwęższym tego słowa znaczeniu mówimy: Teraz może przynajmniej zapaść noc.

Sześćdziesiąt lat później śni mi się: Jestem deportowany po raz drugi, trzeci, czasem nawet siódmy. Stawiam gramofonową walizkę przy studni i błąkam się po placu apelowym. Nie ma brygad ani naczelnika. Nie mam pracy. Zapomniał omnie świat i nowe kierownictwo obozu. Powołuję się na doświadczenie obozowego weterana. Mam w końcu moją serdeczną łopatę, moje dzienne i nocne zmiany zawsze były dziełami sztuki, wyjaśniam. Nie jestem przecież byle przybłądą, co nieco potrafię. Znam się na piwnicy i żużlu. Z czasów pierwszej deportacji mam kawałek żużlu wielkości żuka wrośnięty niebieskoczarno w piszczel. Pokazuję miejsce na piszczeli niczym order za bohaterstwo. Nie wiem, gdzie mam spać, wszystko jest tutaj nowe. Gdzie są baraki, pytam. Gdzie jest Bea Zakel, gdzie jest Tur Prikulicz. Kulejąca Fenja w każdym śnie ma inny sweter i zawsze tę samą szarfę z białego chlebowego płótna. Mówi, że w obozie nie ma żadnego kierownictwa. Czuję się zaniedbany. Nikt mnie tutaj nie chce, ale w żadnym przypadku nie wolno mi odejść.

Do jakiego obozu trafił sen. Czy sen obchodzi w ogóle to, że serdeczna łopata i żużlowa piwnica istniały naprawdę. Że pięć uwięzionych lat wystarczy mi w zupełności. Czy sen chce mnie deportować wciąż na nowo, a w siódmym obozie nie daje mi nawet pracy. To jest naprawdę obraźliwe. Nie mogę mu się nijak przeciwstawić, nieważne, po raz który mnie deportuje i w jakim obozie właśnie jestem.

Jeśli w tym życiu miałbym zostać jeszcze raz deportowany, wiedziałbym: istnieją

rzeczy pierwsze, które chcą czegoś drugiego, nawet jeśli ja tego nie chcę. Co pcha mnie do tej zażyłości. Dlaczego chcę mieć nocą prawo do mojej nędzy. Dlaczego nie mogę być wolny. Dlaczego zmuszam obóz, żeby należał do mnie. Tęsknota za domem. Jakbym jej potrzebował.

jasna chwila

Któregoś popołudnia Kati Straż siedziała już nie wiadomo od jak dawna przy drewnianym stoliku w baraku. Prawdopodobnie z powodu zegara z kukułką. Kiedy wszedłem, spytała:

Mieszkaś tutaj.

Powiedziałem: Tak.

Ja też, odparła, ale za kościołem. Przeprowadziliśmy się wiosną do nowego domu. Wtedy umarł mój mały brat. Był stary.

Powiedziałem: Ale on był przecież młodszy od ciebie.

Był chory, wtedy człowiek się starzeje, powiedziała. Założyłam jego buty i poszłam do starego domu. Na podwórku był stary mężczyzna. Mężczyzna spytał, jak się tutaj znalazłam. Pokazałam mu buty. Wtedy powiedział, następnym razem przyjdź na głowie. co zrobiłaś, spytałem.

Poszłam do kościoła, powiedziała.

Spytałem: A jak nazywał się twój mały brat?

Powiedziała: Latzi, tak jak ty.

Ale ja się nazywam Leo, powiedziałem.

Może u was w domu, ale tutaj nazywasz się Latzi, powiedziała.

Taka jasna chwila, pomyślałem, w imieniu jest niemiecka wesz, Laus. Latzi pochodzi od Ladislaus.

Kati Straż wstała, zgarbiła się, od drzwi spojrzała raz jeszcze na zegar z kukułką. Ale jej prawe oko zezowało w moją stronę, tak jak obraca się stare mydło. Podniosła palec wskazujący i powiedziała:

Wiesz co, nie machaj do mnie więcej w kościele.

Lekkomyślność jak siano

Latem wolno nam było tańczyć na zewnątrz, na placu apelowym. Jaskółki leciały za swoim głodem, tuż przed nastaniem nocy drzewa były już ciemno postrzępione, chmury nabiegły czerwienią. Potem nad stołówką wisiał księżyc cienki jak palec. Bębnienie Kowatscha Antona niósł wiatr, pary kołysały się na placu apelowym jak zarośla. Falami dzwonił dzwonek baterii koksowniczej. Za nim docierał do nas odblask żaru z fabryki i

przyświecał nam przez chwilę z nieba. Póki światło nie znikło, widać było trzęsącą się głowę śpiewającej Loni i ciężkie oczy akordeonisty Konrada Fonna, zawsze skierowane w bok, gdzie nie było niczego i nikogo.

Było coś zwierzęcego w tym, jak Konrad Fonn rozciągał ścisnął żebra akordeonu. Jego powieki byłyby wystarczająco ciężkie na sprośności, ale pustka w jego oczach była za zimna. Muzyka go nie poruszała. Odpędzał od siebie piosenki, które wślizgiwały się w nas. Jego akordeon grał głucho i powłóczyście. Odkąd Lommer Cytra wsiadł, jak wieść niesie, w Odessie na statek do domu, w orkiestrze brakowało ciepłych, jasnych tonów. Może akordeon był tak rozstrojony jak muzykant i wątpił, czy to rzeczywiście taniec, kiedy deportowani kołyszają się parami na placu apelowym jak zarośla.

Kati Straż siedziała na ławce i machała nogami w takt muzyki. Kiedy jakiś mężczyzna chciał z nią zatańczyć, uciekała w ciemność nocy. Czasem tańczyła z jedną z kobiet, wyciągała przy tym szyję i patrzyła w niebo. Przy zmianie kroku nie wypadła z rytmu, musiała kiedyś dużo tańczyć. Kiedy siedziała na ławce i widziała, że pary za bardzo się do siebie kleją, rzucała kamykami. To nie była zabawa, miała przy tym poważną minę. Albert Gion powiedział, że większość z nas zapomina o placu apelowym i myśli, że jesteśmy w altanie z parkietem do tańca. Nigdy więcej nie zatańczy z Zirri Wandschneider, jest jak rzep i chce mu się koniecznie oddać. Ale przecież tutaj, w ciemności, uwodzi muzyka, nie on. W zimowej *Palomie* uczucia były sztywne i plisowane jak żebra akordeonu, zamknięte w stołówce. Letni taniec przysypywał melancholię lekkomyślnością jak sianem. Okna baraków połyskiwały słabiutko, bardziej czuliśmy się nawzajem, niż widzieli. Trudi Pelikan była zdania, że w altanie do tańca tęsknota za domem skapuje z głowy do brzucha. Wzór par zmienia się co godzinę, są to tęskne pary.

Myślę, że mieszanki przychylności i perfidii powstające podczas kojarzenia się w pary były tak różne i może tak nędzne jak mieszanki węgla. Mieszać można jednak tylko to, co się ma. Nie można, trzeba. Dlatego ja musiałem trzymać się z dala od wszystkich mieszanek i uważać, żeby nikt nie przeczuł dlaczego.

Akordeonista przeczuwał prawdopodobnie, miał w sobie coś nieprzystępnego. Czułem się urażony, chociaż napawał mnie odrazą. Nie mogłem się oprzeć: patrzyłem mu w twarz tak długo i tak często, jak często żar z fabryki rozjaśniał niebo. Co kwadrans widziałem nad akordeonem jego szyję z psią głową i przerażająco wywróconymi białymi oczami z kamienia. Potem niebo znów było ciemną nocą. A ja czekałem kwadrans, żeby psia głowa raz jeszcze zbrzydła w świetle. Zawsze było tak samo podczas letniej *Palomy* na placu apelowym. Tylko pod koniec września, podczas jednych z ostatnich nocnych tańców na zewnątrz, było inaczej.

Tak jak zawsze siedziałem z obiema stopami na ławce, z kolanami pod brodą. Adwokat Paul Gast zrobił sobie przerwę w tańcu, usiadł koło moich stóp i nie powiedział nic. Może jednak czasem myślał o swojej zmarłej żonie, Heidrun Gast. Ponieważ w chwili, kiedy oparł się o ścianę, nad ruską osadą spadła gwiazda. A on powiedział:

Leo, musisz szybko pomyśleć jakieś życzenie.

Ruska osada połknęła gwiazdę, pozostałe lśniły jak gruba sól.

Nic mi nie przyszło do głowy, powiedział, a tobie. Powiedziałem: Żebyśmy żyli.

Skłamałem z lekkomyślnością jak siano. Zażyczyłem sobie, żeby umarł mój zastępczy brat. Chciałem zadać ból mamie, jego przecież nie znałem.

O obozowym szczęściu

Szczęście jest czymś nagłym.

Znam szczęście ust i szczęście głowy.

Szczęście ust przychodzi podczas jedzenia i jest krótsze niż usta, krótsze nawet niż słowo usta. Gdy się je wymawia, nie ma czasu uderzyć do głowy. Szczęście ust nie chce, żeby nim mówiono. Gdybym chciał mówić o szczęściu ust, musiałbym przed każdym zdaniem dodać **nagle**. A po każdym zdaniu: **nie mów o tym nikomu, ponieważ wszyscy SĄ GŁODNI**.

Powiem to tylko raz: Nagle naginasz gałąź, zrywasz kwiaty akacji i jesz. Nie mówisz o tym nikomu, ponieważ wszyscy są głodni. Zrywasz szczaw na skraju drogi i jesz. Zrywasz dziki tymianek między rurami i jesz. Zrywasz rumianek koło drzwi piwnicy i jesz. Zrywasz dziki czosnek przy płocie i jesz. Naginasz gałąź, zrywasz owoce czarnej morwy i jesz. Zrywasz dziki owies na ugorze i jesz. Nie znajdujesz za stołówką obierek kartofli, ale za to głąb kapusty, i jesz.

Zimą niczego nie zrywasz. Wracasz ze zmiany do baraku nie wiesz, w którym miejscu śnieg smakuje najlepiej. Czy wziąć garść już na schodach do piwnicy, czy dopiero z pokrytej śniegiem kupy węgla, a może z zasy przy bramie do obozu. Nie podejmując żadnej decyzji, bierzesz garść z białej czapy na słupie w płocie i orzeźwiasz sobie puls i usta, i gardło, w dół, aż do serca. Nagle nie czujesz już zmęczenia. Nie mówisz o tym nikomu, ponieważ wszyscy są zmęczeni. Jeśli nie następuje żadna katastrofa, dzień jest podobny do dnia. Życzysz sobie, żeby dzień był podobny do dnia. Piąte po dziesiątym, mówi golibroda Oswald Enyeter - według jego prawideł mieć szczęście to bałamuk, i tyle. Muszę mieć szczęście, ponieważ babcia powiedziała: Wiem, że wrócisz. Również o tym nie mówię nikomu, ponieważ wszyscy chcą wrócić. Żeby mieć szczęście, potrzebny jest cel. Muszę szukać celu, nawet jeśli jest on jedynie śniegiem na słupie w płocie.

Lepiej niż o szczęściu ust daje się mówić o szczęściu głowy.

Szczęście ust chce być samo, jest nieme i przyrośnięte do człowieka od wewnątrz. Natomiast szczęście głowy jest towarzyskie i szuka innych ludzi. Jest to błakające się szczęście, które zostaje w tyle. Trwa dłużej, niż do tego dorosłeś. Szczęście głowy jest rozdrobnione i trudne do poukładania, miesza się jak chce i zmienia się szybko z jasnego w ciemne rozmyte ślepe zawistne ukryte trzepoczące niezdecydowane niepohamowane natrętne chwiejne rozbite porzucone zgromadzone ukartowane okpione wyświechtane rozdrobnione bałamutne czyhające kolczaste wątpliwe powracające bezczelne ukradzione wyrzucone pozostałe o włos chybione.

Szczęście głowy może mieć mokre oczy, wykręconą szyję lub drżące palce. Ale zawsze tłucze się w głowie jak żaba w blaszanej puszcze.

Ostatnie szczęście, jakie można mieć, to szczęściażduzo - - ołut. Przychodzi w chwili umierania. Pamiętam, że kiedy Irma Pfeifer umierała w dole z zaprawą, Trudi Pelikan złożyła usta w wielkie zero, cmoknęła i powiedziała jednym słowem:

Szczęścia - za - dużo - o - łut.

Przyznałem jej rację, ponieważ przy uprzątnięciu zmarłych widać było na ich twarzach ulgę, że dadzą im w końcu spokój: w głowie sztywne gniazdo, w oddechu przyprawiająca o zawrót głowy huśtawka, w piersiach opętana rytmem pompa, w brzuchu pusta poczekalnia.

Czystego szczęścia w głowie nie było nigdy, ponieważ we wszystkich ustach był głód. Sześćdziesiąt lat po obozie, jedząc, odczuwam olbrzymie podniecenie. Jem wszystkimi porami. Kiedy jem w towarzystwie, robię się nieprzyjemny. Jem w sposób nieznoszący sprzeciwu. Inni nie znają szczęścia ust, jedzą towarzysko i uprzejmie. Mnie jednak właśnie podczas jedzenia chodzi po głowie szczęściażduzooolut, że kiedyś przyjdzie do każdego z nas, jak tu siedzimy, i że trzeba będzie oddać: w głowie gniazdo, w oddechu huśtawkę, w piersi pompę, w brzuchu poczekalnię. Jem tak chętnie, że nie chcę umierać, ponieważ wtedy nie będę mógł jeść. Od sześćdziesięciu lat wiem, że powrót do domu nie poskromił obozowego szczęścia. Do dziś odgryza ono swoim głodem środek każdego innego uczucia. W środku jest u mnie pusto.

Od powrotu do domu każde uczucie odczuwa codziennie swój własny głód i domaga się wzajemności, której ode mnie nie dostaje. Nikomu nie wolno się mnie ucześcić. Nauczył mnie tego głód, a nieprzystępny jestem z pokory, nie z dumy.

Żyje się. Żyje się tylko raz

W czasie skóry i kości nie miałem w mózgu nic poza wiecznie skrzypiącą katarynką powtarzającą dniem i nocą: zimno tnie, głód okpiwa, zmęczenie ciąży, tęsknota za domem

wyniszczą, pluskwy i wszy gryzą. Chciałem pójść na wymianę z rzeczami, które nie żyjąc, są nieumarłe. Chciałem dokonać wymiany ratunkowej między moim ciałem a linią horyzontu wysoko w powietrzu i zakurzonymi drogami na ziemi w dole. Chciałem wypożyczyć ich wytrwałość i istnieć bez ciała, i kiedy najgorsze minie, wślizgnąć się w nie na powrót i pokazać w waciaku. Nie miało to nic wspólnego z umieraniem, było jego przeciwieństwem.

Punkt zero = niewypowiadalne. Punkt zero zgadza się ze mną, że o nim samym nie da się mówić, najwyżej ogródkami. Rozdziawiony pysk zera może jeść, nie mówić. Zero otacza cię swoją dławiącą czułością. Wymiana ratunkowa nie znosi porównań. Jest nieodzowna i bezpośrednia jak: i ruch łopata = i gram chleba.

W czasie skóry i kości musiała mi się rzeczywiście udać wymiana ratunkowa. Tu i ówdzie miałem wytrwałość linii horyzontu i zakurzonych dróg. Gdybym miał tylko skórę i kości w waciaku, nie utrzymałbym się przy życiu.

Odżywianie ciała pozostaje dla mnie do dziś tajemnicą. W ciele trwa budowa i rozbiórka, jak na placu budowy. Codziennie widzisz siebie i innych, nigdy nie zauważasz jednak, ile się w tobie zawala, a ile znowu wznosi. Zagadką pozostaje, jak kalorie mogą zabierać i dawać. Jak zacierają w tobie wszystkie ślady, kiedy zabierają, i jak przywracają je, kiedy dają. Nie wiesz, od kiedy zaczyna ci się poprawiać, ale znowu jesteś w pełni sił.

W ostatnim roku obozu dostawaliśmy do ręki pieniądze za naszą pracę. Mogliśmy robić zakupy na bazarze. Jedliśmy suszone śliwki, rybę, rosyjskie naleśniki ze słodkim lub słonym serem, boczek i smalec, placki kukurydziane z masą z buraków cukrowych, oleistą słonecznikową chałwą. Po kilku tygodniach byliśmy znowu normalnie odżywieni. Gąbczaście grubi, golibroda mówił **BAMSTI**. Przekształciliśmy się w mężczyzn i kobiety, jakbyśmy po raz drugi przeszli okres dojrzewania.

Nowa próżność zaczęła się u kobiet, kiedy mężczyźni człapali jeszcze w watowanej zbroi. Byli zadowoleni z siebie i dostarczali kobietom materiału próżności. Anioł głodu zaczął się interesować ubraniami, wykazywać znawstwem obozowej mody. Mężczyźni przynosili z fabryki metrowe kawałki lśniący białej bawełnianej liny grubości ramienia. Kobiety rozplatały ją, związywały nici i dziergały na żelaznych drutach biustonosze, majteczki, bluzki i koszulki. Supły wciągały na lewą stronę, na gotowych rzeczach nie było ich wcale widać. Kobiety dziergały nawet wstążki do włosów i broszki. Trudi Pelikan nosiła wydzierganą broszkę w kształcie lilii wodnej przypiętą do piersi jak filizanka. Jedna Zirri nosiła konwaliową broszkę z białymi naparstkami umocowanymi na drucie, Loni Mich pofarbowaną na czerwono ceglany pyłem dalię. W pierwszej fazie tego bawełnianego transferu również ja byłem jeszcze zadowolony ze swojego wyglądu. Wkrótce jednak zapragnąłem się

wysztafirować. Z mozołem uszyłem sobie ze znoszonego płaszcza z aksamitnym ściągaczem kaszkiet. Miałem w głowie jego plan, wyrafinowaną, skomplikowaną konstrukcję. Z podszewką, na tyle duży, żeby można go było nosić na bakier, pod otokiem gumowy pasek z opony. W daszku dachowa papa, owalna górna część wzmocniona papierem z cementowego worka, w środku podszyta kawałkami podartego podkoszulka. Podszewka była ważna, odezwała się próżność z dawnych czasów, żeby być pięknym dla siebie samego, nawet jeśli inni nie widzą. Była to czapka oczekująca, czapka na lepsze czasy.

Do wydzierganej mody obozowej kobiet można było dokupić w sklepie u Rosjan mydło toaletowe, puder i róż. Wszystko tej samej firmy **KRASNYJ MAK**. Pudry były różowe i miały ostro słodki zapach. Anioł głodu się dziwił.

Pierwsza fala mody przyniosła wyjściowe buty, **BALETKI**. Zaniósłem pół opony do szewca, inni organizowali sobie z fabryki gumowany materiał z taśmy. Szewc robił lekkie buty na lato, z cieniutkimi giętkimi podeszwami, dokładnie dopasowane do stopy. Zrobione na kopycie, bardzo eleganckie. Nosili je i mężczyźni, i kobiety. Anioł głodu stał się lekko - nogi. *Paloma* nie posiadała się z radości, wszyscy biegali do altany i tańczyli aż do hymnu, który rozbrzmiewał tuż przed północą. Jednak ponieważ kobiety chciały się podobać nie tylko sobie i innym kobietom, lecz także mężczyznom, również oni musieli zacząć się starać, żeby kobiety wpuściły ich za koc do wydzierganej bielizny. Tak więc po baletkach przyszła kolej na męską modę powyżej butów. Nowa moda i nowe romanse, szybka wymiana towaru, ciężce, skrobanki w miejskim szpitalu. W baraku dla chorych za drewnianą kratką mnożyły się dzieci.

Poszedłem do pana Reuscha z Guttenbrunn z Banatu. Znałem go tylko z apelu. Za dnia sprzątał gruz w zbombardowanej fabryce. Wieczorami cerował za tabakę podarte kufajki. Był z zawodu krawcem i wziętym specjalistą, odkąd anioł głodu latał po obozie lekkomyślnie. Pan Reusch rozwinął cienki zwój gałganków z krawiecką miarką, zmierzył mnie od szyi do kostek u nóg. Potem powiedział, na spodnie 1,50 metra materiału, na kurtkę 3,20 metra. I jeszcze 3 duże guziki i 6 małych. O podszewkę do kurtki sam się zatroszczy, powiedział. Chciałem jeszcze pasek ze sprzączką do kurtki. Zaproponował sprzączkę z dwóch metalowych pierścieni i na plecach kontrafałdę, która dzięki naszywkom na górze i dole otwiera się na obie strony. Powiedział, piwniczna fałda, modna teraz w Ameryce.

Zamówiłem dwa metalowe pierścienie u Kowatscha Antona i poszedłem z całą moją gotówką do sklepu w ruskiej osadzie. Materiał na spodnie był przytłumiononiebieski z jasnoszarymi grudkami. Materiał na kurtkę był w karo, piaskowo - brązowy jak worki z cementem, każde karo było wypukłe. Kupiłem również krawat, omaszłozielony w ukośne

romby. I trzy metry rypsu w kolorze jasnej rezedy, na koszulę. Potem guziki do spodni i kurtki plus malutkie do koszuli. Było to w kwietniu 1949.

Trzy tygodnie później miałem koszulę i garnitur z piwniczną fałdą i żelazną sprzączką. Bordowy jedwabny szal w błyszczącomatową kratkę wreszcie znowu by do mnie pasował. Tur Prikulicz już od dawna go nie nosił, pewnie go wyrzucił. W mózgu nie było już anioła głodu, ale siedział jeszcze na karku. I miał dobrą pamięć. Wcale tego nie potrzebował, moda obozowa też była rodzajem głodu, głodu oczu. Anioł głodu mówił: Nie trwoń wszystkich pieniędzy, kto wie, co jeszcze może się wydarzyć. Wszystko, co jeszcze może się wydarzyć, już tu jest, myślałem. Chciałem mieć wyjściowe ubranie na obozowe korso, do altanki na tańce, a nawet na drogę do piwnicy poprzez zielsko, rdzę i gruz. Zaczynałem zmianę od przebrania się w piwnicy. Anioł głodu napominał: Pycha pojawia się przed upadkiem. Odpowiadałem mu: Żyje się. Żyje się tylko raz. Również łoboda stąd nie ucieknie, a mimo to nosi czerwone klejnoty i na każdy liść szyje sobie rękawiczkę z innym kciukiem.

Moja gramofonowa walizka dostała nowy klucz, ale powoli robiła się za mała. Zamówiłem u stolarza solidny drewniany kufer na nowe ubrania. I u Paula Gasta w ślusarni poważny zamek do kufra, z gwintem.

Kiedy po raz pierwszy zaprezentowałem nowe ubranie w altance, pomyślałem: Wszystko, co jeszcze może się wydarzyć, już tu jest. Niech wszystko zostanie tak, jak jest teraz.

Kiedyś trafię na elegancki bruk

Również za czwartego pokoju łoboda rosła gwizdząco zielona. Nie zrywaliśmy jej, nie odczuwaliśmy już dzikiego głodu. Byliśmy pewni, że teraz, po czteroletnim głodowaniu, nie jesteśmy karmieni po to, żeby pojechać do domu, tylko po to, żeby zostać i pracować. Rosjanie co roku czekali na to, co nadejdzie, my baliśmy się tego. U nas stary czas sam sobie stał na drodze, a dla nich nowy czas płynął w olbrzymi kraj.

Krążyła plotka, że Tur Prikulicz i Bea Zakel gromadzili przez te wszystkie lata ubrania, sprzedawali je na bazarze i dzielili się pieniędzmi z Szysztwanionowem. Dlatego tak wielu z nas zamarzło, chociaż według obozowego regulaminu mieli prawo do bielizny, kufajek i butów. My ich już nie liczyliśmy. Ale kiedy liczyłem pokój, wiedziałem, że u Trudi w rejestrze baraku dla chorych 334 zmarłych spoczywało w pokoju - w pierwszym, drugim, trzecim i czwartym. Tygodniami nie myślałem o nich, a naraz pojawiali się w moim mózgu jak grzechotka i towarzyszyli mi przez cały dzień.

Jak często myślałem sobie, że dzwoneczki baterii koksowniczych dzwonią z roku w rok. Zamiast ławki na obozowym korso chciałbym zobaczyć ławkę w parku, na której

siedziałby człowiek na wolności, osoba, która nigdy nie była w obozie. Pewnego wieczoru po altanie krążyły słowa **PODESZWA Z KREPY**. Nasza śpiewaczka Loni Mich spytała, co znaczy krepa. Karli Halmen zerknął na adwokata Paula Gasta i powiedział, krepa pochodzi od krepitacji, w niebie stepu nosimy więc wszyscy podeszwy z krepy. Loni Mich nie odpuszczała. Po podeszwach z krepy przyszła kolej na **FAWORYTY**, które są teraz ponoć modne w Ameryce. Loni Mich spytała znowu, co to takiego. Akordeonista Konrad Fonn stwierdził, faworyty to fryzury w ptasi ogon przy uszach.

Co dwa tygodnie w kinoteatrze u Rosjan leciały filmy i kroniki filmowe dla nas, ludzi z obozu. Rosyjskie, ale też amerykańskie, a nawet zarekwizowane filmy **UFA Z Berlina**. W kronice z Ameryki widać było konfetti spadające między drapaczami chmur jak śnieg i śpiewających mężczyzn z podeszwami z krepy i bokobrodami aż do zuchwy. Po filmie goli - broda Oswald Enyeter powiedział, te bokobrody nazywają się faworyty. Jesteśmy już całkiem zrusyfikowani, a przy tym robimy się po amerykańsku nowoczesni, powiedział.

Ja również nie wiedziałem, co to takiego faworyty. Rzadko chodziłem do kina. Ponieważ pracowałem na zmiany, byłem w tym czasie albo w piwnicy, albo jeszcze za bardzo zmęczony po piwnicy. Ale miałem chociaż baletki na lato. Kobe - lan dał mi w prezencie pół opony samochodowej. I mogłem zamykać moją gramofonową walizkę, Paul Gast zrobił mi klucz z trzema zębami, cienkimi jak mysie kielki. Od stolarza miałem nowy drewniany kufer z gwintowanym zamkiem. Byłem wystrojony w nowe ubrania. Zelówki z krepy nie nadawałyby się do piwnicy, a faworyty rosły wprawdzie same z siebie, ale bardziej pasowałyby do Tura Prikulicza. Mnie wydawały się głupkowate.

Mimo to byłby już najwyższy czas spotkać się z Beą Zakel albo Turem Prikuliczem gdzie indziej, jak równy z równym, powiedzmy na dworcu z żeliwnymi kolumnami i zwisającymi kiśćmi petunii, jak w kurorcie. Powiedzmy, wsiałam do pociągu i Tur Prikulicz siedzi w tym samym przedziale. Pozdrowię go krótko i usiądę po przekątnej, to wszystko. Będę się zachowywał tak, jakby to było wszystko, ponieważ zobaczę na jego palcu obrączkę i nie spytam, czy ożenił się z Beą Zakel. Wyjmę kanapkę i położę ją na stoliku. Biały chleb grubo posmarowany masłem, z różową gotowaną szynką. Nie będzie mi smakowała, ale nie dam po sobie poznać, że mi nie smakuje. Albo spotkam Lommerę Cytrę. Przyjdzie ze śpiewaczką Loni Mich. Zobaczę, że jeszcze bardziej urosło jej wole. Będą chcieli zabrać mnie na koncert w Athenaum. Odmówię zmienionym głosem i pozwolę im odejść. Ponieważ będę bileterem w Athenaum, powitam ich przy wejściu i z wyciągniętym palcem wskazującym powiem: Pokażcie bilety, tutaj miejsca są uporządkowane parzyście i nieparzyście, wy macie 113 i 114, a więc siedzicie oddzielnie. Dopiero gdy wybuchnę śmiechem, rozpoznają mnie. A

może wcale nie będę się śmiać.

Myślałem też sobie, że po raz drugi spotkam Tura Prikulicza w wielkim mieście w Ameryce. Nie będzie miał obrączki, ale będzie szedł po schodach z jedną Zirri pod ramię. Zirri mnie nie rozpozna, ale on mrugnie do mnie jak wujek Edwin, kiedy mówił: No cóż, sama wpadła mi w oko. Pójdę dalej, to wszystko.

Może będę jeszcze w miarę młody, kiedy wyjdę z obozu, jak to się mówi, w najlepszych latach, niczym w piosence, którą Loni Mich śpiewa z trzęsącym się wolem: **MIAŁAM DOPIERO TRZYDZIEŚCI LAT.** Może spotkam Tura Prikulicza po raz trzeci, czwarty, może będę go spotykał jeszcze częściej, w trzeciej, czwartej, szóstej, nawet ósmej przyszłości. Z hotelowego okna na drugim piętrze będę kiedyś patrzył na skąpaną deszczem ulicę. Jakiś mężczyzna zacznie rozkładać parasol. Będzie mu to szło powoli, zmoknie, ponieważ parasol się zatnie. Zobaczę, że ma dłonie Tura, ale on nie dowie się, że go rozpoznałem. Gdyby wiedział, pomyślę, nie guzdrałby się tak albo włożyłby rękawiczki, albo w ogóle nie pojawiłby się na tej ulicy. Gdyby nie był Turem Priku - liczem, tylko miał jego rękę, krzyknąłbym do niego przez okno: Przejdź na drugą stronę, pod markizą przynajmniej nie zmokniesz. Gdyby podniósł głowę, powiedziałby może: Dlaczego mówi pan do mnie na ty? A ja odpowiedziałbym: Nie widziałem pana twarzy, na ty zwracam się jedynie do pańskich rąk.

Myślałem sobie, że kiedyś trafię na elegancki bruk, gdzie żyje się inaczej niż w małym miasteczku, w którym się urodziłem. Ten elegancki bruk będzie promenadą nad Morzem Czarnym. Białe spieniona woda kołysze się jak nigdy dotąd. Promenada oświetlona neonami, grają saksofony. Spotykam Beę Zakel i rozpoznaję ją, jej oczy nadal ześlizgują się z wahaniem w powłóczyście spojrzenie. Nie mam twarzy, ponieważ ona mnie nie poznaje. Nadal ma ciężkie włosy, ale już nie splecione w warkocz, tylko zakręcone przy skroniach, mącznobiałe jak skrzydła mew. Nadal ma wysokie kości policzkowe okolone twardymi cieniami, takimi, jakie w samo południe rzucają narożne ściany domów. Będę myślał o kącie prostym w osiedlu za obozem.

Poprzedniej jesieni za obozem postawiono nowe rosyjskie osiedle. Były to domy szeregowe z gotowych elementów drewnianych sprowadzonych z Finlandii, fińskie domy. Karli Halmen opowiedział mi, że części były dokładnie przycięte i zaopatrzone w instrukcje montażu. Ale że podczas rozładunku wszystko się wymieszało i nikt nie wiedział, co pasuje do czego. Budowa zamieniła się w katastrofę, czasem części było za mało, czasem za dużo, czasem do siebie nie pasowały. Kierownik budowy przez te wszystkie lata jako jedyny uważał robotników przymusowych za ludzi z cywilizowanych krajów, w których kąt prosty

ma dziewięćdziesiąt stopni. Widział w deportowanych ludzi myślących, dlatego go zapamiętałem. Podczas przerwy na papierosa wygłosił na placu budowy mowę o dobrych intencjach socjalizmu i niemożności. Jego przemówienie kończyło się wnioskiem: Rosjanie wiedzą, co to kąć prosty, ale im nie wychodzi. Kiedyś, pomyślałem sobie, kto wie, w którym kolejnym już pokoju i w której przyszłości, dotrę do kraju górskich grzbietów, do którego we śnie jadę po niebie na białej świni i o którym ludzie mówią, że jest moją ojczyzną.

Jeden z wariantów powrotu do domu, jaki krążył po obozie, głosił, że wrócimy, kiedy będziemy mieli już za sobą najlepsze lata. I będzie z nami tak jak z jeńcami po pierwszej wojnie światowej - droga do domu potrwa dziesięciolecia. Szyszwanionow wezwie nas na ostatni, najkrótszy apel i oznajmi:

Niniejszym rozwiązuję obóz. Znikajcie.

I każdy na własną rękę będzie wędrował coraz dalej na wschód, w przeciwną stronę, ponieważ zachód będzie zamknięty. Przez Ural, całą Syberię, Alaskę, Amerykę, a potem przez Gibraltar i Morze Śródziemne. Po dwudziestu pięciu latach dotrzemy do domu ze wschodu przez zachód, o ile dom będzie jeszcze naszym domem, o ile nie będzie należał do Rosji. Albo inne warianty: że w ogóle stąd nie wyjdziemy, że zatrzymają nas tu tak długo, póki obóz nie stanie się wsią bez wież strażniczych, a my nadal nie będziemy wprowadzani Rosjanami ani Ukraińcami, ale staniemy się mieszkańcami z przyzwyczajenia. Albo że zostaniemy tutaj tak długo, aż nie będziemy chcieli odejść, ponieważ będziemy pewni, że w domu nikt już na nas nie czeka, ponieważ od dawna mieszkają tam inni ludzie, ponieważ wszyscy zostali wypędzeni, kto wie dokąd, i sami nie mają domu. Inny wariant mówił, że w końcu zostaniemy tu z własnej woli, ponieważ nie będziemy nic potrafili począć z domem, ani dom z nami.

Jeśli wieki całe nie ma się wieści z domu, człowiek zadaje sobie pytanie, czy powinien w ogóle chcieć do domu i czego powinien sobie tam życzyć. W obozie zabrano nam marzenia. Nie musieliśmy i nie chcieliśmy o niczym decydować. Chcieliśmy wprowadzić do domu, ale poprzestawaliśmy na wspomnieniach minionego, nie mieliśmy odwagi tęsknić za przyszłym. Wierzyliśmy, że wspomnienie jest tęsknotą. Skąd miała wziąć się różnica, kiedy w głowie wiruje nieustannie to samo, a świat straciło się już tak bardzo, że wcale nie czuć jego braku.

Co będzie ze mną w domu. Pomyślałem, że w dolinie między górskimi grzbietami będę się pałętał jako ten, który wrócił, że gdziekolwiek się pojawię, towarzyszyć mi będzie PPS - - PS, jakby przejeżdżała lokomotywa. Sam wpadnę we własną pułapkę, pograżę się w najpotworniejszej zażyłości. To moja rodzina, powiem, i będę miał na myśli ludzi z obozu.

Mama powie, że powinienem zostać bibliotekarzem, nie będę musiał pracować na zimnie. A czytać zawsze chciałeś. Dziadek powie, żebym pomyślał i został przedstawicielem handlowym. Przecież zawsze chciałeś podróżować. Może mama tak powie i może dziadek tak powie, ale my byliśmy tutaj, w kolejnym, czwartym pokoju, a ja mimo zastępczego brata nie wiedziałem, czy jeszcze żyją. Tutaj, w obozie, zawody takie jak przedstawiciel handlowy przyprawiały o szczęście głowy, było o czym mówić.

Kiedyś na desce milczenia w piwnicy rozmawiałem o tym z Albertem Gionem i udało mi się nawet przełamać jego milczenie. Może zostanę kiedyś przedstawicielem handlowym, powiedziałem, z walizką pełną barachła, jedwabnych chustek i ołówków, kolorowych kred, maści i odplamia - czy. Dziadek przywiózł kiedyś babci muszlę z Hawajów, wielką jak tuba gramofonu, z niebieskawą masą perłową w środku. A może zostanę mistrzem budowlanym, światłym mistrzem, powiedziałem na desce milczenia w piwnicy, mistrzem ozalidowych światłokopii. Będę miał własne biuro. Będę budował domy dla bogaczy, jeden dom będzie zupełnie okrągły, jak ten żelazny kosz. Plan narysuję najpierw na papierze śniadaniowym. W centrum wrzeczono od piwnicy po kopułę. Wszystkie pokoje będą ćwiartkami, szóstkami i ósemkami koła, jak kawałki tortu. Papier śniadaniowy umocuję w ramie nad papierem ozalidowym, a ramę wystawię na pięć do dziesięciu minut na słońce, żeby ją naświetlić. Potem zwinę ozalid i wsunę do rury z parą amoniaku, po chwili plan pięknie wypełni na powierzchnię. Kopia ozalidowa jest gotowa, różowa, liliowa, cynamonowobrazowa.

Albert Gion wysłuchał tego i powiedział: Kopia ozalidowa, człowieku, nie wystarczy ci pary, chyba jesteś przemęczony. Dlaczego tkwimy w piwnicy. Bo nie mamy zawodu. Zawód to tutaj fryzjer, szewc i krawiec. To są dobre zawody, w każdym razie w obozie najlepsze. Ale trzeba je było mieć już w domu, teraz ich nie zdobędziesz. To są zawody rozstrzygające o dalszych losach. Gdyby człowiek wiedział, że trafi kiedyś do obozu, zostałby fryzjerem, szewcem lub krawcem. A z pewnością nie przedstawicielem handlowym, światłym mistrzem budowlanym czy mistrzem światłokopii.

Albert Gion miał rację. Czy noszenie zaprawy jest zawodem. Jeśli przez te wszystkie lata nosiłeś zaprawę albo szlakobloki, albo szufłowałeś węgiel, albo wydłubywałeś rękami kartofle z ziemi, albo sprzątałeś piwnicę, wiesz, jak się to robi, ale nie masz żadnego zawodu. Pracownik fizyczny, ale bez zawodu. Żądano od nas jedynie pracy, nie zawodu. Byliśmy wyrobnikami, a wyrobnik to nie zawód.

Nie odczuwaliśmy już dzikiego głodu, a łoboda nadal rosła srebrnozielona, wkrótce zrobiła się łykowata i migocząco czerwona. Ponieważ znaleźliśmy głód, nie zrywaliśmy jej, kupowaliśmy na bazarze tłuste jedzenie i jedliśmy bez opamiętania. Stara tęsknota za domem

została gąbczasto utuczona nowym, pospiesznym mięsem. A ja nowemu mięsu musiałem wmawiać stare historie: Kiedyś również ja trafię na elegancki bruk. Również ja.

Dogłębne jak cisza

Kiedy miałem już za sobą czas skóry i kości i wymianę ratunkową - kiedy przed sobą miałem baletki, gotówkę, jedzenie, nowe mięso pod skórą i nowe ubrania w nowym kufrze, przyszło zwolnienie. Trudne do przyjęcia. O tych pięciu latach obozu mogę dziś powiedzieć pięć rzeczy: i ruch łopata = i gram chleba.

Punkt zero = niewypowiadalne.

Wymiana ratunkowa to gość stamtąd.

Obozowe my to liczba pojedyncza.

Objętość idzie w głąb.

Dla tych wszystkich pięciu rzeczy obowiązuje to samo:

Są dogłębne jak cisza między nimi, a nie wobec świadków.

Nietykacz

Na początku roku 1950 wróciłem do domu. Siedziałem znowu w salonie, w głębokim czworokącie pod białym stiu - kowym sufitem jak pod śniegiem. Tato malował Karpaty, co kilka dni nową akwarelę z szarymi zębami gór i rozmazanymi w śniegu jodłami. Prawie na każdym obrazie były poukładane tak samo. U stóp gór jodły szeregowe, na zboczu jodły grupowe, na grzbiecie pary jodeł i jodły pojedyncze, pomiędzy nimi gdzieniegdzie brzoza jak białe poroże. Najtrudniejsze do malowania są najwyraźniej chmury, na wszystkich obrazach przypominały szare poduszki z kanapy. Na każdej akwareli Karpaty były senne.

Dziadek umarł. Babcia siedziała w jego pluszowym fotelu i rozwiązywała krzyżówki. Czasem pytała o jakieś słowo: orientalna kanapa, część buta na j, końska rasa, dach z płótna żaglowego.

Mama robiła na drutach skarpetki za skarpetkami dla swojego zastępczego dziecka Roberta. Pierwsza para była zielona, druga biała. Potem brązowe, w czerwono-białe cętki, niebieskie, szare. Przy białej parze zaczął się zamęt - mama robiła kłębki wszy. Od tej chwili we wszystkich skarpetkach widziałem nasze wydziergane ogrody między barakami, rogi swetrów w porannej szarówce. Leżałem na kanapie, kłębek wełny leżał w blaszanej misce koło krzesła mamy, było w nim więcej życia niż we mnie. Nić wspinała się, zwisała i spadała. Z dwóch kłębków wielkości pięści wychodziła skarpetka, długości całej zużytej wełny nie dało się obliczyć. Wełna ze wszystkich skarpet odpowiadała może odległości od kanapy do dworca. Unikałem okolicy dworca. Miałem teraz ciepłe stopy, tylko ślady po odmrożeniach paliły na podbiciu, tam gdzie onuce zawsze najpierw przymarzały do skóry. Zimowe dni już

koło czwartej robiły się szare. Babcia zapalała światło. Klosz lampy był jasnozieloną tubą z ciemnoniebieskimi frędzlami. Na sufit padało niewiele światła, stiuk był szary i zaczynał topnieć. Następnego ranka znowu był biały. Wyobrażałem sobie, że nocą, kiedy śpimy w swoich pokojach, zamarza na nowo jak lodowe wyszywanki na ugorze za zeppelinem. Obok szafy tykał zegar. Wahadło leciało i szuflowało nasz czas między meblami, od szafy do okna, od stołu do kanapy, od pieca do pluszowego fotela, od dnia do wieczora. Na ścianie tykanie było moją huśtawką oddechu, w piersi moją serdeczną łopatą. Bardzo mi jej brakowało.

Pod koniec stycznia wujek Edwin przyszedł po mnie wczesnym rankiem, żeby przedstawić mnie swojemu majstrowi w fabryce skrzynek. Na Schulgasse, w sąsiednim domu, w oknie pana Carpa, widać było twarz. Od szyi w dół była obcięta przez lodowe kwiaty. Czoło oplatał warkocz z lodowych włosów, a obok nasady nosa zielono ześlizgiwało się oko - widziałem Beę Zakel w szlafroku w białe kwiaty, z ciężkim siwym warkoczem. W oknie siedział jak co dzień kot pana Carpa, ale mnie było szkoda Bei, że tak szybko się zestarzała. Wiedziałem, że kot może być tylko kotem, słup telegraficzny nie jest strażnikiem, a biały odbłask na śniegu to nie obozowe korso, tylko Schulgasse. Że nic w domu nie może być inne, ponieważ zostało u siebie. Wszystko poza mną. Między sytymi ojczyzny ludźmi kręciło mi się w głowie od wolności. Byłem niezrównoważony, wytresowany na katastrofę i psi strach, mój mózg skazany na uległość. Widziałem Beę Zakel czekającą na mnie w oknie, ona też widziała z pewnością, jak przechodziłem. Powinienem był ją pozdrowić, chociaż kiwnąć jej głową albo pomachać ręką. Za późno przyszło mi to na myśl, byliśmy już dwa domy dalej. Kiedy zakręciliśmy na końcu Schulgasse, wujek wziął mnie pod rękę. Na pewno poczuł, że choć idę tuż koło niego, jestem zupełnie gdzie indziej. Prawdopodobnie wziął pod rękę wcale nie mnie, tylko swój stary płaszcz, który nosiłem. Gwizdało mu w płucach. Miałem wrażenie, że wcale nie chciał powiedzieć tego, co powiedział po długim milczeniu. Że zmusił go do tego płac płuć, że dlatego powiedział dwoma głosami: Miejmy nadzieję, że wezmą cię do fabryki. Wydaje mi się, że dopadła was jakaś zaraza. Miał na myśli nietykacza.

Tam, gdzie futrzana czapka dotykała jego lewego ucha, fałdy skóry na małżowinie rozchodziły się i wyglądały tak jak na moich uszach. Musiałem obejrzeć również jego prawe ucho. Wyszwoodziłem się i przeszedłem na prawą stronę. Prawe było jeszcze bardziej moim uchem niż lewe. Gładki brzóg zaczynał się niżej, był dłuższy i szerszy, jak wyprasowany.

Przyjęli mnie do fabryki skrzynek. Codziennie opuszczałem nietykacza, a po fajrancie wracałem do niego. Za każdym razem, kiedy przychodziłem do domu, babcia pytała: Przyszedłeś.

A ja odpowiadałem: Przyszedłem.

Kiedy wychodziłem z domu, pytała za każdym razem: Idziesz.

A ja mówiłem: Idę.

Pytając, robiła krok w moją stronę i łapała się z niedowierzaniem za głowę. Miała przezroczyście ręce, tylko skóra z żyłami i kośćmi, dwa jedwabne wachlarze. Chciałem rzucić się babci na szyję, kiedy o to pytała. Nietykacz nie dopuszczał do tego.

Mały Robert słyszał te codzienne pytania. Kiedy je sobie przypominał, naśladował babcie, robił krok w moją stronę, łapał się za głowę i pytał w jednym zdaniu:

Przyszedłeś, idziesz.

Za każdym razem, kiedy łapał się za głowę, widziałem fałdki tłuszczu na jego nadgarstkach. Za każdym razem chciałem ścisnąć zastępczego brata za szyję, kiedy o to pytał. Nietykacz nie dopuszczał do tego.

Pewnego dnia, kiedy wróciłem z pracy, zobaczyłem róg białej koronki wystający spod pokrywy maszyny do szycia. Innego dnia na klamce drzwi do kuchni wisiał parasol, a na stole leżał rozbity talerz, dwa równe odłamki, jakby przecięty pośrodku. Mama przewiązała sobie kciuk chusteczką. Pewnego dnia szelki taty leżały na radiu, a okulary babci w moim bucie. Pewnego dnia gałgankowy pies Roberta, Mopi, był przywiązany sznurowadłami mojego buta do ucha dzbanka na herbatę. A w mojej czapce leżała skórka od chleba. Może uwalniali się od nietykacza, kiedy wychodziłem z domu. Może odżywali. Tutaj, w domu, było tak, jak z aniołem głodu w obozie. Nigdy nie wyjaśniło się, czy istnieje jeden nietykacz dla nas wszystkich, czy też każdy ma swojego własnego.

Prawdopodobnie śmiali się, kiedy mnie nie było. Prawdopodobnie żalowali mnie albo wyzywali. Prawdopodobnie całowali małego Roberta. Prawdopodobnie mówili, że muszą mieć dla mnie cierpliwość, bo mnie kochają, albo myśleli tak tylko w cichości i podążali za swoimi rękami. Prawdopodobnie. Może powinienem się śmiać, kiedy przychodziłem do domu. Może powinienem żałować ich albo wyzywać. Może powinienem całować małego Roberta. Może powinienem powiedzieć, że muszę mieć dla nich cierpliwość, bo ich kocham. Tylko jak miałem to powiedzieć, jeśli nawet w cichości nie umiałem tak pomyśleć.

Przez pierwszy miesiąc po powrocie spałem przy zapalonym świetle, ponieważ bałem się bez służbowej żarówki. Myślę, że sny przychodzą tylko wtedy, gdy dzień przyniósł zmęczenie. Dopiero kiedy zacząłem pracować w fabryce skrzynek, po raz pierwszy coś mi się przyśniło.

Siedzę z babcią w pluszowym fotelu, Robert obok na krześle. Jestem mały jak Robert, a Robert duży jak ja, Robert wchodzi na krzesło, zdejmuje stiuk z sufitu. Owija go mi i babci wokół szyi jak biały szal. Tato ze swoją leicą kłęczy przed nami na dywanie, a mama mówi:

Uśmiechnijcie się do siebie, to będzie ostatnie zdjęcie przed jej śmiercią. Moje nogi tylko trochę wystają ponad brzeg fotela. Z tej pozycji tato może sfotografować moje buty jedynie od spodu, podszwami do przodu, w stronę drzwi. Ponieważ mam tak krótkie nogi, tacie nie pozostaje nic innego, nawet jeśli tego nie chce. Zdejmuję sobie stiók z ramion. Babcia obejmuje mnie i przyciska mi stiók do szyi. Trzyma go mocno swoją przezroczystą dłonią. Mama z drutem w ręku dyryguje tatą, aż on zaczyna liczyć od tyłu - trzy, dwa, przy jeden pstryka. Potem mama wbija drut w kłębek i zdejmuje nam stiók z ramion. Robert wchodzi z nim na krzesło i mocuje go znowu na suficie.

Czy masz dziecko w Wiedniu

Już od miesięcy byłem nogami w domu, w którym nikt nie wiedział, co widziałem. Nikt też nie pytał. Opowiadać można tylko, gdy występuje się jako ten, o którym się opowiada. Byłem szczęśliwy, że nikt o nic nie pyta, ale w skrytości czułem urazę. Dziadek na pewno by mnie o coś spytał. Umarł dwa lata temu. Latem po moim trzecim pokoju umarł na niewydolność nerek i w przeciwieństwie do mnie pozostał wśród zmarłych.

Pewnego wieczoru przyszedł do nas sąsiad, pan Carp, i odniósł pożyczoną poziomnicę. Kiedy mnie zobaczył, zaczął się jąkać. Podziękowałem za żółte skórzane owijacze i skłamałem, że ogrzewały mnie w obozie. Że przyniosły mi szczęście, dodałem jeszcze, że dzięki nim znalazłem na bazarze 10 rubli. Z podekscytowania źrenice pana Carpa ślizgały się po oczach jak pestki czereśni. Skrzyżował ręce, pogładził kciukami ramiona, zakotłosał się i powiedział: Twój dziadek cały czas na ciebie czekał. W dniu jego śmierci góry powędrowały do nieba, zewsząd nadciągnęło nad miasto mnóstwo obcych chmur, jak obce walizki. Chmury wiedziały, że twój dziadek zjechał kawał świata. Jedna była na pewno od ciebie, nawet jeśli o tym nie wiesz. O piątej było już po pogrzebie i wkrótce przez pół godziny cichutko padał deszcz. Pamiętam, że to była środa, musiałem jeszcze pójść do miasta kupić klej. Po drodze do domu zobaczyłem przed waszymi drzwiami szczura bez sierści. Był pomarszczony, trząsał się i przycupnął tuż przy waszej bramie. Zdziwiłem się, bo nie miał ogona albo na nim siedział. Kiedy stanąłem obok, zobaczyłem ropuchę, całą w brodawkach. Popatrzyła na mnie, napompowała dwa białe pęcherze przy policzkach i zaczęła nimi makabrycznie zonglować. W pierwszej chwili chciałem odsunąć ją parasolem, ale nie miałem odwagi. Lepiej nie, pomyślałem sobie, to ropucha szara, kiwa na mnie swoimi białymi pęcherzami, ma coś wspólnego ze śmiercią Leo. Wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Dziadek na początku bardzo na ciebie czekał. W ostatnim czasie mniej. Wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Nie pisałeś, dlatego teraz żyjesz.

Jedno z drugim wcale się nie wiąże, powiedziałem.

Mój oddech drżał, ponieważ pan Carp gryzł wystrzępionego węża i dawał mi do zrozumienia, że w to nie wierzy. Mama zerkała z okna werandy na podwórko, gdzie nie było nic poza odrobiną nieba i papą na dachu szopki. Panie Carp, niech pan uważa, co pan mówi, powiedziała babcia. Wtedy opowiadał mi to pan inaczej, wtedy białe pęcherze miały coś wspólnego z moim mężem. Są pozdrowieniem od mojego zmarłego męża, powiedział pan wtedy. Pan Carp wymamrotał bardziej do siebie niż do nas: Było tak, jak teraz mówię. Wtedy, po śmierci pani męża, nie mogłem przecież zacząć gadać o martwym Leo. Mały Robert ciągnął poziomnicę po podłodze i robił CIUCH CIUCH CIUCH. Posadził Mopiego na dachu pociągu, szarpnęła mamę za spódnicę i powiedział: Chodź do pociągu, jedziemy na Wench. Po poziomnicy ślizgało się zielone oko. Na dachu pociągu siedział Mopi, ale w środku siedziała Bea Zakel i patrzyła przez okno poziomnicy na palce u stóp pana Carpa. Pan Carp nie powiedział nic nowego, wypowiedział jedynie rzeczy niestosowne. Wiedziałem, że po moim powrocie przerażenie było większe niż zaskoczenie, w domu zapanowała wyzuta z radości ulga. Okpiłem ich żałobę, ponieważ żyłem.

Odkąd znowu byłem w domu, wszystko miało oczy. Wszystko widziało, że moja bezpańska tęsknota za domem nie minęła. Przed największym oknem stała maszyna do szycia z przeklętym czółenkiem do stębnowania i białą nicią pod pokrywą. Gramofon został ponownie wbudowany w moją zniszczoną walizkę i stał jak zawsze na narożnym stoliku. W oknach wisały te same zielone i niebieskie firanki, te same kwieciste wzory wiły się na dywanach, nadal otaczały je sfilcowane frędzle, szafy i drzwi skrzypiały przy otwieraniu i zamykaniu jak zawsze, podłogi trzeszczały w tych samych miejscach, poręcz schodów na werandzie była w tym samym miejscu popękana, każdy stopień wydeptany, na balustradzie kołysała się ta sama doniczka w drucianym koszyku. Nic mnie nie obchodziło. Byłem zamknięty w sobie i z siebie wyrzucony, nie należałem do nich i brakowało mi siebie.

Zanim poszedłem do obozu, byliśmy siedemnaście lat razem, dzieliliśmy ze sobą duże przedmioty, jak drzwi, szafy, stoły, dywany. I małe rzeczy, jak talerze i filiżanki, solniczki, mydło, klucze. I światło okien i lamp. Teraz byłem odmieniony. Wiedzieliśmy o sobie, jacy nie jesteśmy i nigdy nie będziemy. Bycie obcym jest z pewnością ciężarem, ale obcość w niemożliwej bliskości jest przeciążeniem. Miałem głowę w walizce, oddychałem po rosyjsku. Nie chciałem odejść i pachniałem odległością. Nie mogłem spędzać całego dnia w domu. Potrzebowałem pracy, żeby opuścić milczenie. Miałem dwadzieścia dwa lata, ale niczego się nie nauczyłem. Czy zbijacz skrzynek to zawód, znowu byłem wyrobnikiem.

Pewnego sierpniowego dnia wróciłem późnym popołudniem z fabryki, a na stole na werandzie leżał list do mnie. Był od golibrody Oswalda Enyetera. Kiedy czytałem, tato

wpatrywał się we mnie tak, jak czasem patrzy się na usta komuś, kto je. Czytałem:

Kochany Leo! Mam nadzieję, że wróciłeś do domu. U mnie nie było już nikogo. Pojechałem dalej, do Austrii. Mieszkam teraz w Wiedniu na Margareten, jest tu wielu naszych rodaków. Może przyjedziesz kiedyś do Wiednia, ogolę cię znowu. Pracuję u jednego z naszych jako fryzjer. Tur Pri - kulicz rozpuszcza wieści, że on był w obozie golibrodą, a ja kapo. Bea Zakel wprawdzie się z nim rozstała, ale też to powtarza. Swojemu dziecku dała na chrzcie Lea. Czy ma to coś wspólnego z Leopoldem. Dwa tygodnie temu robotnicy budowlani znaleźli Tura Prikulicza pod mostem na Dunaju. Usta miał zakneblowane krawatem, czoło rozplątane siekierą. Siekiera leżała na jego brzuchu, po mordercach ani śladu. Szkoda, że to nie byłem ja. Zasłużył sobie na to.

Kiedy złożyłem list, tato spytał:

Czy masz dziecko w Wiedniu.

Powiedziałem: Czytałeś przecież list, nic tam nie ma ten temat.

Powiedział: Kto wie, co wyczynialiście w obozie.

Kto wie, powiedziałem.

Mama trzymała mojego zastępczego brata Roberta za rękę. A Robert trzymał na rękę wypchanego trocinami gałgankowego psa Mopiego. Potem mama poszła z Robertem do kuchni. Kiedy wróciła, jedną ręką trzymała Roberta, a w drugiej miała talerz zupy. Robert jedną ręką przyciskał Mopiego do piersi, a w drugiej trzymał łyżkę do zupy. Dla mnie. Odkąd pracowałem w fabryce skrzynek, co dzień po zakończeniu zmiany włóczyłem się po mieście. Zimowe popołudnia chroniły mnie, ponieważ wcześniej się ściemniało. Witryny sklepów w żółtym świetle jak przystanki. Świeżo wysztafirowani czekali w nich na mnie dwaj, trzej gipsowi mężczyźni. Stali blisko siebie, szyldy z cenami mieli tuż przy palcach u nóg, jakby musieli uważać, gdzie stąpają. Jakby szyldy przed ich stopami były policyjnym oznakowaniem, jakby tuż przed moim przyjściem został wyniesiony trup. Mniejsze wystawy były na wysokości okien. Zapchane porcelanowymi i blaszanymi naczyniami. Przechodząc obok, niosłem je jak szuflady na ramieniu. W smutnym świetle czekały rzeczy, które trwać będą dłużej niż ludzie, którzy je kupią. Może tak długo jak góry. Z Grosser Ring ciągnęło mnie na zamieszkałe ulice. W oknach wisały podświetlone firanki. Skomplikowane rozety z koronki i labirynty z nici nosiły ten sam czarny cień nagich gałęzi. Ludzie w pokojach nie zauważali, że ich firanki żyją i ponieważ wieje wiatr, nieustannie mieszają swoje białe nici z czarnym drewnem. Dopiero na końcu ulicy niebo było wolne, widziałem, jak topi się w nim Gwiazda Wieczorna, i zawiesiłem tam moją twarz. A potem upłynęło wystarczająco dużo czasu i mogłem być pewny, że kiedy wrócę do domu, będzie już po jedzeniu.

Oduczyłem się jeść nożem i widelcem. Spazmatyczne dreszcze przeszywały nie tylko ręce, ale i przetyk. Wiedziałem, jak głodować, jak oszczędzać i jak pochłaniać jedzenie, kiedy w końcu się je ma. Ale zapomniałem, jak długo trzeba gryźć i kiedy przełykać, żeby wykazać się dobrymi manierami. Tato siedział naprzeciwko mnie, a blat stołu wydawał mi się wielki jak pół świata. Tato przyglądał mi się spod wpeł przymkniętych powiek i skrywał litość. W każdym mrugnięciu błyszczało przerażenie, jak różowa kwarcowa skóra po wewnętrznej stronie warg. Tylko babcia potrafiła oszczędzać mnie bez zbędnych ceregieli. Gotowała gęste zupy, żebym nie musiał się męczyć z nożem i widelcem.

Tego sierpniowego dnia kiedy przyszedł list, była zupa z zielonej fasoli z żeberkami. Po liście odechciało mi się jeść. Ukroiłem sobie grubą pajdę chleba, zacząłem jeść najpierw okruchy ze stołu, potem łyżka po łyżce zupę. Mój zastępczy brat klęczał na podłodze, wcisnął gałgankowemu psu na głowę czapkę z sitka do herbaty i posadził go okrakiem na kancie szuflady werandowej szafki. Wszystko, co robił, sprawiało, że czułem się nieswojo. Był jak dziecko złożone z kawałków - oczy po mamie, stare i okrągłe, i wieczornie niebieskie. Oczy takie już zostaną, pomyślałem. Górna wargę po babci, jak spiczasty kołnierzyk pod nosem. Górna wargę taka już zostanie. Wypukłe paznokcie po dziadku, takie już zostaną. Uszy po mnie i wujku Edwinie, skręcone jak śrubki fałdy, wyglądające się w górnej części muszli. Sześć takich samych uszu z trojakięj skóry, ponieważ uszy takie już zostaną. Jego nos nie zostanie taki, pomyślałem, nosy zmieniają się, kiedy rosną. Kiedyś może będzie po tacie, z kościstym garbem przy nasadzie. Jeśli nie, Robert nie będzie miał nic z niego. W takim razie tato niczego nie dołoży do zastępczego dziecka.

Robert podszedł do mnie, trzymał Mopiego z sitkiem do herbaty w lewej ręce, a prawą złapał mnie za kolano, jakby moje kolano było rogiem krzesła. Od objęcia po powrocie, czyli od ośmiu miesięcy, nikt mnie w tym domu nie dotknął. Dla nich nieprzystępny, dla Roberta byłem nowym przedmiotem w domu. Dotykał mnie jak mebla, żeby się przytrzymać albo położyć mi coś na kolanach. Tym razem wciskał mi Mopiego do kieszeni, jakbym był szufladą. A ja zamarłem w bezruchu, jakbym nią był. Chciałem go odepchnąć, ale nietykacz nie dopuścił do tego. Tato wyjął mi psa i sitko z kieszeni i powiedział:

Zabierz swoje skarby.

Zszedł z Robertem po schodach na podwórko. Mama usiadła naprzeciwko mnie i wpatrywała się w muchę na nożu do chleba. Grzebałem w mojej zupie fasolowej i widziałem, jak siedzę u Oswalda Enyetera w golarni przed lustrem. Tur Prikulicz wchodzi przez drzwi. Słyszę, jak mówi:

Małe skarby to te, na których widnieje: Jestem.

Większe skarby to te, na których widnieje: Pamiętasz. Jednak najpiękniejsze skarby to te, na których będzie widniało: Byłem. **BYŁEM** brzmiało w jego ustach jak towarzysz. Już od czterech dni się nie goliłem. W lustrze werandowego okna porośnięta czarnymi włosami ręka Oswalda Enyetera przejeżdżała brzytwą przez białą pianę. A za brzytwą przebiegał pas skóry jak gumka od ust do ucha. A może wtedy był to już długi szparkowaty pysk, który mieliśmy z głodu. Tato mógł mówić o skarbach tak naiwnie jak Tur Prikulicz, ponieważ obaj jeszcze nigdy nie mieli głodowego pyska. Mucha na nożu do chleba znała werandę tak dobrze jak ja golarnię. Leciała z noża na szafę, z szafy na moją kromkę, potem na brzeg talerza, a stamtąd z powrotem na nóż. Za każdym razem wzbijała się wysoko w powietrze, krążyła śpiewnie i lądowała niemo. Na drobno podziurkowanej mosiężnej pokrywce solniczki nie siadała nigdy. Naraz zrozumiałem, dlaczego od powrotu do domu nigdy jeszcze nie użyłem solniczki. W jej pokrywce błyskały mosiężne oczy Tura Prikulicza. Siorbałem zupę, a mama nasłuchiwała, jakbym raz jeszcze czytał list z Wiednia. Na nożu do chleba brzuch muchy lśnił raz jak kropla rosy, raz jak kropla smoły, kiedy się obracała. Rosa i smoła, i jak wleka się sekundy, kiedy czoło nad mordą jest rozplątane. Hazowyj, ale jak cały krawat zmieścił się w krótkim pysku Tura.

Laska

Po pracy wybrałem inną drogę do domu, od drugiego końca zamieszkałych ulic przez Grosser Ring. Chciałem sprawdzić w kościele Świętej Trójcy, czy jest jeszcze biała nisza i święty z kołnierzem z owcy.

Na Grosser Ring stał gruby chłopiec w białych podkolanów - kach, krótkich spodenkach w pepitkę, w koszuli z zabotem, jakby uciekł z jakiejś uroczystości. Oskubywał bukiet białych dali i karmił nimi gołębie. Osiem gołębi myślało, że na chodniku leży chleb, zaczynały dziobać białe dalie i zostawiały je po chwili. W następnej sekundzie o wszystkim zapomniały, trzęsły głowami i zaczynały znowu dziobać, znowu te same kwiaty. Jak długo ich głód myślał, że dalie zamienią się w chleb. I co myślał chłopiec. Czy był cwany, czy głupi jak głód gołębi. Nie chciałem myśleć o łudzeniu głodu. Gdyby chłopiec rozsypywał chleb zamiast oskubanych dali, nie zatrzymałbym się nawet. Na wieży kościelnej była za dziesięć szósta. Szedłem szybko przez plac, na wypadek gdyby kościół zamykano o szóstej.

Naprzeciwko mnie szła Trudi Pelikan, po raz pierwszy od obozu. Zauważyliśmy się za późno. Szła o lasce. Ponieważ nie mogła mnie wyminąć, położyła laskę na ziemi i schyliła się do buta. Wcale nie był rozwiązany.

Oboje od ponad pół roku byliśmy w tym samym mieście, znowu w domu. Dla własnego dobra nie chcieliśmy się znać. Nie ma tutaj nic do rozumienia. Szybko odwróciłem

głowę. Ale jak chętnie wziąłbym ją w ramiona i powiedział, że zgadzam się z nią. Jak chętnie powiedziałbym: Przykro mi, że musisz się schylać, ja nie potrzebuję laski, następnym razem mogę zrobić to za nas oboje, jeśli pozwolisz. Jej laska była wypolerowana, na dole miała zardzewiały szpon i białą kulę uchwytu na górze.

Zamiast do kościoła skręciłem ostro w lewo, w wąską ulicę, z której przyszedłem. Słońce kłuło w plecy, upał rozchodził się pod włosami, jakby głowa była łysą blachą. Wiatr ciągnął dywan kurzu, w koronach drzew był śpiew. Potem z kurzu powstał lej, przetoczył się przeze mnie, po czym pękł. Kiedy opadł, chodnik był w czarne kropki. Wiatr huczał i rzucał pierwszymi kroplami. Nadeszła burza. Zaszumiały szklane frędzle i naraz zaczęły biczować mnie wodne postronki. Uciekłem do sklepu papierniczego.

Wchodząc, otarłem rękawem wodę z twarzy. Sprzedawczyni wyszła zza drzwiczek zasłoniętych kotarą. Miała przydeptane filcowe buty z frędzlą, jakby z każdej stopy wyrastał jej pędzel. Stała za ladą. Zostałem przy witrynie i jakiś czas jednym okiem spoglądałem na nią, a drugim na zewnątrz. Teraz miała opuchnięty prawy policzek. Ręce położyła na ladzie, jej sygnet, za ciężki dla kościstych rąk, był męskim pierścieniem. Naraz prawy policzek zrobił się płaski, wręcz zapadnięty, a lewy gruby. Słyszałem, jak coś zaklekotało ojej zęby, ssła cukierka. Kilka razy zamknęła oczy, miała powieki z papieru. Powiedziała: Gotuje się woda na herbatę. Zniknęła w drzwiczkach i w tej samej chwili spod kotary wyslizgnął się kot. Podszedł do mnie i przytulił się do moich spodni, jakby mnie znał. Wziąłem go na ręce. Nie ważył nic. To wcale nie kot, powiedziałem sobie, tylko ofutrzona nuda w szare prążki, cierpliwość strachu na wąskiej ulicy. Wąchał moją mokrą kurtkę. Miał nos jak ze skóry, wypukły jak pięta. Kiedy oparł przednie łapy na moim ramieniu i zajrzał mi do ucha, w ogóle nie oddychał. Odepchnąłem jego głowę, a on zeskoczył na podłogę. Nic nie było słychać, opadł na podłogę jak chusteczka. Był w środku pusty. Również sprzedawczyni wyszła z drzwiczek z pustymi rękoma. Gdzie podziała się herbata, nie mogła jej tak szybko wypić. Poza tym napuchł jej znowu prawy policzek.

Jej sygnet drapał w ladę.

Poprosiłem o zeszyt.

W kratkę czy w linie, spytała.

W linie, powiedziałem.

Nie miała drobnych, nie mogę wydać, powiedziała, cmokając. Oba policzki się zapadły. Cukierek wyslizgnął się na ladę. Był w przezroczyste wzory, wepchnęła go szybko do ust. To wcale nie był cukierek, ssła szlifowaną szklaną kroplę z kryształowego żyrandola.

Zeszyty w linie

Następnego dnia była niedziela. Zacząłem pisać w *zeszycie* w linie. Pierwszy rozdział nazywał się: **PRZEDMOWA**. Rozpoczęła go zdanie: Czy mnie zrozumiesz, znak zapytania.

Pisząc ty, miałem na myśli zeszyt. Na siedmiu stronach chodziło o mężczyznę, który nazywał się T. P. I o innego, który nazywał się A. G. I o tych o inicjałach K. H. i O.E.

Okobietę nazywającą się B. Z. Trudi Pelikan nadałem pseudonim **ŁABĘDŹ**. Nazwy zakładu KoksochimZawod i węglowego dworca Jasinowata napisałem w całości. Podobnie jak nazwisko Kobelan i Kati Straż. Wspomniałem też jej małego brata Latziego i jasną chwilę. Rozdział kończył się długim zdaniem:

Wczesnym rankiem, po myciu, kropla wody sturlała się z włosów i spływała jak kropla czasu wzdłuż nosa do ust, najlepiej zapuszczę brodę w kształcie trapezu, żeby nikt w mieście mnie nie rozpoznał.

W następnych tygodniach przedłużyłem PRZEDMOWĘ o trzy zeszyty.

Zatałem, że Trudi Pelikan i ja już podczas transportu do domu, nie umawiając się, poszliśmy do innych bydłowych wagonów. Starą gramofonową walizkę opuściłem. Nowy drewniany kufer, nowe ubrania opisałem dokładnie: baletki, kaszkiet, koszula, krawat i garnitur. Moje spazmy w drodze do domu, po przybyciu do obozu zbiorczego w Sighetu Marmatiei, na pierwszym rumuńskim dworcu, przemilczałem. Tak jak tygodniową kwarantannę na końcu torów w magazynie towarowym. Załamałem się ze strachu przed odesłaniem na wolność i jej najbliższą otchłanią, tą, która nieustannie skracała drogę do domu. Siedziałem w moim nowym ciele i w nowych ubraniach z lekko napuchniętymi rękami między gramofonową walizką a nowym drewnianym kufrem jak w gnieździe. Bydłocy wagon nie był zaplombowany. Drzwi zostały otwarte na oścież, pociąg wtaczał się na dworzec w Sighetu Marmatiei. Na peronie leżała cienka warstwa śniegu, szedłem po cukrze i soli. Kałuże zamarzyły na szaro, lód był podrapany jak twarz mojego zastępczego brata.

Kiedy rumuński milicjant wręczył nam przepustki na podróż do domu, trzymałem w ręku pożegnanie z obozem szlochałem. Do domu, z dwiema przesiadkami w Baia Mare i Klausenburgu, miałem najwyżej dziesięć godzin. Nasza śpiewaczka Loni Mich przytuliła się do adwokata Paula Gasta, skierowała wzrok na mnie, myślała, że szepce. Ale ja rozumiałem każde słowo, powiedziała:

Popatrz, jak beczy, coś się w nim przelało.

Często zastanawiałem się nad tym zdaniem. Potem napisałem je na czystej kartce. Następnego dnia przekreśliłem je. Następnego znowu napisałem, trochę niżej. Znowu skreśliłem, znowu napisałem. Kiedy zapisałem całą kartkę, wyrwałem ją. To jest wspomnienie.

Zamiast napomknąć o zdaniu babci, **WIEM, ŻE WRÓCISZ**, obiałej chusteczce z batystu i zdrowym mleku, całe strony poświęciłem triumfalnemu wręcz opisowi własnego chleba chleba białego zająca. Potem opisałem moją wytrwałość w wymianie ratunkowej z linią horyzontu i zakurzonymi drogami. Przy aniele głodu rozmarzyłem się na dobre, jakby mnie tylko ratował, nie dręczył. Dlatego skreśliłem **PRZEDMOWĘ** i napisałem nad nią **POSŁOWIE**. To było wielkie wewnętrzne fiasko, że teraz, z wolnej stopy, nieodwołalnie sam dla siebie jestem fałszywym świadkiem.

Moje trzy zeszyty w linie schowałem w nowym drewnianym kufrze. Odkąd byłem w domu, leżał pod łóżkiem i służył mi za bielizniarkę.

Nadal jestem Fortepianem

Przez cały rok byłem zbijaczem skrzynek. Potrafiłem ścisnąć między wargami dwanaście gwoździ naraz i jednocześnie przepuszczać dwanaście między palcami. Potrafiłem wbijać gwoździe tak szybko, jak oddychać. Majster mówił: Jesteś zdolny, ponieważ masz takie płaskie ręce.

Ale to nie były moje ręce, tylko płytki oddech rosyjskiej normy, i ruch łopata = i gram chleba zamieniał się w i główka gwoździa = i gram chleba. Miałem w głowie głuchą Mitzi, Petera Schiela, Irmę Pfeifer, Heidrun Gast, Corinę Marcu, którzy nago leżeli w ziemi. Dla majstra były to skrzynki na masło i bakłazany. Dla mnie małe trumny ze świeżego drewna świerkowego. Gwoździe musiały mi fruwać między palcami, żeby się udało. Dochodziłem do ośmiuset gwoździ na godzinę, nikt tego nie potrafił. Każdy gwoździk miał twardą główkę i nad każdym gwoździem nadzór sprawował anioł głodu.

W drugim roku zapisałem się na kurs betoniarski w liceum wieczorowym. W dzień byłem specjalistą od betonu na budowie nad Utschą. Tam narysowałem na bibule mój pierwszy plan okrągłego domu. Nawet okna były okrągłe, wszystko co kanciaste przypominało mi bydlęcy wagon. Przy każdej kresce myślałem o Titim, synu kierownika budowy.

Późnym latem Titi poszedł ze mną do olchowego parku. Przy wejściu stała stara chłopka z koszem poziomek, ogniście - czerwonych i małych jak czubki języków. I każda miała przy zielonym kołnierzu łodyżkę jak cienutki drut. Tu i ówdzie zwisał jeszcze trójpalczaste poząbkowany listek. Kobieta dała mi jedną na spróbowanie. Kupiłem dla nas dwie duże tutki. Spacerowaliśmy wokół rzeźbionego pawilonu. Potem wzdłuż wody wabiłem go przez krzaki coraz dalej, aż do krótko przyszczonego pagórka. Kiedy zjedliśmy poziomki, Titi zgniótł swoją torebkę i chciał ją wyrzucić. Powiedziałem: Daj mi ją. Wyciągnął do mnie rękę, złapałem ją i już nie puściłem. Z zimnym spojrzeniem powiedział:

He. Nie dało się tego zatrzeć śmiechem ani słowami.

Jesień była krótka i szybko farbowała liście. Unikałem olchowego parku.

Drugiej zimy śnieg spadł już w listopadzie. Miasteczko było opatulone w watowany kombinezon. Wszyscy mężczyźni mieli kobiety. Wszystkie kobiety miały dzieci. Wszystkie dzieci miały sanki. Wszyscy byli grubi i syci ojczyzny. W wąskich ciemnych płaszczach przesuwali się przez biel. Mój płaszcz był jasny, zabrudzony i o wiele za duży. Też nasycony ojczyzną, nadal jeszcze był to płaszcz wujka Edwina. Przechodniom zwisały z ust, kołysząc się, skrawki oddechu, które zdradzały: wszyscy syci ojczyzny majstrują tu przy swoim życiu, ale wszystkim się ono wymyka. Wszyscy spoglądają za nim, wszystkim mienią się oczy jak broszki z agatu, szmaragdu albo bursztynu. Również na nich czeka kiedyś, lada dzień albo wkrótce, albo późno, szczęścia - - za dużo.

Tęskniłem za chudymi zimami. Ze mną chodził anioł głodu, a on nie myśli. Zaprowadził mnie w zakrzywioną ulicę. Z drugiego końca nadszedł mężczyzna. Nie miał płaszcza, przykrył się frędzlastym kocem w kratkę. Nie miał kobiety, tylko wózek. W wózku nie siedziało dziecko, tylko czarny pies z białą głową. Psia głowa kołysała się swobodnie w takt jego kroków. Kiedy koc w kratkę podszedł bliżej, na prawej piersi mężczyzny zobaczyłem zarys serdecznej łopaty. Kiedy wózek przejeżdżał obok, serdeczna łopata była wypaloną plamą po żelazku, a pies blaszanym kanistrem z emaliowanym lejkiem w szyjce. Kiedy obejrzałem się za mężczyzną, kanister z lejkiem znowu był psem. A ja dotarłem do kąpieliska Neptuna.

Łabędź na emblemacie miał trzy szklane nogi z sopli. Wiatr kołysał łabędziem, jedna szklana noga odpadła. Sopel był na ziemi bryłą gruboziarnistej soli, którą rozdrabnialiśmy w obozie. Zacząłem tłuc ją obcasem. Kiedy nadawała się już do posypywania, przeszedłem przez otwartą żelazną bramę i stanąłem przed drzwiami. Bez zastanowienia wszedłem przez drzwi do holu. W ciemnej kamiennej posadzce wszystko odbijało się jak w spokojnej wodzie. Widziałem, jak mój jasny płaszcz płynie przede mną w stronę kasy. Poprosiłem o bilet. Kasjerka spytała: Jeden czy dwa.

Miałem nadzieję, że przez jej usta przemawiało jedynie złudzenie optyczne, nie podejrzenie. Miałem nadzieję, że widziała tylko podwójny płaszcz, a nie to, że byłem w drodze do mojego dawnego życia. Kasjerka była nowa. Ale hol rozpoznał mnie, lśniąca posadzka, środkowa kolumna, witrażowa szyba kasowego okienka, kafelki w lilie wodne. Zimne zdobienia miały własną pamięć, ornamenty nie zapomniały, kim jestem. Portfel miałem w marynarce. Dlatego sięgnąłem do kieszeni płaszcza i powiedziałem:

Zostawiłem portfel w domu, nie mam pieniędzy.

Kasjerka powiedziała: Nie szkodzi. Już oderwałam bilet, zapłacisz następnym razem. Zapiszę cię.

Powiedziałem: Nie, w żadnym wypadku.

Wyciągnęła rękę przez okienko i chciała mnie złapać za płaszcz. Cofnąłem się, wydałem policzki, wciągnąłem głowę w ramiona i zacząłem wycofywać się piętami do przodu, niemal ocierając się o środkową kolumnę, w stronę drzwi. Zawołała za mną: Ufam ci, zapiszę tylko twoje nazwisko. Dopiero teraz zobaczyłem zielony ołówek za jej uchem. Uderzyłem plecami o klamkę i otworzyłem drzwi. Musiałem mocno ciągnąć, metalowa sprężyna ciężko chodziła. Wyślizgnąłem się przez szparę, drzwi skrzypiały za mną. Wypadłem przez żelazną bramę na ulicę.

Było już ciemno. Łabędź spał biało, powietrze spało czarno. Pod latarnią na rogu ulicy padało szarymi piórami. Chociaż nie ruszyłem się z miejsca, słyszałem w głowie moje kroki. Potem ruszyłem i już ich nie słyszałem. Z ust pachniało mi chlorem i olejkiem lawendowym. Pomyślałem o etubie i aż do samego domu rozmawiałem od latarni do latarni z fruującym śniegiem, który przyprawiał mnie o zawrót głowy. Nie z tym, w którym szedłem teraz, tylko z tym wygłodzonym, z daleka, który znał mnie jako domokrążcę.

Również tego wieczoru babcia zrobiła krok w moją stronę, złapała się za głowę, spytała jednak:

Wracasz tak późno, masz dziewczynę.

Następnego dnia zapisałem się na kurs betoniarski do liceum wieczorowego. Tam, na szkolnym dziedzińcu, poznałem Emmę. Robiła kurs księgowości. Miała jasne oczy, nie mosiężnożółte jak Tur Prikulicz, tylko jak futerko pigwy. Jak wszyscy w mieście miała ciemny, nasycony ojczyzną płaszcz. Cztery miesiące później ożeniłem się z Emmą. W tym czasie ojciec Emmy był już śmiertelnie chory, nie wyprawialiśmy wesela. Przeprowadziłem się do rodziców Emmy. Wszystko, co moje, miałem przy sobie, trzy zeszyty w linie i ubrania zmieściły się w drewnianym kufrze z obozu. Cztery dni później umarł ojciec Emmy. Jej matka przeprowadziła się do salonu i odstąpiła nam sypialnię z małżeńskim łóżkiem.

Pół roku mieszkaliśmy u matki Emmy. Potem przeprowadziliśmy się z Hermannstadt do stolicy, do Bukaresztu. Zamieszkaliśmy pod numerem 68.68 jak liczba łóżek w baraku. Mieszkanie mieściło się na czwartym piętrze, miało tylko jeden pokój i wnękę kuchenną, toaleta była na korytarzu. Jednakże blisko mieszkania, dwadzieścia minut piechotą, znajdował się park. Kiedy w mieście nastąpiło lato, chodziłem na skróty po zakurzonych alejkach. Na piechotę było wtedy tylko piętnaście minut. Kiedy czekałem na windę, w drucianej skrzynce szybu przemieszczały się w górę i w dół dwa jasno splecione sznury, jakby nadchodziły

warkocze Bei Zakel.

Pewnego wieczoru siedziałem z Emmą w restauracji Złoty Dzban przy drugim stoliku koło orkiestry. Kelner, który nas obsługiwał, przesłonił sobie ucho i powiedział: Słyszając państwo, cały czas powtarzałem szefowi, że fortepian jest rozstrojony. A co on zrobił, wyrzucił pianistę.

Emma spojrzała na mnie surowo. W jej oczach kręciły się żółte kółka zębate. Były porzewiałe, powieki zaczęły onie, kiedy mrugała. Potem drgnął jej nos, kółka się uwolniły, a Emma powiedziała z jasnym spojrzeniem:

Widzisz, zawsze dopadnie grającego, nigdy fortepianu. Dlaczego poczekała z tym zdaniem, aż kelner odszedł. Miałem nadzieję, że nie wie, co mówi. W parku miałem wtedy pseudonim **GRACZ**. Strach nie zna zmiłowania. Zmieniłem pobliski park. I pseudonim. W nowym parku, daleko od mieszkania i w pobliżu dworca, przyjąłem pseudonim **FORTEPIAN**.

Pewnego deszczowego dnia Emma przyszła do domu ze słomkowym kapeluszem w dłoni. Wsiadła z autobusu. Niedaleko przystanku, przed hotelikiem **DYPLOMAT**, stał pod markizą mężczyzna. Kiedy Emma go mijala, spytał, czy może kawałek przejść pod jej parasolem, do następnego przystanku na rogu. Miał słomkowy kapelusz. Był ogłowę wyższy od Emmy i do tego w słomkowym kapeluszu. Emma musiała wysoko unieść parasol. A on, zamiast zaproponować, że go poniesie, wypchnął ją na deszcz i włożył rękę do kieszeni. Powiedział, że kiedy na wodzie robią się pęcherze, będzie padać kilka dni. Kiedy jego żona zasnęła, też tak padało. Przesunął pogrzeb o dwa dni, ale deszcz nie ustawał. Wieńce wystawił na noc na dwór, żeby miały wodę, ale kwiatom to nie pomogło, zalało je i zgniły. Potem jego głos zrobił się śliski i wymamrotał coś, co zakończyło się zdaniem:

Moja żona poślubiła trumnę.

Kiedy Emma powiedziała, że ślub to coś innego niż umieranie, on stwierdził, że i jednego, i drugiego należy się bać. Kiedy Emma spytała dlaczego, zażądał portmonetki. Inaczej będę musiał okraść kogoś w autobusie, powiedział, jakąś niedołążną przedwojenną damę. A w jej portmonetce nie będzie nic oprócz zdjęcia zmarłego męża. Kiedy uciekał, kapelusz spadł mu do kałuży. Emma dała mężczyźnie swoją portmonetkę. Powiedział: Nie krzycz, bo wyskoczy. Miał w ręku nóż.

Kiedy Emma skończyła opowiadać, dodała jeszcze: Strach nie zna zmiłowania. Przytaknąłem.

Taka zgodność zdań często zdarzała się nam z Emmą. Więcej nie powiem, ponieważ kiedy mówię, opakowuję się jedynie inaczej w milczenie, w tajemnice wszystkich parków i zgodności z Emmą. Nasze małżeństwo przetrwało jedenaście lat. Emma zostałaby ze mną, to

wiem. Ale nie wiem dlaczego.

W tym czasie aresztowali w parku **kukulkę i szafkę nocną**. Wiedziałem, że na milicji mówią prawie wszyscy i że nie pomoże mi żadna wymówka, jeśli oni wspomną o **fortepianie**. Złożyłem wniosek o pozwolenie na wyjazd do Austrii. Zaproszenie od cioci Fini sam napisałem, żeby było szybciej. Następnym razem pojedziesz ty, powiedziałem Emmie. Zgodziła się, ponieważ małżeństwom nie wolno było wspólnie jeździć na Zachód. Gdy byłem w obozie, ciocia Fini wyszła w Austrii za męża. Podczas podróży autokarem s **aurer** do solanek w OcnaBai poznała Aloisa, cukiernika z Grazu. Opowiedziałem Emmie o żelazku do włosów, ondulacji i konikach polnych pod organzową sukienką cioci Fini i wmówiłem jej, że chcę zobaczyć ciotkę i poznać cukiernika Aloisa.

Do dziś jest to moja największa wina, przebrałem się na krótką podróż, wsiadłem z lekką walizką do pociągu i pojechałem do Grazu. Stamtąd napisałem pocztówkę wielkości ręki:

Kochana Emmo, strach nie zna zmiłowania.

Nie wrócę.

Emma nie знаła zdania mojej babci. Nigdy nie rozmawialiśmy o obozie. Sięgnąłem do tego zdania, dodając słówko **nie**, żeby również przeciwieństwo tego zdania na coś się przydało.

Było to ponad trzydzieści lat temu.

Emma ponownie wyszła za męża.

Ja nigdy już nie związałem się z nikim. Tylko szybka wymiana towaru.

Gwałtowność żądy i nikczemność szczęścia od dawna należą dla mnie do innego czasu, chociaż mój mózg nadal co krok pozwala się uwodzić. Czasem jest to szczególne kołysanie ramion na ulicy, czasem dwie ręce w sklepie. Szczególny sposób rozglądania się za miejscem w tramwaju. W przedziale pociągu po pytaniu: Czy jest tu wolne miejsce, takie dłuższe zwlekanie i zaraz potem moją intuicję potwierdza ten szczególny sposób układania bagażu. W restauracji, niezależnie od głosu, to szczególnie wypowiedane przez kelnera: Tak, łaskawy panie. Do dziś najbardziej uwodzą mnie kawiarnie. Siadam przy stoliku i oglądam sobie gości. U jednego, dwóch mężczyzn jest to szczególne siorbanie. Kiedy odstawiają filiżankę, skóra na wewnętrznej stronie dolnej wargi błyszczy jak różowy kwarc. U jednego, dwóch gości, u innych nie. Z powodu jednego, dwóch gości mam w głowie wzorce podniecenia. Nawet jeśli wiem, że są zamarli jak bibeloty w witrynie, udają młodych. Nawet jeśli oni wiedzą, że nie pasuję do nich, ponieważ splądrował mnie wiek. Kiedyś plądrował mnie głód i nie pasowałem do mojego jedwabnego szala. Wbrew oczekiwaniom wypełniłem

się nowym mięsem. Ale dla splądrowanych wiekiem nikt jeszcze nie wynalazł nowego mięsa. Kiedyś myślałem, że może nie całkiem nadaremnie dają się nocami deportować do szóstego, siódmego, nawet ósmego obozu. Że może dostanę te pięć ukradzionych lat jako spowolnienie starzenia. Nie stało się tak, abdykacja ciała liczy się inaczej. Jest w środku puste i mieni się na zewnątrz, na twarzy, jako głód oczu. A ten mówi:

Nadal jesteś FORTEPIANEM.

Tak, mówię, fortepianem, który już nie gra.

O skarbach

Małe skarby to te, na których widnieje: Jestem.

Większe skarby to te, na których widnieje: Pamiętasz. Jednak najpiękniejsze skarby to te, na których będzie widniało: Byłem. **BYŁEM** powinno widnieć na skarbach, twierdził Tur Priku - licz. Pod brodą grdyka poruszała mi się w górę i w dół, jakbym połknął łokieć. Golibroda powiedział: Wciąż jesteśmy. Piąte po dziesiątym.

Wtedy, w golarni, wierzyłem jeszcze, że jeśli nie umrę tutaj, będzie jakieś potem. Opuścę obóz, będę wolny, może nawet wrócę do domu. Będę mógł powiedzieć: **BYŁEM**. Ale - piąte po dziesiątym. Ten bałamuk, trafiło się takie bałamutne szczęście. Trzeba również powiedzieć gdzie i jak. Dlaczego taki Tur Prikulicz miałby później w domu opowiadać, że wcale go nie potrzebował.

Może już wtedy ktoś z obozu postanowił zabić Tura Pri - kulicza po obozie. Ktoś, kogo anioł głodu nie opuszczał na krok, podczas gdy Tur Prikulicz nosił na obozowym korso buty niczym lakierowane torebki. W czasie skóry i kości, podczas apelu albo w karcerze, ktoś przecwiczyl może w głowie niezliczoną ilość razy, jak rozplatać czoło Tura Prikulicza. A może ten ktoś stał wtedy po szyję w śniegu przy linii kolejowej albo przy jamie po szyję w węglu, albo w zwirowni w piachu, albo w cementowej wieży. Albo leżał bezsennie na pryczy w żółtym świetle służbowej żarówki, kiedy poprzysiągł mu zemstę. Zaplanował mord może nawet tego samego dnia, kiedy Tur w golami z oleistym wzrokiem mówił o skarbach. Albo w chwili, kiedy pytał mnie w lustrze: Jak tam u was w piwnicy. Może nawet w chwili, kiedy powiedziałem: Miło, każda zmiana jest dziełem sztuki. Mord z krawatem w ustach i siekierą na brzuchu też jest zapewne spóźnionym dziełem sztuki.

Wiem już, że na moich skarbach widnieje: **ZOSTANĘ TUTAJ**. Że obóz wypuścił mnie do domu, żeby stworzyć dystans potrzebny do tego, by urosnąć w mojej głowie. Od kiedy wróciłem do domu, na moich skarbach nie widnieje **JESTEM** ani **BYŁEM**. Na moich skarbach widnieje: **NIE MOGĘ ODEJŚĆ**. Obóz rozciąga się coraz bardziej od areału lewej skroni do areału skroni prawej. W ten sposób muszę mówić o mojej własnej czaszce jak o terenie, jak o

terenie obozu. Nie chroni mnie ani milczenie, ani opowiadanie. I tu, i tu wpadam w przesadę, ale **BYŁEM** nie pojawia się nigdzie. I nie ma prawdziwej miary.

Ale skarby istnieją, co do tego Tur Prikulicz miał rację. Mój powrót do domu jest kalekim, nieustannie wdzięcznym szczęściem, bakiem przeżycia, który zaczyna się kręcić z byle powodu. Ma mnie w garści, podobnie jak mają mnie w garści moje skarby, z którymi nie mogę ani żyć, ani ich porzucić. Używam moich skarbów od ponad sześćdziesięciu lat. Są słabowite i natrętne, intymne i obrzydliwe, zapominalskie i pamiętliwe, zużyte i nowe. Są posagiem od Artura Prikulicza i są nieodróżnialne ode mnie. Kiedy je wyliczam, zaczynam się potykać.

Moja dumna podległość.

Moje zakneblowane pragnienia dyktowane strachem.

Mój niechętny pośpiech, z zera przeskakuję na „max”.

Moja butna uległość, w której wszystkim przyznaję rację, żeby im to potem wytknąć.

Mój przespany oportunizm.

Moje uprzejme skąpstwo.

Moja niejasna, tęskna zazdrość, kiedy ludzie wiedzą, czego chcą od życia. Uczucie jak szorstka wełna, zimne i poplątane.

Przepastna pustka we mnie: jestem jak opróżniony talerz, pod naporem z zewnątrz, a w środku pusty, odkąd nie muszę głodować.

Moja jednostronna przewidywalność: idąc w głąb, rozchodzę się po powierzchni.

Moje ociężałe popołudnia, czas ześlizguje się powoli razem ze mną między meble.

Moje konsekwentne opuszczanie każdego. Potrzebuję dużo bliskości, ale trzymam się w ryzach. Wycofując się, mam na ustach jedwabisty uśmiech. Od czasu anioła głodu nie pozwalam się posiąść nikomu.

Najcięższym z moich skarbów jest przymus pracy. Jest odwróceniem pracy przymusowej i wymianą ratunkową. Siedzi we mnie ten, co mnie łaskawie przymusza, krewny anioła głodu. Wie, jak wytresować pozostałe skarby. Wspina mi się do mózgu, wpycha w oczarowanie przymusem, ponieważ boję się być wolny.

Z mojego pokoju widać wieżę z zegarem na górze zamkowej w Grazu. Przy oknie stoi wielka rysownica. Na biurku leży ostatni projekt, niczym wyblakły obrus. Jest zakurzony jak lato na zewnątrz na ulicach. Kiedy mu się przyglądam, nie może sobie mnie przypomnieć. Od początku wiosny przed moim domem spaceruje codziennie mężczyzna z krótkowłosym białym psem i niezwykle cienką czarną laską, której uchwyt tworzy lekkie wygięcie, jak powiększona laska wanilii. Gdybym zechciał, mógłbym pozdrowić mężczyznę i powiedzieć,

że jego pies przypomina mi białą świnię, na której kiedyś tęsknota mogła galopować po niebie. W zasadzie chciałbym raz porozmawiać z psem. Dobrze byłoby, gdyby pies wyszedł kiedyś na spacer sam albo z laską wanilii, bez mężczyzny. Może któregoś dnia tak się stanie. tak nadal będę tutaj mieszkał, ulica zostanie też tam, gdzie jest, a lato potrwa jeszcze długo. Mam czas i czekam. Najchętniej siedzę przy moim białym stole z laminatowym blatem, metr na metr, kwadrat. Kiedy zegar na wieży wybija wpół do trzeciej, słońce wpada do pokoju. Na podłodze cień mojego stolika jest gramofonową! walizką. Gra mi piosenkę wawrzyńku albo plisowaną *Palomę*. Biorę poduszkę z sofy tanecznym krokiem wchodzę w ociężałe popołudnie. Mam też innych partnerów.

Tańczyłem już z dzbankiem do herbaty.

Z cukierniczką.

Z pudełkiem ciastek.

Z telefonem.

Z budzikiem.

Z popielniczką.

Moim najmniejszym partnerem jest oderwany guzik od płaszcza.

Nieprawda.

Kiedyś pod białym stołem z laminatowym blatem leżała zakurzona rodzynka. Zatańczyłem z nią. Potem ją zjadłem. A potem był we mnie pewien rodzaj dali.

Posłowie

Kiedy latem 1944 roku Armia Czerwona posunęła się daleko w głąb Rumunii, faszystowski dyktator Antonescu został aresztowany i stracony. Rumunia skapitulowała i zupełnie niespodzianie wypowiedziała wojnę swemu dotychczasowemu sojusznikowi, nazistowskiemu Niemcom. W styczniu 1945 roku radziecki generał Winogradow w imieniu Stalina zażądał od rządu rumuńskiego skierowania wszystkich żyjących w Rumunii Niemców do „odbudowy” zniszczonego podczas wojny Związku Radzieckiego. Mężczyźni i kobiety w wieku od siedemnastu do czterdziestu pięciu lat zostali deportowani na roboty przymusowe do radzieckich obozów pracy.

Również moja matka spędziła pięć lat w obozie pracy. Deportacje były tematem tabu, ponieważ przypominały faszystowskiej przeszłości Rumunii. Tylko w rodzinie w wąskim gronie zaufanych, którzy sami byli deportowani, mówiono o obozowych latach. Ale nawet wtedy wyłącznie półsłówkami. Te ukradkowe rozmowy towarzyszyły mojemu dzieciństwu. Nie rozumiałam ich treści, ale czułam strach.

W 2001 roku zaczęłam spisywać rozmowy z deportowanymi z mojej wsi.

Wiedziałam, że również Oskar Pastior był deportowany, i powiedziałam mu, że chcę o tym pisać. Chciał mi pomóc swoimi wspomnieniami. Spotykaliśmy się regularnie, on opowiadał, ja zapisywałam. Jednakże wkrótce pojawiło się pragnienie, aby napisać tę książkę razem. Kiedy Oskar Pastior zmarł nagle w roku 2006, miałam cztery zeszyty wypełnione odręcznymi notatkami, do tego projekty kilku rozdziałów. Po jego śmierci byłam jak zmartwiła. Bliskość z notatek czyniła stratę jeszcze większą.

Dopiero po roku przemogłam się, pożegnałam „My” i zaczęłam pisać powieść sama. Jednak bez szczegółów z życia obozowego, o których opowiedział mi Oskar Pastior, nie umiałabym.

Herta Muller Marzec 2009

Od tłumaczki

Huštawka oddechu jest książką bazującą na pamięci Oskara Pastiora. Po jego śmierci Herta Müller czuła się zobowiązana sama doprowadzić do końca wspólnie rozpoczęte przedsięwzięcie - z wieloma wspomnieniami i rosyjskimi słowami przekazanymi przez Pastiora została jednak sama. W niemieckim oryginale pojawiają się one bez komentarza, stanowiąc zagadkę dla czytelnika. Zdecydowałam się pozostać wierna oryginałowi, słowa przejęte z rosyjskiego bądź rumuńskiego pojawiają się w polskim tłumaczeniu również bez wyjaśnień. Tym niemniej, aby móc je z czystym sumieniem pozostawić w takiej postaci, musiałam je zrozumieć. Poniższy minisłowniczek zawiera rezultaty moich poszukiwań.

Bałamuk - poprawnie *bałamuć* (w niemieckim oryginale *Balamuk*) - rumuńskie słowo oznaczające zamieszanie, bałagan, chaos, często jeszcze dosadniej „burdel”, a także „dom wariatów”.

Bamsti - słowo z austriackiego dialektu, używane najwyraźniej również przez Niemców z Rumunii. Oznacza „pełny”, „nalany”, „wypchany”. W niemieckim oryginale pojawia się jako słowo rosyjskie, w korespondencji ze mną Herta

Muller zdecydowała się na zmianę, wkładając je w usta golibrody.

Etuba - niestety nie udało mi się ustalić pochodzenia tego słowa. Od autorki dowiedziałam się jedynie, że tak Pastior zapamiętał nazwę komory do odwszawiania.

Hazowyj - zaczęło się od węgla gazowego po ukraińsku, *hazowe wuhillja*. Leo słyszy *hazowyj* jako złożenie niemieckich słów *Hase* - „zając” i *Weh* - „boleść” i tworzy słowo o wielkim ładunku emocjonalnym, jedno z kluczowych słów tej powieści, w oryginale *hasoweh*.

MarkaK - rosyjski zna następujące określenia węgla, ze względu na wielkość ziaren: P (*plitnyj*), K (*krupnyj*), O (*oriech*), M (*miełkij*), S (*siemieczko*), Sz (*sztyb*). Marka (typ) K jest

więc określeniem węgla o dużych ziarnach. Mojka - myjnia, urządzenie do płukania, w tym przypadku węgla.

Molina - chodzi tu o urządzenie do mielenia węgla, teoretycznie powinno być to rosyjskie słowo, jednak w tym znaczeniu nie wykazuje go żaden słownik, pytani Rosjanie również go nie znali. Oskar Pastior przekazał je Hercie Muller jako słowo z obozowego języka.

Szlakobloki - rosyjskie określenie pustaków szlakowych. „O” jest w rosyjskim słowie jedynie łącznikiem między szlaką (żwirem) a blokiem. Jest to typowy dla biurokratycznego rosyjskiego zlepek (podobnie jak np. rybokonserwa). Węglówka - trująca wódka z węgla kamiennego.

Kilka słów na temat piosenek, które można znaleźć i wysłuchać w internecie:

Piosenka o wawrzynku jest niedokładnym cytatem z wiersza Hermana Hessego *Wanderschaft*.

Paloma (właśc. *La Paloma*) - napisana przez Sebastiana Iradiera po wizycie na Kubie w roku 1861 w rytmie typowym dla kubańskiej habanery, w Niemczech uznawana za melodię ludową, śpiewana przez Hansa Albersa w filmie Helmuta Kautnera *Grosse Freiheit Nr. 7*. Tonący statek, zaklinany zbliżający się koniec, słowa o pokoju i o nadziei pokładanej w Bogu, nie w Führerze, nie były najwyraźniej na miejscu w ostatnich latach wojny. W marcu 1945 roku Goebbels zabronił wyświetlania filmu.

Piosenka o domu rodzinnym, lipie i ławce pochodzi z roku 1934, słowa do niej napisał Bruno HardtWarden, a muzykę Robert Stolz, ostatni z „królów wiedeńskiego walca” (pisał muzykę do piosenek Kiepur, Dietrich).

Marynarz, który ma porzucić marzenia, pochodzi prawdopodobnie z żeglarskiego szlagieru.

Spis treści

O pakowaniu walizki 5

Łoboda 19

Cement 30

Wapienne kobiety 36

Zbieranina intruzów 37

Drewno i wata 43

Ciekawe czasy 46

O jeździe 51

O surowych ludziach 56

Szczęściadużoołut dla Army Pfeifer 59
Czarne topole 61
Chusteczka i myszy 65
O serdecznej łopacie 71
O aniele głodu 74
Węglówka 80
Zeppelin 81
O bólach fantomowych zegara z kukułką 85 Kati Straż 89
Przypadek kryminalny z chlebem 94 Półksiężycowa Madonna 102 Własny chleb,
chleb białego zajaca 107 O węglu 110
Jak wleka się sekundy 113 O żółtym piasku 114 Rosjanie też mają swoje drogi 118 O
choinkach 122 10 rubli 125 O aniele głodu 130 Łacińskie tajemnice 132 Szlakobloki 140
Prostoduszny i sceptyczny flakonik 144 O zatruciu światłem dziennym 151 Każda
zmiana jest dziełem sztuki 154 Kiedy łabędź śpiewa 156 O żużlu 158
Bordowy jedwabny szal 164
O substancjach chemicznych 167
Kto podmienił kraj 173
Człowiek kartofel 176
Niebo w dole, ziemia w górze 184
O nudach 186
Zastępczy brat 194
W bieli pod linijką 197
Drut Minkowskiego 198
Czarne psy 201
Łyżka mniej, łyżka więcej 203
Anioł głodu był raz moim adwokatem 205
Mam plan 208
Błaszany pocałunek 209
Bieg rzeczy 212
Biały zajac 213
Tęsknota za domem. Jakbym jej potrzebował 214 Jasna chwila 221 Lekkomysłność
jak siano 223
O obozowym szczęściu 226 Żyje się. Żyje się tylko raz 230 Kiedyś trafię na elegancki
bruk 235 Dogłębne jak cisza 243 Nietykacz 244

Czy masz dziecko w Wiedniu 249

Laska 257

Zeszyty w linie 260

Nadal jestem Fortepianem 263

O skarbach 271

Posłowie 275

Od tłumaczki 277